

B
I
E
G
U
N
Y

Lalki w ogniu

Opowieści z Indii

:: carta blanca

Paulina Wilk

- Strona tytułowa
- Strona redakcyjna
- Ludowa przypowieść indyjska
- Mapa Indii
- 1. Obyś była matką tysiąca synów
- 2. Poranna kąpiel bogów
- 3. Republika latryn
- 4. Tajemnica haftowanej lamówki
- 5. Tabu na talerzu
- 6. Rodzinna partia szachów
- 7. Handluję, więc jestem
- 8. W drodze z bóstwami
- 9. Korowód nędzarzy
- 10. Cmentarzysko książek
- 11. Tragarze na moście
- 12. Czeka tu od wieków
- 13. Śiwa odjechał riksą
- 14. Nie czekaj na jutro. Ono nie nadejdzie
- 15. Najpierw ślub, miłość rośnie z czasem
- 16. Minuty przed zmrokiem
- Przypisy
- Dedykacja
- Seria Bieguny
- Okładka — tył

Paulina Wilk

Lalki w ogniu

OPOWIEŚCI Z INDII

:: carta blanca

© **CARTA BLANCA Sp. z o.o.**

Grupa Wydawnicza PWN

ul. Postępu 18

02-676 Warszawa

tel. 22 695 45 55

cb@cartablanca.pl

www.cartablanca.pl

Wydanie pierwsze, 2012 (dodruck)

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Konsultacja indologiczna: Michał Panasiuk

Redakcja: Magdalena Binkowska

Korekta: Barbara Ciecierska, Piotr Łukasik

Opracowanie graficzne i łamanie: Justyna Cwalina, Martyna Łącka, Ewa Modlińska

Mapa: Marta Kubica

Projekt graficzny okładek do serii Bieguny: Przemek Dębowski

Opracowanie okładki: Ewa Modlińska

Zdjęcie na okładce: Paulina Wilk (uliczna żebraczka, Cennaj, 2007)

Zdjęcia na wklejce: Paulina Wilk

Fotoedycja: Ryszard Waniek

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydawca niniejszej publikacji dołożył wszelkich starań, aby jej treść była zgodna z rzeczywistością, nie może jednak wziąć żadnej odpowiedzialności za jakiegokolwiek skutki wynikłe z wykorzystania zawartych w niej materiałów i informacji.

ISBN 978-83-7705-248-8

Publikację elektroniczną przygotował iFormat

*Żyło kiedyś pięciu ślepców, którzy chcieli poznać
prawdę o słoniu.*

*Pierwszy podszedł do zwierzęcia, dotknął jego
masywnego boku i zakrzyknął: — Słoń jest niczym błotnisty
mur!*

*Drugi chwycił trąbę i orzekł: — Przeciwnie, słoń jest
podobny do węża!*

*Trzeci ślepiec, dotknąwszy kłówa, powiedział: — Ależ nie,
słoń jest ostry jak miecz!*

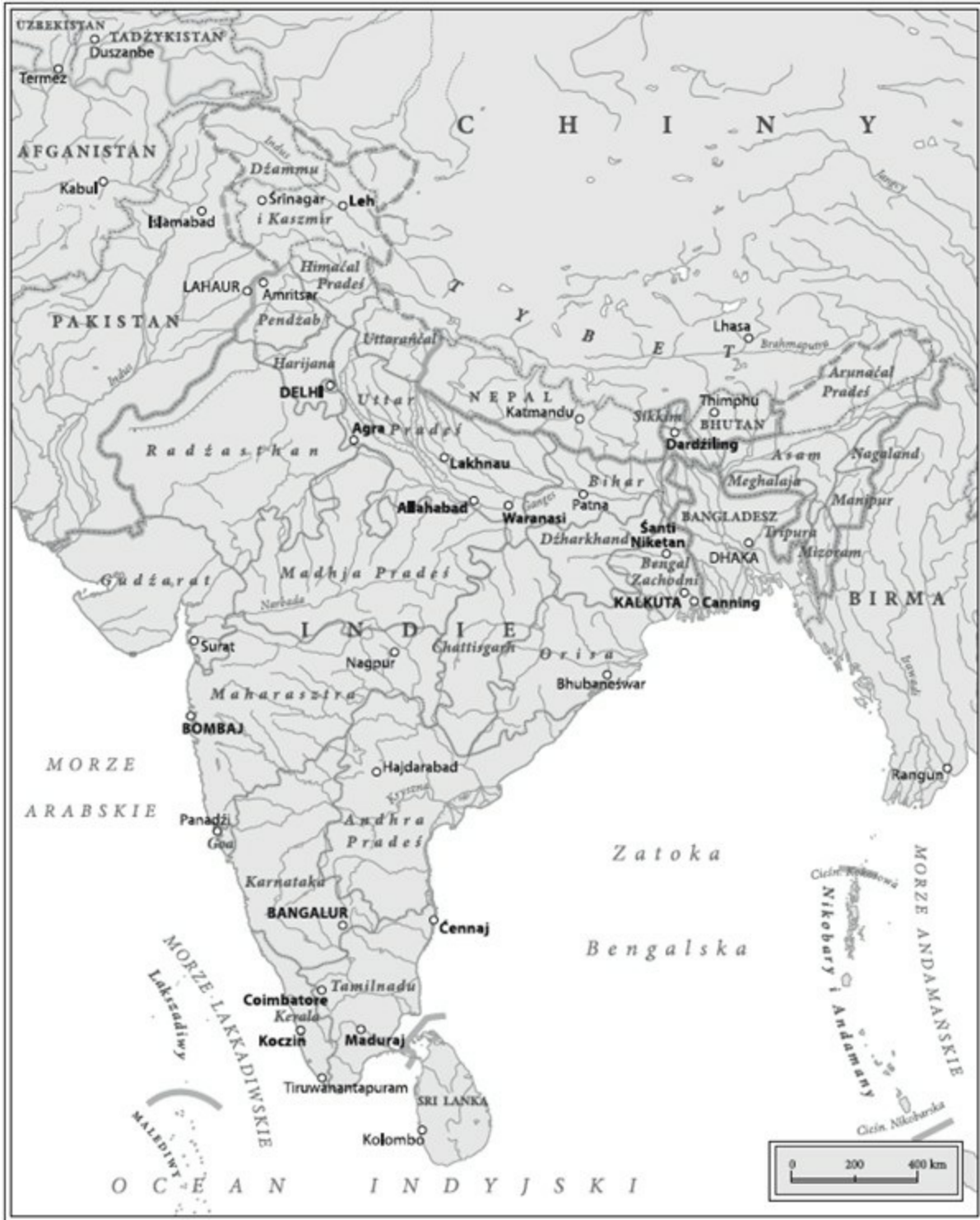
*Czwarty ślepiec zbliżył się do słonia, chwycił go za ogon
i powiedział: — Mylicie się, jest jak gruba lina!*

*Wreszcie piąty, dotykając jego nogi, uznał: — Słoń
przypomina marmurową kolumnę.*

*Choć każdy ze ślepców odkrył część prawdy, żaden nie
poznał całej.*

(ludowa przypowieść indyjska)

Nie ma jednego hinduizmu, jednych Indii.
Jest wielość pozbawiona najwyższej reguły.



Obyś była matką tysiąca synów

Urodził się kilka dni temu, a już gołą mu głowę. Nowe życie, tak maleńkie, że mieści się w żyłastych dłoniach babki, zostało wyniesione na ulicę, do cyrulika. W zgiełk, tłok i hałas, w lejący się z nieba żar i wirujący pył. Bez zwłoki, bo dziecko musi zostać poddane rytuałom zespalającym je z przeznaczeniem i oddalającym złe moce. Chropowate palce opiekunki, spalone słońcem i pomarszczone, obejmują nagie biodra, podtrzymują kark. Chłopiec wije się i kwili, ale w uścisku jest jednocześnie zniewolony i bezpieczny. Hartuje się w ryku silników, ciasnocie, duszącym zapachu miasta. Brzytwa połyskuje, ledwie muska, zbierając ciemne włosy. Cyrulik pracuje w milczeniu i bez pośpiechu, kucając raz z lewej, raz z prawej strony. Moczy dłoń w kubku z wodą i przeciera poczerwieniałą główkę. Nie zauważa gapiów, którzy przylgnęli mu do pleców, przyznali sobie prawo uczestnictwa w obrzędku. Otoczyli tę scenę kordonem ciekawości, podnieśli jej rangę — teraz stała się publicznym spektaklem. Malec nigdy nie będzie sam, bo w Indiach życie nie ma liczby pojedynczej — jest zawsze zbiorowe. Jego sens i wartość leżą w połączeniu, nie w indywidualności. Odświętny obrządek golenia głowy rozgrywa się wśród wielu pospolitych zdarzeń.

Obok paruje wielka misa z bulgoczącym olejem, a spocony sprzedawca wyławia z niej skwierczące ryby. Ogony i głowy rzuca dwóm wyczekującym psom — jeden jest kulawy, drugi nie ma ogona. Pod zamkniętym jeszcze sklepem, oparty o metalową roletę, leży bezdomny. Czarny od brudu, z brodą sięgającą piersi i długimi włosami posklejanymi w dredy. Bezwładny, zawieszony w letargu. W kantorku telefonicznym trzy kroki dalej gruby bramin[1] wrzeszczy do słuchawki — próbuje się dodzwonić do innego miasta, ale ciągle zrywa mu połączenie. Przy śmierdzącym rynsztoku swój rowerowy wózek zaparkował stary kulis. Przysypia na zbitej z desek platformie, osłaniając twarz przed słońcem. Nie zwraca uwagi na wychudzonego żebraka, który zatrzymał się przy nim i podrzuca w kubku kilka monet. Po przeciwnej stronie ulicy w żółtej taksówce siedzi znudzony kierowca. Wychyla się przez okno i wypływa krwistoczerwony strumień śliny, zabarwionej poranną porcją *panu*[2].

Jedno życie wchodzi tu na drugie, jedno o drugie zahacza — żadne nie jest ważniejsze, bardziej niezwykle, uprzywilejowane. Ani to dobiegające końca, ani to, które się zaczyna. Dostatnie i ubogie, przyzwoite i podłe, szczęśliwe i dotkliwe, ludzkie i psie — są tu razem, odmienne, ale stopione w jedną masę. Trudno z niej wyłuskać osobny los. Nagie dziecko popłakuje, a magia jego narodzin sąsiaduje z czymś błaganiem o przetrwanie. Przyszło na świat tam, gdzie na skrawku chodnika wydarza się i piekło, i raj. Indie niczego nie ukrywają, odsłaniają całe piękno i nędzę istnienia. Kto tu przyjedzie, zobaczy wszystko. Więcej, niżby chciał.

Życia jest tak dużo, że wciska się wszędzie: na szarpane wiatrami wysepki Zatoki Bengalskiej, na porośnięte dżunglą wzgórze północnego wschodu. Wydeptało ścieżki w skalistych zboczach Himalajów, zacumowało na rozlewiskach Kerali, rozłożyło się płasko na równinie Dekanu i skamieniałych pustyniach Radżasthanu. Ludzie co dzień negocjują z naturą warunki przetrwania — składają jej dary, obłaskawiają modlitwą, z uporem odbudowują to, co niszczy. Próbuje się ułożyć ze światem, który jest dla nich zbyt ciasny: na skrawku zajmującym dwa i pół procent powierzchni globu musi się zmieścić siedemnaście procent ludzkości. A będzie jeszcze tłoczniej — populacja rośnie.

Żaden indyjski rząd nie próbował powstrzymać gwałtownego przyrostu naturalnego, jeśli nie liczyć socjologicznych eksperymentów Sanjaya Gandhiego[3], oferującego radia tranzystorowe w zamian za wasektomię. Dziś władze niektórych stanów płacą rodzinom, by odczekały kilka lat z poczęciem drugiego dziecka. Ale pieniądze kuszą nielicznych, bo Hindusi[4] hołdują płodności — czczą lingamy symbolizujące boga Śiwę, łączącego żeńską i męską energię. Posiadanie dzieci, ciągłość rodziny, namnażanie życia — to w Indiach sprawy najistotniejsze.

Co roku przychodzi tu na świat tyle osób, ile zamieszkuje Australię. W przybliżeniu, bo nie sposób policzyć dokładnie. W tym sęk — istnień jest tak wiele, tak gęsto upchanych, że rozsadzają statystyczne rubryki, umykają próbom opisu i kontroli. Zanim uda się ustalić liczbę, jest już nieaktualna. Od czasu do czasu rządzący, naukowcy i dziennikarze zgadzają się co do jakiejś wielkości i podają ją oficjalnie, ale to zawsze kategoria

umowna — stosowana jak środek uspokajający, który ma przesłonić prawdę: nikt nie wie, ilu Hindusów co dzień rodzi się i umiera. Rzeczywistość jest spiętrzona i nieogarniona. Do liczenia ludzi w Indiach trzeba zatrudnić ich tylu, że już w tym kryje się zapowiedź porażki. Zbyt wielu Hindusów współtworzy kraj zbyt złożony, by sami potrafili oddać jego rozmiar i kształt.

Policzyć istnienia znaczyłoby tyle, co zyskać nad nimi władzę, dlatego indyjski rząd podejmuje próby — przeprowadza spisy powszechne, chce każdemu zapewnić dokument biometryczny, w którym zostaną zapisane jego linie papilarne i dane osobiste. Rządzący myślą, że w ten sposób zdobędą niepodważalne świadectwa obecności milionów ludzi. Tych, których oficjalnie nie ma — nie posiadają domu, adresu ani majątku, a identyfikują się tylko z członkami rodziny. Nie znają daty swojego urodzenia ani dokładnego położenia rodzinnej wioski — tak dawno ją opuścili. Nigdy nie mieli dokumentu tożsamości, urodzili się w chacie, na ulicy lub na łodzi i żaden wąsaty urzędnik nie odnotował początku ich życia w zaśniedziałym tomie, zżerany później przez wilgoć i mole. Kiedy umrą, nikt ich też z niego nie wykreśli. Żeby zagłosować w wyborach, muszą najpierw zjawić się przed specjalną komisją i zgłosić urzędnikom najludniejszej demokracji świata, że są jej żywą częścią. Biurokratyczny niedowład przyjmuje groteskowe formy, bo jest rozpaczliwą próbą zapanowania nad ogromem życia i śmierci. Bywa, że cieszący się dobrym zdrowiem Hindusi figurują w dokumentach jako zmarli i latami próbują przed sądem dowieść swojego istnienia, aby założyć w domu licznik prądu albo kupić bilet miesięczny. Za to zmarli są według

dokumentów wciąż żywi i ze swych emerytur utrzymują całe rodziny.

Wszyscy władcy Indii — z muzułmańskimi Mogołami, brytyjską machiną urzędniczą i niepodległymi rządami włącznie — ponosili porażkę w zetknięciu z żywiołem. Bo wyzwaniem są nie tylko same rozmiary indyjskiego życia, ale także jego skomplikowana natura — jawi się ono jako chaos, jednoczesny ruch we wszystkich kierunkach, współistnienie nieskończenie wielu sprzecznych dążeń. Magma, która wszystko pochłania i wszystko w sobie roztopia. Nie reguluje jej żadna narzucona struktura, poza tą wewnętrzną i niewidzialną — kastową — ale nawet ona nie ustanowiła bezwzględnych granic i nigdy nie objęła wszystkich. Nie ma jednego hinduizmu, jednych Indii. Jest wielość pozbawiona najwyższej reguły.

Gdy się idzie indyjską ulicą, w głowie rodzą się pytania: skąd ich tutaj tyłu? Po co tu są? Dokąd idą? Dlaczego tak bezładnie, jakby brnęli pod prąd? I dlaczego jeden człowiek siedzi bez ruchu na środku chodnika, gdy kilkuset innych wpada na siebie, potrąca się i pcha? Co robi w tłumie kilkuletnie nagie dziecko? Czemu ten starzec leży właśnie tu, przy krawężniku? Gdzie oni wszyscy śpią?

Odpowiedzi, nawet jeśli istnieją, nie nadążają za znakami zapytania. Indii nie można objąć ani nazwać. Nie warto pytać, ilu jest tych ludzi, ilu ich przybędzie. Zgodnie z hinduskimi wierzeniami wszystkie dusze istnieją wiecznie. Powracają w cyklu narodzin i śmierci, wirują w kołowrocie samsary, za każdym razem w nowym wcieleniu, ale z bagażem poprzednich żywotów i już wytyczonym losem. Zmienia się tylko postać, ale istota i masa życia

pozostają. Hindusi powracają na ziemię, wciąż i wciąż od nowa, z nieustającym pragnieniem oczyszczenia i wyzwolenia.

Większość przychodzi na świat bez pomocy medycznej. Na wsiach kobiety rodzą same, w towarzystwie krewnych lub akuszerok dziedziących zawód po matkach. Z pokolenia na pokolenie przenoszą nie tylko swoją misję, lecz także zabobony i przekonania, które uśmiercają matki i dzieci. Ale droga do cywilizacji jest zbyt daleka i kosztowna — do szpitala nie ma czym dojechać, a jeśli już, to trzeba udać się tam z kimś z rodziny, zapłacić za podróż i nocleg, na kilka dni przerwać pracę w polu. Poza odległością jest też mur kulturowy — kobiety z ubogich plemion i małych wiosek boją się dyskryminacji w miejskim świecie, a mężowie nie dopuszczają do siebie myśli o tym, że ich żonami będą się zajmować lekarze mężczyźni. W tradycyjnych społecznościach poród to zdarzenie pozbawione wyjątkowości: nie usprawiedliwia specjalnych wydatków ani wysiłków. Tym bardziej że kobiety rodzą często, a dziecko może nie przeżyć. Koło się zamyka: im więcej porodów w prymitywnych warunkach i biedzie, tym więcej przedwczesnych śmierci. Strata noworodka jest powszechnym cierpieniem, tragedią wspólną tak wielu kobietom, że niemal pospolitą. Rozpaczą, z której szybko wraca się do codzienności.

Hinduski na wsiach zaczynają rodzić wcześnie, zwykle jako nastolatki. Są pośpiesznie wydawane za męża, muszą porzucić szkołę już po kilku klasach, a brak podstawowej edukacji, w tym nieznanomość własnego ciała i higieny, sprawia, że nie potrafią zapewnić dzieciom odpowiedniej

opieki, pokarmu i czystości. Indyjskie noworodki umierają, bo są brudne, niedożywione, zbyt wcześnie pozostawione samym sobie. Wszystkie wiejskie dzieci rodzą się do trudnego życia — pracują nawet czterolatki, choć prawo zakazuje zatrudniania nieletnich. Rozdźwięk norm i faktów towarzyszy wszelkim aspektom indyjskiej rzeczywistości: przepisy wyrażają jedynie marzenie Hindusów o nich samych, są teoretycznym szkicem lepszego życia i praworządnego społeczeństwa, sporządzonym przez ludzi pogrążonych w niemocy. Na papierze jest ideał, są gwarancje praw i groźby kar. W rzeczywistości wygrywają stare zwyczaje i twarde reguły biedy. Tam, gdzie jest głód, każdy musi zapracować na jedzenie. A dzieci szybko uczą się powinności — jak wszyscy wokół angażują się w zbiorowy wysiłek na rzecz przetrwania. Życie, szczególnie to młode, jest niepewne — toczy się w bezpośrednim sąsiedztwie śmierci, a niebezpieczeństwo towarzyszy mu niczym cień.

Najbardziej zagrożone są dziewczynki, bo ich istnienie liczy się mniej.

„Obyś była matką tysiąca synów” — życzą sobie kobiety w dniu ślubu. Chłopiec, który dorośnie i pomoże wyżywić rodzinę, a później zaopiekuje się starymi rodzicami, zjawia się w domu jak mały bóg. Rozpieszczany i hołubiony może liczyć na pierwszeństwo we wszystkim: dłuższy sen, lżejsze obowiązki, lepsze jedzenie, szkołę. O dziewczynkach mówi się, że są jak rośliny, które zakwitną w cudzym ogrodzie. Ich wychowanie to bezzwrotna inwestycja, bo zamążpójście oznacza zerwanie więzów z własną rodziną i odejście do domu męża. To przeniesienie jest sprawą konieczną, bo honorową, ale także niezwykle kosztowną. Rodzice panny

młodej muszą przygotować posag[5], co zwykle oznacza dla nich zadłużenie na lata. Jeśli mają kilka córek, chcą wydać je za mąż jak najprędzej — młodsza dziewczyna kosztuje mniej. Dlatego aranżuje się małżeństwa kilkuletnich dzieci, a nawet noworodków. Instytucja posagu uległa w XX wieku przerażającej deformacji. Sam pomysł był szlachetny: zabezpieczyć los młodej dziewczyny. Kilka bransoletek, para kolczyków i naszyjnik miały jej zapewnić odrobinę godności i niezależności w surowym i obcym świecie przyszłych krewnych. Początkowo posag miał wymiar symboliczny. Z czasem stał się przekleństwem o zabójczych konsekwencjach: jego żniwo to miliony kobiecych istnień. Córka zagraża przetrwaniu rodziny, więc wielu rodziców woli się jej zawczasu pozbyć.

W indyjskiej populacji jest wielka dziura — brakuje milionów dziewczynek. Znikają codziennie, w tajemnicy, hipokryzji i kłamstwie. Na wsiach są różne sposoby: podaje się im trujący miąższ oleandrów, koktajl z pestycydów, opium albo surowy ryż, który uszkadza delikatne narządy. Dziewczynki są duszone, zakopywane żywcem, wrzucane do studni. A czasem po prostu zostawiane samym sobie, by umarły z głodu. Na te zabójstwa spada zasłona milczenia. Nawet w małych wioskach, gdzie ciąży nie da się ukryć, sąsiedzi nie zadają pytań, a policja nie interweniuje. Matki zabijają, ponieważ nie mają za co wykarmić i wydać za mąż kolejnej córki. Lub ze strachu, że jeśli nie urodzą syna, mąż je porzuci i poszuka innej kobiety. Ale bywa i tak, że gdy ojciec zabija dziecko, kilku krewnych trzyma krzyczącą z rozpaczyny matkę. Kobiety znajdują swe córki martwe i w lodowatym spojrzeniu teściowych widzą ostrzeżenie: jakakolwiek próba protestu lub walki może i dla nich

skończyć się tragicznie.

Na wsiach do zabójstw doprowadza makabryczna plątanina tradycji, bezradności, ubóstwa i braku edukacji. W miastach środki są bardziej wyrafinowane, ale bezwzględność ta sama. Technologia, zaawansowana medycyna, wykształcenie i grube portfele rodziców, zamiast gwarantować dziewczynkom bezpieczeństwo, potęgują zagrożenie. Pozwalają eliminować kobiety ze społeczeństwa wcześniej, poprzez selektywne aborcje. Hindusi przekupują lekarzy, by jak najwcześniej poznać płeć płodu, i — jeśli to niechciana dziewczynka — usunąć ciążę. Skala zjawiska jest tak duża, że prawo przeprowadzania badań ultrasonograficznych zostało restrykcyjnie ograniczone, a lekarze nie mogą ujawniać płci płodu. Nie mogą, ale to robią, przy okazji oferując telefon do prywatnego gabinetu, gdzie wykonują aborcje. Wielu z tych ginekologów to kobiety. Na zabieg najczęściej decydują się zamożne rodziny z najlepszych dzielnic wielkich miast — te, których główną troską jest prestiż. W świecie bogaczy o losie dziewczynek nie decyduje widmo finansowej zapaści, ale głęboko zakorzenione przekonanie, że są mniej wartościowymi ludźmi. W klasie średniej, gdzie rywalizacja finansowa jest ostrzejsza, a konwenanse silniejsze niż na wsiach, częściej dochodzi również do zabójstw z powodu posagu — to tak zwane *dowry deaths*. Ta szczególna kategoria śmierci, podobnie jak *female infanticide* (zabójstwo żeńskiego noworodka) i *female foeticide* (aborcja żeńskiego płodu), ma własną terminologię i miejsce w kodeksie karnym. Została opatrzona osobnym paragrafem, karą, a nawet wyjątkowym trybem prowadzenia śledztwa. Jest wytworem

indyjskiego społeczeństwa, przekazywanym z pokolenia na pokolenie jak krwawe dziedzictwo.

Ofiary żądzy posagu to często żywe pochodnie, konające w mękach, na oczach bliskich: młode kobiety oblane naftą i podpalane, miotające się w zamkniętych domach albo na podwórkach. Kiedy przyjeżdża policja, krewni zgłaszają wypadek w kuchni. To wiarygodna fabuła: w Indiach ciągle gotuje się na palnikach naftowych, buchających kapryśnym i trudnym do skontrolowania ogniem. Sąsiedzi, choć ich domy dzielą od miejsca zbrodni metr lub dwa, zapewniają, że nie słyszeli krzyku. Są zaszokowani, tak jak wracająca właśnie z targu teściowa i mąż, który podobno przez cały dzień był w pracy. Standardowe śledztwo potwierdzi, że to nieszczęśliwy wypadek, i zostanie szybko zamknięte. Chyba że dociekliwy policjant podczas brutalnego przesłuchania ustali, że podpalona kobieta i jej rodzice byli miesiącami szantażowani o pieniądze. Gotówka i biżuteria, którą przekazali mężowi w dniu ślubu, nie wystarczyły. Pojawiły się nowe żądania: telewizor, skuter, kamera wideo, łódź, samochód. Kobieta za każdym razem, gdy wysyłano ją do domu rodziców, miała na ciele nowe siniaki, ślady rażenia prądem i duszenia. Presja rosła, ojciec i matka zastawili wszystko, co mogli. A kiedy rodzina męża uznała, że więcej nie dostanie, zabiła. Decyzja i wykonanie są zbiorowe, tak samo jak kłamstwa tuszujące zbrodnię. Zbiorowe nie tylko dlatego, że dokonane przez całą rodzinę w jej wspólnym interesie.

Przyzwolenie na zabójstwo jest wszechobecne i rodzi się w chwili, gdy dziewczynka przychodzi na świat. Czai się w milczącej obojętności sąsiadek, w nieczułych spojrzeniach

policjantów, których żony także wniosły posagi, w opieszałości sędziów wydających wyrok na swoje córki i córki ich córek. *Dowry death* to zbrodnia uniwersalna i popularna — nie dotyczy środowisk patologicznych, zdarza się w szanowanych domach, gdzie nie gości bieda. Giną żony prawników, urzędników, inżynierów i lekarzy. Zabija je kulturowa nienawiść i chciwość. Mord nie jest nawet wyprowadzany poza obszar życia codziennego, dokonuje się w samym jego sercu, pozostawiając ziejącą ranę. Różne są tylko narzędzia zbrodni i scenariusze: pozorowanie wypadku w płomieniach zmienia się czasem w zaaranżowane samobójstwo przez powieszenie lub otrucie. Ale motyw i poprzedzające tragedię tortury są takie same. O tajemniczych zgonach młodych żon indyjskie gazety piszą niemal codziennie. Notki są krótkie i mdłe — czytane regularnie zlewają się w opowieść o kraju, w którym bycie kobietą jest śmiertelnie niebezpieczne.

Płonące w domach kobiety są współczesnym przetworzeniem *sati* — rytuału palenia wdów na stosach pogrzebowych mężów, zakazanego w XIX wieku[6]. Wdowa, która spłonie wraz ze zwłokami męża, zostanie (zwyczaj wciąż jest praktykowany, choć oficjalnie przypadki *sati* rejestruje się niezwykle rzadko) wyniesiona do godności świętej, będzie uosobieniem cnotliwości i prawdy. Wypełni ideał małżeńskiego oddania, niczym Sita, bohaterka *Ramajany*, która rzuciła się w płomień, by udowodnić bogom i swemu mężowi Ramie, że pozostała nieskalana, choć długo przebywała w mocy demona Rawany. Bóg ognia Agni dostrzegł niewinność Sity i wyniósł ją z płomieni. Umierające na stosach kobiety, gdy stają się *sati*, dostępują chwały, są wielbione w

budowanych na ich cześć świątyniach. Poprzez swoją śmierć zapewniają rodzinie status i szacunek. Najznakomitsze rody Radźputów z Radźasthanu szczycą się, że mają je wśród przodków. Gloryfikujący śmierć rytuał dokonuje się na oczach świadków. Kobiety nie zawsze wchodzą na stos dobrowolnie, są zmuszane, odurzane narkotykami. *Sati*, poza aspektem duchowym, ma też prozaiczny wymiar — pozbycie się wdowy umożliwia pozostawienie majątku w rękach rodziny męża i uwalnia krewnych od obowiązku utrzymywania osamotnionej kobiety, obcowania z jej nieczystą postacią. W ostatniej chwili przed podpaleniem stosu krewni zachowują zimną krew — pamiętają, by zdjąć biżuterię z jej rąk i nóg.

Dla wielu wdów stanie się *sati* to nie tylko droga do świętości, lecz także ucieczka przed okrutnym losem, gdyż wraz ze śmiercią męża unicestwieniu ulega sens życia kobiety. Jej prawo do istnienia od narodzin wiąże się z mężczyzną: najpierw opiekunami są ojciec i brat, później mąż, wreszcie najstarszy syn. Pozbawiona męskiego pierwiastka jest balastem, wyschniętą rośliną. Nie wyjdzie ponownie za mąż i nie wyda już z siebie życia. Na nic się nie przyda. Wraz z mężem traci tarczę osłaniającą ją przed brutalnością rodziny. W wiejskich społecznościach wdowieństwo to śmierć za życia: rygorystyczna asceza, bezlitosna redukcja istnienia, smutna wegetacja wśród zakazów. Po śmierci męża wdowa wyrzeka się ozdób, przede wszystkim tej najpiękniejszej i najbardziej cenionej — włosów. Goli głowę i zdejmuje biżuterię — odtąd będzie nosić wyłącznie proste białe sari, zapomni o radościach i rozrywkach, o słodyczach i przyprawach, będzie jeść mdłe i skromne potrawy. Nie siądzie do posiłku z krewnymi, nie

będzie uczestniczyć w spotkaniach towarzyskich, oddali się od życia, zjednoczy w śmierci z mężem i skupi na tym, by nie splamić honoru rodziny. Zdarza się, że wdowy są głodzone, zmuszane do spania na podłodze i żebrania, wreszcie wypędzane z domów. Jedynym ratunkiem przed tak strasznym losem jest troskliwy syn: on zapewni kobiecie poważanie. Dlatego jego więź z matką jest silna i szczególnie pielęgnowana: narastająca latami wdzięczność staje się polisą. Rodząc córkę, kobieta myśli o dniu, w którym się z nią rozstanie. Wydając na świat syna, zapewnia sobie godne życie i śmierć.

Samotni Hindusi umierają w tłumie. Gasną po cichu niezauważeni — są jak wędrowcy, którzy polegli w drodze. Nie czekają na śmierć w swoich łóżkach. Pozbawieni domów i bliskich, w nieustającej tułaczce, spotykają ją na ulicy. Gdy w słoneczny i duszny poranek milion osób wylewa się z dworca Howrah, oddzielonego rzeką od nabrzeża z przeludnienia Kalkuty, pojedyncze życie dobiega końca. Leży tuż przed głównym wyjściem z hali, stygnie z wolna na gorącym asfalcie. A wszystko wokół buzuje: ludzki ogrom musi znaleźć ujście, wycieka z budynku i rozpełza się po mieście. Tylko dwie chude nogi trwają bezwładnie zemdlone. W leżącej sylwetce chudego starca nie byłoby nic niepokojącego, gdyby nie zwrócona w dół twarz — żywi śpią na plecach, wystawieni do słońca. Ale to skurczone ciało jest inne, już bez ducha. Półnagie, oplecione w pasie kawałkiem podartej bawełny. Choć leży na widoku, pozostaje niewidzialne. Omijają je wszyscy z wyjątkiem dwóch policjantów ubranych w białe mundury — kolor hinduskiej żałoby. Mówią coś do krótkofalówek, słuchają odpowiedzi, stoją znudzeni. Wiedzą, że na wóz z

kostnicy przyjdzie poczekać — śmierć ma w Indiach pełne ręce roboty.

Szkoda, że nie zdążyli dziś wolontariusze od Matki Teresy. Jeżdżą po mieście, zbierają chorych i wycieńczonych z chodników, aby nie umierali samotnie. Wiozą ich na Kalighat, do małego hospicjum, gdzie albańska zakonnica opatrywała rany trędowatym i trzymała ich za rękę w chwili śmierci. Nie próbowała odwrócić boskich wyroków, pomagała je przyjąć. Tej zgarbionej staruszki, służącej najbiedniejszym z biednych, już nie ma. Nie ma też ubóstwa tak nieprzebranego jak w latach czterdziestych XX wieku, gdy zaczynała swoją misję na ulicach Kalkuty. Ale wszystkie łóżka w przytułku są wciąż zajęte. W obu salach — żeńskiej i męskiej — czuć słodkawych zapach. Młodzi wolontariusze uśmiechają się, szepczą łagodnie. Są akuszerami, pomagają się przeprowadzić na drugą stronę. Gdy karmią i tulą umierających, ich ruchy są powolne i płynne, jakby nie z tego świata. A już na pewno nie z buchającego zgiełku, który czeka za drzwiami.

Zmarli z przytułku Matki Teresy są chowani zgodnie ze swoim obrządkiem — chrześcijanom i muzułmanom jest zapewniany pochówek, ciała hindusów jadą do *ghatów*[7] nad rzeką i tam są palone. W hinduizmie śmierć to droga do odrodzenia, być może w lepszym wcieleniu — konieczny przystanek między tym a kolejnym istnieniem, moment regeneracji. Pogrzeb nad wodą ułatwia płynne przejście z życia do śmierci, bo rzeki leżą na ich pograniczu. Przepływają cały mityczny świat, łącząc rzeczywistość ludzką i boską. Ich ruch symbolizuje wędrówkę dusz. Ganges, jako najświętsza z rzek, ma szczególną moc:

podanie jej wód umierającemu i kremacja na jej brzegu mogą wyzwolić z koła wcieleń. Ganges spadł na ziemię z nieba z ogromną siłą; nie zniszczył jej tylko dzięki interwencji Śiwy, który przyjął wodę na swoją głowę — splątana w jego włosach krążyła przez dwanaście lat, wreszcie zstąpiła na ziemię i popłynęła do oceanu. W cudowny sposób obmyła prochy sześćdziesięciu tysięcy spopielonych synów króla Sagary, zapewniając im zbawienie.

Kremacja ciała sprawia, że elementy, z których składa się ziemskie życie, zostają zwrócone naturze, zaś oswobodzona dusza wędruje do światów wyższych. Nie wszyscy jednak podlegają tej procedurze: dzieci do piątego roku życia są chowane w ziemi, oświeceni mężowie spoczywają w pozycji lotosu w kamiennych grobach, a ciała ascetów, już wcześniej poddanych symbolicznej kremacji, są wrzucane do rzeki. Spopielenie zmarłych umożliwia dalszą podróż duszy, ale pozwala też rodzinie dokonać symbolicznego obmycia — śmierć zanieczyszcza wszystkich, którzy znajdują się w jej pobliżu; dopóki dusza nie odejdzie w zaświaty, nie mogą dokonać rytualnej kąpieli i w pełni uczestniczyć w życiu. Zwłoki kremuje się, o ile to możliwe, jeszcze w dniu śmierci. Umyte ciało zmarłego jest okrywane białym całunem i na drewnianych noszach transportowane na stos. Głowa zostaje zwrócona na północ — w stronę królestwa Kubery, boga bogactwa — zaś stopy na południe — w kierunku Jamy, władcy zaświatów. Według hinduskich legend to on jako pierwszy zmarły człowiek przeszedł drogę w zaświaty — teraz podążają nią wszyscy, by w jego krainie spotkać przodków. Wysłannikami Jamy są czterookie psy, wypatrujące wśród

ludzi tych, których czas nadszedł. Dusza opuszcza ciało i podąża do królestwa Jamapury — trwa to cztery godziny i czterdzieści minut, dlatego zwłok nie wolno spalić wcześniej. Sekretarz Jamy odczytuje z wielkiego rejestru dobre i złe uczynki zapisane na koncie każdej duszy. Sporządza bilans, na podstawie którego orzeka, czy będzie jej dane przebywać wśród przodków, czy trafi do jednego z dwudziestu jeden przerażających piekieł. Oba stany są przejściowe — ani słodycz, ani męki nie trwają wiecznie. Świat to cykliczność, wciąż zawiązująca się pętla. Jedynym wyjściem z niej jest moksza — ostateczne uwolnienie od cierpień, całkowita realizacja duszy, zjednoczenie z bogiem.

Są dni, gdy w Waranasi trudno oddychać. Dym ze stosów pogrzebowych gęstnieje i wędruje w górę miasta, wijąc się wśród splątanych uliczek. Na głowy przechodniów sypie się popiół, ciemne płatki lecą z nieba — uniesione w powietrzu rozgrzanym przez ogień opadają bezszelestnie, pokrywając wszystko ledwie widoczną mgiełką. Ruch na *ghatach* przy Gangesie nie słabnie: przybywają kolejni zmarli. Tu — w świętym mieście Śiwy, jednej z najstarszych istniejących nieprzerwanie osad w Indiach — mają większe szanse na wyzwolenie. Procesje z ciałami krążą w labiryncie starych domów, by z imieniem boga na ustach dotrzeć nad rzekę. Obrzędy pośmiertne trwają dziesięć dni; popiół powinien zostać zebrany między trzecim a dziesiątym dniem po kremacji, rozsypany w różnych miejscach i zmieszany z ziemią. Ale nawet święte rytuały muszą ustąpić przeludnionej doczesności — ciała pali się w pośpiechu, nie zawsze doszczętnie, tym bardziej że do całkowitego spopielenia trzeba dużo drewna, a nie

wszystkich na nie stać. Bywa, że Ganges zabiera ledwie nadpalone zwłoki. Na zatłoczonych *ghatach* więcej jest życia niż śmierci, więcej witalnego zgiełku niż pośmiertnego milczenia. Najklarowniejsze, najbardziej nawet rygorystyczne reguły zyskują tysiące interpretacji, mutują w nieskończoną liczbę odmian. Każdy rozumie świętość inaczej i zadośćuczyni jej na swój sposób — Indie rodzą się i umierają w sprzecznościach.

Dopiero świta. Asceci zeszli na *ghaty* w ciemności, by oddać cześć wodom bogini Gangi — wielbić jej życiodajną moc. Nucą mantry, przelewając wodę przez splecione dłonie. Ich półnagie sylwetki majaczą w świetle poranka. Słońca jeszcze nie widać, pierwsze odgłosy życia wypraszają nocną ciszę. Łódź niespiesznie przesuwa się wzdłuż brzegu, oddalona o kilkadziesiąt metrów. Stąd dobrze widać i życie, i śmierć. Wiosła opadają ciężko w ciemną wodę, zmętniałą i gęstą. Nagle, tuż pod powierzchnią, pojawia się niemowlęca twarz — opuchnięta, z lekko wydętymi ustami. Posiniała już, rozmywa się w wodzie niebieskawym refleksiem. Ganges unosi maleńkie ciało. Jest jego grobem i oswobodzeniem.

Poranna kąpiel bogów

Na przełomie wiosny i zimy Indus nabiera mocy — topnieją śnieżne kołnierze Himalajów, skaliste olbrzymy uwalniają się z lodowej pokrywy. Suche, matowe lśnienie ustępuje miejsca migotliwej wilgoci. Odmarzają zatrzymane na wiele miesięcy potoki — zaraz znów ruszą ostro w dół, tnąc górskie ściany. Będą się wrzynać jeszcze mocniej, rysując na zboczach głębokie zmarszczki, jedyny dowód życia i upływu czasu w tej niewzruszonej kamiennej materii. Z daleka żłobiny wyglądają jak pajęczyna, subtelnie oplatająca uśpionego giganta. W rzeczywistości każda z tych nitek niesie miliony litrów wody, lodowatej i krystalicznej.

Wysoko, bliżej szczytów, panuje cisza. Krople osuwają się niepostrzeżenie. Dopiero potem, gdy już przybiorą postać strumienia, zaczynają hałasować niczym tłum w pośpiechu udający się na doroczne zgromadzenie. Szumią coraz głośniej, nawołując się wzajemnie — dają znać, że się do siebie zbliżają. Wpływają do szerszej rozlewających się koryt, jeszcze niemal pionowych, pędzą w dół coraz śmieiej, aż nagle najbardziej zawiły i niebezpieczny etap wędrówki się kończy. Jeden po drugim spadają do wielkiej wodnej autostrady — teraz już nic ich nie powstrzyma. Razem tworzą jedną z najpotężniejszych rzek świata.

Rozłożył na kilkadziesiąt metrów, majestatycznie wzburzony Indus onieśmiela — jest panem życia, od niego zależy los niezliczonych istnień. Jeszcze tylko jedno ważne spotkanie. Nieco powyżej Leh — stolicy Ladakhu — na chwilę zwalnia, aby łagodnie przyjąć pędzące od północy wody Zanskaru. Mają dużo miejsca — góry rozstąpiły się, otwierając przed nimi trójkątną dolinę. Na zakręcie wody kotłują się i ryczą, spienione fale przeskakują jedna drugą. Kto wie, dokąd by pobiegły, gdyby nie potężne skalne bloki, milcząco strzegące głównego nurtu. Tylko z pozoru Zanskar dorównuje Indusowi — popisuje się siłą i prędkością, której nabrał na ostatniej prostej. Ale Indus udowadnia swą wyższość, wchłania zielone wody z północy i roztopia je w sobie. Nim się Zanskar spostrzeże, jest już jego częścią. Wzmocniona, jeszcze dostojniejsza rzeka płynie dalej. A to dopiero początek wiosny, słońce zacznie grzać mocniej, spadną deszcze — wody będzie więcej.

Głośny plusk oznajmia początek porannego rytuału. Wylana z kubelka woda ścieka po czarnych włosach, mknie w dół pleców, ląduje na chodniku, wreszcie — poganiana kolejnym chluśnięciem — stacza się do rynsztoka. Jeszcze kilka kubelków wylanych na całe ciało i w ruch idzie mydło. Najpierw włosy: dłonie pracują szybko i precyzyjnie, szorują, myją i jednocześnie masują. Wyciskają ze skóry nocny pot, ciężki sen — pobudzają krążenie, otwierają głowę na nowe myśli, na długi dzień. Palce wirują w uszach, wyginają małżowiny, nacierają kark. Strużka mydła sunie po kręgosłupie, rysując wyraźną białą linię na ciemnobrązowej, rozświetlonej wodą skórze.

Spływa aż do lędźwi, zatrzymując się dopiero na

niebieskim *lungi* — kawałku kraciastego materiału, którym riksarz oplótł biodra. Siedzi na chodniku po turecku, odwrócony plecami do ulicy. Pochłonięty szorowaniem, skupiony i poważny — przypomina chłopca zajętego zabawą tak bardzo, że poza nią nie widzi świata. A jest dorosłym mężczyzną, oddającym się najważniejszej czynności dnia. Oddaje się — to właściwe słowo, bo kąpiel jest wysiłkiem, poranną pracą, drogą do czystości. Powinnością, świętością i sprawą wielkiej wagi.

Wszystko dzieje się szybko, ale z wielką dokładnością: każdy ruch jest powtarzany kilka, kilkanaście razy — dla pewności. Po plecach pora na nogi, oparte piętami o chodnik — łydki i uda pozostają w górze, tylko pośladki, owinięte materiałem, znajdują się na ziemi. Mężczyzna, choć siedzi przy ulicy, nie dotyka niczego nieczystego. Mocno wciera mydło w skórę, nie używając gąbki ani szczotki — wystarczają mu dłonie. Ich jasne wnętrza błyska — zdaje się, że zbielały od szorowania. Każdy palec u stopy jest traktowany z osobna, pocierany i uciskany ze wszystkich stron, w końcu obficie polewany wodą. Kolejne porcje wlewają się za *lungi*. Dłoń wsunięta pod materiał myje krocze i pośladki. Ruchy są energiczne, pewne i nieprzypadkowe. Poranna kąpiel jest skrupulatnie powtarzaną kombinacją gestów, którym zostały przypisane waga i znaczenie. A przecież to nie bramińskie ablucje, tylko kąpiel ubogiego człowieka przy miejskiej pompie.

Kilka kubelków na głowę, kilka kolejnych na pośladki i nogi, ten ostatni — na stopy, już wsunięte w *ćappale*[8]. Ciało lśni, a woda trzyma się skóry, spływa opornie. *Lungi* przylega do pośladków, przykleja się do ud. Riksarz sięga po leżący na pobliskim straganie kawał suchego materiału.

Owija się nim pod pachami, oba krańce przytrzymuje lewą ręką — powstaje zasłona. Zwinnie zsuwa mokre *lungi*, a czyste zawiązuje na biodrach. Umył się cały, w środku miasta, nikogo nie gorsząc. Znów pompuje wodę do blaszanego wiadra — za każdym razem wyskakuje lekko do góry, by ciężar ciała pomógł naciskać żeliwną wajchę. Pompa jest stara, skrzypi, ale działa bez zarzutu — wypluwa wodę długim i szerokim strumieniem. Kilka zamachów i wiadro się napełnia. Wykorzystywane przy myciu *lungi* otrzymuje swoją porcję mydlin. Pocierane o chodnik, zbierane w obie dłonie i ugniatane, ląduje wreszcie w wiadrze, gdzie jest porządnie płukane. Wyżęte, spoczywa na suchym już ramieniu rikszarza. Resztą wody z wiadra mężczyzna zmywa po sobie wspólnotową łaźnię. Odchodzi.

Ulicą pędzi dwóch sprzedawców kur na rowerach — z ramion kierownicy i kija zatkniętego w poprzek bagażnika zwisa kilkadziesiąt gdaczących ptaszysk, przywiązanych sznurkiem za łapy. Stłoczone w dziwacznej pozycji rozglądają się niespokojnie. Jadą na spotkanie z przeznaczeniem do góry nogami.

Ruch przy pompie nie ustaje. Teraz młody chłopak podskakuje nad jej ramieniem, aż woda zaczyna się wylewać z aluminiowej miski. Odciąga ją na bok, zsuwa *ćappale* i pierwszy kubełek wylewa na twarz. Płuca usta i pluje równym strumieniem wprost do rynsztoka. To też niemała umiejętność, dobrze wyćwiczona. Zwielokrotnione odgłosy płucia i charczenia towarzyszą pluskom wody, mieszają się z dzwonkami rowerów, klaksonami pierwszych taksówek i wyciem przebudzonych psów. Ulica jest jeszcze

prawie pusta, tłok tylko wokół pomp. Przy tej zebrało się dziesięciu mężczyzn, a miejsce umytego rikszarza szybko zajął następny. Inni, w oczekiwaniu na swoją kolej, czyszczą gardła — wpychają palce głęboko pod migdałki, wywołując odruch wymiotny, który pozwoli usunąć nagromadzone w czasie snu nieczystości. Reszta stoi przy swoich wiadrach, szorując zęby. Tylko niektórzy mają szczoteczki. Większość woli tradycyjną metodę — w dłoni ściskają gałązkę drzewa *nim*. Pocierają końcówką każdy ząb, a drewniane włókna szybko się rozłączają i układają na kształt szczoteczki. Raz po raz mężczyźni głośno i ostentacyjnie wypluwają łykowate nitki. Wychudzony staruszek nie zadaje sobie tyle trudu: kilkakrotnie płucze usta, po czym wsuwa w nie palec i opuszkami czyści te kilka zębów, które mu jeszcze zostały. Pluje z młodzieńczym wigorem.

Wszędzie wokół gorączkowe mycie, czyszczenie i sprzątanie — dzień rozpoczyna się od porządków. Uliczni sprzedawcy przekąsek polewają wodą stragany, płuczą wielkie gary i drewniane stoły, myją warzywa. Dzieci napełniają wiadra i taszczą je w kierunku domów. Kierowcy ciężarówek wyznają miłość swoim rydwanom — mokrymi szmatami czyszczą każdą śrubę przy kole, pucują szyby do sucha, ścierają smolisty brud z malowideł, którymi ozdobili nadwozia i maski. Widniejąca nad znaczkami „Tata”[9] bogini Kali znów nabrała wyrazu — na jej czarnych piersiach kołysze się krwisty naszyjnik. Z lśniąca pogromczynią demonów nie strach ruszyć w drogę. Potężne reflektory żółtych ambasadorów[10] błyszczą jak krople wody na dojrzałym mango, odbijają się w nich poranne promienie. Sprzątacze ostrymi szczotkami

wymiatają wszystko, co od wczoraj nagromadziło się w rynsztokach — zgniłe resztki jedzenia, fekalia, śmieci, potłuczone gliniane kubeczki na herbatę. Odpadki trafiają do pudeł, kartonów albo plastikowych beczek, a później jadą na wózkach do jakiegoś zaułka, gdzie najniżej urodzeni będą je przebierać — oddziela papier od plastiku, wyłuskają wszystkie przydatne lub nadające się do sprzedania resztki. Niczego nie zmarnują.

Sklepikarze wylewają wodę na chodnik przed drzwiami, a na mokrych jeszcze płytach swoje zakłady usługowe otwierają pucybuci i golarze. Dwa stołeczki albo drewniane skrzynki, obtłuczone lustro, budy ręcznik, kubek z wodą, mydło i brzytwa — tyle wystarcza, by zapewnić klientom elegancki wygląd, a własnej rodzinie — dach nad głową. Okoliczności są co prawda skromne, ale zdolności cyrulików nie można lekceważyć. Namydlona twarz odsłania się dzięki delikatnym i pewnym pociągnięciom prostokątnego ostrza. Palce lewej dłoni, rozstawione szeroko, jednocześnie podtrzymują głowę klienta i napinają skórę. Najpierw golone są policzki, potem szyja, na końcu broda i wąsy. Całą operację powtarza się dwa razy i jest ona tak dokładna, że na koniec wystarczy, by golarz przetrął gładką skórę zwilżoną dłonią, po czym przypieczętował zabieg odrobiną płynnego dettolu — wyrobu firmy słynącej w całych Indiach z produkcji taniego i wydajnego mydła.

Uliczne pompy to ośrodki życia i luksus. Chwali się nim co kilkaset kroków centrum Kalkuty, tęsknią za nim zakurzone Delhi i tysiące poszarzałych od brudu miast. Ludzi mających dostęp do wody jest znacznie mniej niż

tych, którzy co dzień muszą jej szukać. Dla nich każda kropla się liczy, a garść często wystarcza do całej toalety. Dlatego płaczący przeraźliwie malec, oblewany strumieniami od główki po niecierpliwie tupiące na chodniku stopy — choć tego nie wie — jest szczęśliwym dzieckiem. Trzymany za ręce przez dwie kobiety krzyczy z przerażenia, gdy trzecia przechyla dużą plastikową butelkę — mokną jego brzuch i ramiona, a dłonie opiekunek kilkoma ruchami oczyszczają małe ciało. Tym, co zostało w butelce, kobiety wielokrotnie płuczą usta i przecierają twarze, na koniec przesuwając od czoła po brodę kantem dłoni — rozciągnięty kciuk i palec wskazujący zbierają nadmiar wody. Przez ich ręce nie przelewa się beztrąsko, gęstnieje jak oliwa. Wody w Indiach jest mało, zawsze za mało. Móc się umyć to przywilej.

Ledwie ulicę dalej, pod wiaduktem, mieszka rodzina, która nie myła się od dawna. Dwójka maluchów w łachmanach — dziewczynka i chłopiec — kręci się wzdłuż ruchliwej jezdni. Matka stoi obok z opuszczonymi rękoma, patrzy obojętnym wzrokiem. Nagle dziewczynka zaczyna płakać, a z ziemi podnosi się ojciec i wymierza jej policzek. Wszyscy mają bardzo ciemną skórę — co zwykle wskazuje na pochodzenie z najuboższych środowisk — pokrytą pyłem i brudem. Ich włosy, skołtunione i suche, tworzą sztywną skorupę. Nawet gdyby znalazła się troskliwa dłoń, by je pogłaskać, napotkałaby opór. Taka bieda nie zna czułości. Nie zna też pełnego brzucha ani zapachu dettolu.

Poranki wielu indyjskich dzieci pachną olejkiem kokosowym, którego krople — nie więcej niż kilka — matki wcierają im w wilgotne włosy, aby nabrały sprężystości i blasku. Kobiety wmasowują go też w swoje warkocze,

noszone niczym najcenniejsza ozdoba. Hinduska z rozpuszczonymi wilgotnymi włosami to widok zjawiskowy i rzadki — by się nim nacieszyć, trzeba pojechać na wieś. Włosy niezaplecione, a do tego mokre, są zbyt blisko erotycznych fantazji, żeby je beztrąsko obnosić ulicami miast. Na prowincji moralne rygory częściej ustępują prozaicznej konieczności, a i hipokryzji jest mniej. Można więc spotkać kobietę pośpiesznie prowadzącą stado kóz i zobaczyć, jak zwilżone pukle rozsypują się na jej plecach. Wczesnym rankiem Hinduski biorą kąpiel w rzekach albo małych stawach przed domami. Wchodzą do wody w ubraniu, a ponad powierzchnię wystaje jedynie głowa, udaje się więc oczyścić ciało i zachować dyskrecję. Obraz kąpiącej się kobiety to jeden z najważniejszych romantycznych wątków poezji, mitologii i zbiorowej wyobraźni Hindusów. Każda bollywoodzka bogini ma w filmowym dorobku scenę w mokrym sari, kulminacyjną sekwencję, w której luźno udrapowany materiał zostaje zamoczony — zwykle w rzece lub deszczu — i ciasno opina jej ciało, ujawniając pełnię kształtów. Mężczyźni, trafnie odczytując dedykowaną im scenę, wyskakują w kinach z siedzeń wśród okrzyków i gwizdów.

Wiejskimi ścieżkami wędrują wymyte dzieci z równo rozczesanymi przedziałkami. Ich ojcowie i dziadkowie wracają do chat od strony stawów i potoków w zawiniętym wokół bioder *dhoti*, bez koszul. Pozwalają, aby ciepły wiatr osuszył ich torsy. Ludziom wtórują zwierzęta — gęsi gromadzą się nad kałużami, żeby czyścić pióra. Psy rozkładają się na widoku i dokładnie wylizują. Świeżo wymyte ciała, choćby kąpiel dokonywała się w trudnych warunkach, są zawsze powodem do dumy. Rano Hindusi

pięknieją, noszą się dostojniej niż po południu, gdy żar zleje ich ciała potem, a brud przylgnie do skóry. Nim koszule zamokną, a ciasno skrojone bluzeczki sari pociemnieją. Ale to dopiero za kilka godzin — teraz wszyscy mają wilgotne włosy, rozświetlone czoła, obsypane jasnym talkiem szyje. Indie oddychają głęboko i spokojnie w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Poranna kąpiel jest bramą życia — dopiero po umyciu całego ciała hindus może oddać cześć bogom i zjeść pierwszy posiłek. Wyznawcy hinduizmu różnią się między sobą, ale łączy ich dążenie do czystości i unikanie zabrudzenia. Podział na to, co czyste — godne szacunku, dobre, szlachetne, pochwalane — oraz to, co nieczyste, czyli niskie, pogardzane, pozbawione wartości, jest główną osią, która wyznacza kurs życia religijnego i codziennego. Mycie się to także oczyszczenie duchowe, pozostawanie po jasnej stronie świata, przybliżanie do ideału. Święte teksty — *Wedy* i *Upaniszady*[11] — zalecają odbywanie kąpieli przed świtem i mycie ciała co najmniej dwa razy dziennie. Przestrzegają, że kto nie dopełni porannego obowiązku, sam będzie zanieczyszczał wszystko wokół, także jedzenie. Kąpiel opisana jest jako święta czynność, której towarzyszą medytacja i modlitwa. Obmywanie ciała jest zachwalane jako pobudzające zmysły i zapewniające długowieczność. Poza tym ma walory, jak mówimy dziś, psychoterapeutyczne: zabiera złe myśli i daje spokój.

Kąpiel wzorowa, o największej wartości duchowej, dokonuje się w jednej z siedmiu świętych rzek Indii: Gangesie, Jamunie, Godawari, mitycznej Saraswati, Narmadzie, Kaweri lub Sindhu (Indusie). Ale każda rzeka ma szczególne znaczenie, dlatego wielu bogobojnych

hindusów udaje się rankiem na brzeg i tam, przelewając wodę z ułożonych w naczynie dłoni, recytuje mantry. Nabiera kilka kropli do ust i zanurza się. Dobrze odrobinę wody poświęcić pamięci zmarłych przodków. Szczególnie *sadhu*, leciwi asceci, zamieniają kąpiel w skomplikowany i długotrwały rytuał. Najświętsze indyjskie miejsca leżą zwykle nad rzekami, a jeśli dwie rzeki się łączą — tym lepiej. Tam kumuluje się boska moc, woda obmywa skuteczniej i dogłębniej — sięga dalej wstecz, zabiera grzechy doczesne i te z minionych żywotów. Ganges jest najświętszy — uwalnia od wszelkich nieczystości i dziesięciu grzechów głównych. Pognębionym zwraca godne życie, a religijnych i czystych prowadzi na wyższy wymiar duchowości. Ganges oczyszcza wszystko, czego dotknie, pozwala uwolnić od zabrudzenia nie tylko siebie, ale i siedem pokoleń przodków.

Graficznym znakiem wody jest w hinduizmie okrąg, symbol pełni, a uosobieniem Gangesu — bogini Ganga, śliczna dziewczyna z kwiatem lotosu i dzbanem. Niegdyś w świątyniach dwie rzeki przedstawiano na ozdobnie kutych drzwiach: Ganga płynęła na grzbiecie krokodyla, Jamuna — na skorupie żółwia. W hinduizmie jest pełno wody — jako jeden z elementów stwarzających świat ma ona decydujące znaczenie dla niemal wszystkich obrzędów, rytuałów i modlitw. Obmywa, zachowuje życie, ochrania, niszczy zło. Gdy rodzi się dziecko, ktoś z najbliższych krewnych powinien je nią skropić, nadając mu cechy swego charakteru. Woda towarzyszy także śmierci — krople z Gangesu podaje się do wypicia umierającym, a stosy pogrzebowe są układane na brzegach rzek. Bliski krewny — zazwyczaj syn zmarłego — okrąża stos z garnuszkiem,

skrapiając ziemię wokół. Tworzy barierę, przez którą dusza nie może wrócić do świata rzeczywistego jako duch. Uczestniczący w pogrzebie powinni poczekać, aż żar rozłupie czaszkę nieboszczyka, i wtedy odbyć kąpiel. Jest konieczna, bo przebywanie w pobliżu tego, co martwe, podobnie jak zabijanie, silnie zanieczyszcza. Między narodzinami a śmiercią, na każdym kroku, woda jest hindusowi niezbędna do życia zgodnego z wierzeniami. Bez porannej kąpeli nie wolno odprawić *pudzi*[12], a dzień bez uczczenia bogów nie może być pomyślny. Nawet picie wody ma wymiar duchowy — jest kąpielą wewnętrzną.

Na rogu dwóch alei wytyczonych z kolonialnym rozmachem w centrum Kalkuty, którą Brytyjczycy wybrali na stolicę królewskich Indii[13], stoi biały cokół. Został zbudowany wokół potężnego drzewa, a jego boki wyłożono jasnymi płytkami. Są wśród nich malowane kafle przedstawiające najpopularniejszych i najbardziej kochanych hinduskich bogów — małe postaci mienią się różowym, błękitnym i złotym blaskiem. Wierzch cokołu został pokryty białym marmurem, idealnie gładkim, dzięki czemu woda łatwo po nim spływa. Trwa poranna kąpiel bogów, których figury usadowiły się wokół drzewa. Krząta się przy nich bramin — umyty, ubrany w świeżą kurtę i spodnie; jego włosy lśnią wilgocią, a na ubraniu widać jeszcze nierozprasowane zagięcia. Odbył już pierwszą modlitwę, o czym informuje widoczny na jego czole znak: biegnąca pionowo pomarańczowa kreska. Na każdy z posążków leje potężną porcję wody ze srebrnego garnuszka — wymalowany szafranową farbą Hanuman, dzielny dowódca małp i ważny bohater *Ramajany*, góruje nad boskim zgromadzeniem. Jest największy, a jego liczne

ręce, uniesione po obu stronach tułowia, rysują opiekuńczy krąg nad stojącymi u jego stóp mniejszymi figurami. Hanuman szczyrzy zęby — cieszy się na poranną toaletę. Jego uważny wzrok pada na ruchliwe skrzyżowanie, gdzie zbiegają się wielopasmowe ulice, a między samochodami, rikszami i wózkami próbują się przeciskać zniecierpliwieni ludzie. Wiele tam zgiełku i zamieszania. Może jeszcze nie teraz, ale za godzinę czy dwie będzie gwaro i niebezpiecznie, odważny Hanuman dobrze o tym wie. Trwa gotowy do skoku, w każdej chwili skory uratować czyjeś życie, narażając własne. Orzeźwiony kąpielą nabrał mocy — widoczny z daleka, roztacza jaskrawą aurę, wytrwale wprowadzając ład i bezpieczeństwo w kłębiącą się codzienność. Może to on wysłał na pomoc dwóch strażników, którzy stoją przy przejściu dla pieszych, trzymając w dłoni grubą linę — oddzielają napierający tłum od zakorkowanej jezdni. Dopiero gdy opuszczą zaporę, ludzie będą mogli ruszyć. Sygnalizacja świetlna nie wzbudza szacunku Hindusów, nie powstrzymuje ich migająca na czerwono ludzka sylwetka. Tu rządzą odwieczne przyzwyczajenia i starzy bogowie. Obok Hanumana przycupnął pękaty Ganeśa — jego krągły brzuch z wyraźnym pępkiem połyskuje w promieniach, a dwa wymyte kły błyszczą niczym ostrza. Słoniogłowy bóg jest już gotowy na swe ulubione rozkosze — usadowił się wygodnie, a w jego lewej dłoni spoczywa miseczka pełna słodczy. Zadowolony i nakarmiony Ganeśa to dobry znak dla wszystkich hindusów — będzie im przynosił pomyslny i usuwał przeszkody. Nieco dalej swój kamienny zad suszy groźny lew, którego dosiadła Durga, wyruszając na walkę z demonami. Chłodne krople kapią z grzywy i paszczy drapieżnika, a wypolerowane miecze i ostrza w rękach

bogini świadczą o jej nieśląbnącej sile. Dziś znów, jak co rano, szykuje się na krwawą rozprawę ze złem. Czarny lingam, pod którego postacią czczony jest potężny Śiwa, błyszczący najefektowniej. Gdy tylko wyschnie, zawisną na nim jaśminowe girlandy. Boski korowód zamyka byk Nandin, wierzchowiec Śiwy. Został dokładnie wypucowany, uwolniony od wirującego w powietrzu pyłu i smogu. Stoi niewzruszony, zerkając na przesuwające się ociężałe żółte taksówki. Kąpiel bogów dobiega końca. Teraz polewane wodą dłonie przecierają cały cokół, gładzą korę drzewa, wreszcie przywierają do siebie, złożone w znak czci.

Hinduscy bogowie mają wiele do czynienia z wodą — po wielkich festiwalowych obrzędach ich podobizny lądują w rzece, a potem sterczą przy brzegu niczym upiorne straszysła. W mitologii Brahmie, Saraswati i Agniemu towarzyszy garnuszek. W rekach Brahmy jest on wazą mądrości, naczyniem zawierającym w sobie całość istnienia. Woda jest żywiołem życiodajnym, decydującym, ale także niebezpiecznym. Malutkiego Krysne, który zaraz po narodzinach został zmuszony do ucieczki przez rzekę, przed ulewnym deszczem ochraniał wąż Śesza. Później, gdy bóg posiadał już pełnię swych mocy, uniósł wielką górę i trzymał ją jak parasol, ratując życie pasterzom, na których rozwścieczony Indra zesłał niszczycielski deszcz. Krysna większość swej młodości spędzał nad wodą. Na brzegach Jamuny uwodził urodziwe pasterki — przywoływał je zmysłową grą na flecie i beztrudnie bawił się, zabierając im podczas kąpieli ubrania.

Według hinduskiej kosmografii świat ziemski składa się z siedmiu wysp otoczonych siedmioma oceanami: słonej

wody, syropu trzciniowego, wina, topionego masła, zsiadłego mleka, świeżego mleka i czystej wody. Na długo przed powstaniem tego świata woda stała się scenerią jednego z najdonioślejszych mitycznych wydarzeń — *amrytamanthany*. Bogowie, umęczeni ciągłymi walkami z asurami, demonicznymi istotami potrafiącymi wskrzeszać zmarłych, za namową Wisznu postanowili zawrzeć z przeciwnikami rozejm. Wspólnie wzięli się do ubijania oceanu, z którego — jak śmietanę z mleka — mieli uzyskać *amrytę*, napój nieśmiertelności, i podzielić się nim po połowie. Do ubijania użyli wyszukanego narzędzia — jako mątew posłużyła im góra Mandara postawiona na grzbiecie króla żółwi. Owinięto ją wielkim węzem Wasukim — jeden jego koniec pociągali bogowie, drugi — asurowie. Z wód oceanu zaczęły się wyłaniać cudowne produkty, klejnoty, trucizny. A także upragniona *amryta*, którą przeciwnicy bogów pochwycili i nie chcieli się nią podzielić. Zwiódł ich jednak mądry Wisznu, przeistoczony w piękną panią — demoniczne stwory straciły eliksir.

W zamierzchłej przeszłości świat nawiedził straszliwy potop, który przetrwał tylko jeden człowiek — Manu, praojciec ludzkości. Wiele lat przed zatopieniem grzesznego świata, podczas kąpieli, wpadła mu w ręce ryba. Obiecała, że jeśli ją uwolni, kiedyś udzieli mu pomocy. Manu odchowwał rybę i wypuścił do morza, a ona odwdzieczyła się, w porę ostrzegając go przed potopem i nakazując zbudowanie łodzi, do której zabrał nasiona i zwierzęta. Zaczepiona o rybi róg lina zaprowadziła łódź na szczyt Himalajów, gdzie umartwiając się i medytując, Manu doczekał opadnięcia wód.

Wszelkie postaci wody są związane z działaniem sił wyższych, a jednym z najefektowniejszych i pracujących z rozmachem boskich dystrybutorów jest Pardżanja, odpowiadający za deszcz i burze. Zapewnia życiodajne wody i wpędza w przerażenie wszelkie siły zła.

Przemierza niebo rydwanem, z którego wylewają się strumienie. Jego spektakularnym przejazdem towarzyszą grzmoty, błyskawice i gromy. Pardżanja przynosi światu odrodzenie — wysuszona ziemia dzięki deszczom rozkwita na nowo.

Znaczenia deszczu w życiu Indii nie sposób przecenić — nie dorównuje mu żadne z naturalnych zjawisk. Z końcem wiosny coraz niecierpliwiej wypatrują go wędrujące po niebie oczy, z rosnącym niepokojem wyczekują go rolnicy — ich życie zależy od monsunu. Większość pól uprawnych jest nawadniana deszczem, opady decydują o przetrwaniu i śmierci, dostatku i głodzie. Czekają z tęsknotą wyschnięte zbiorniki, spękana i spopielona słońcem ziemia, sypkie piaski pustyni Thar, zakurzone i ciemne od pyłu ulice. Napięcie rośnie z każdym dniem, bo tylko deszcze mogą wydobyć kraj z odrętwienia i marazmu: przez cały maj urzędnicy przysypiają z głowami na biurkach, nieprzytomni, zbyt zmęczeni i powolni, by cokolwiek załatwić. Interesanci wiedzą, że to najgorszy czas na formalności — lepiej poczekać, aż w czerwcu spadną pierwsze krople.

Meteorolodzy zmieniają się w wyrocznie — wyliczają precyzyjnie porę nadejścia deszczu, a gazety drukują obszernie prognozy. Każdemu z miast przypisują dzień i godzinę wodnego zbawienia. Deszcze przychodzą z

południa. Najpierw zalewają przylądek Komoryn, bujną roślinność Kerali i wystawne świątynie Tamilnadu, dopiero kilkanaście dni później przesuną się nad pola Andhra Pradeś i Maharasztry, dotrą do Bombaju, zmoczą erotyczne płaskorzeźby świątyń Khadźuraho, wreszcie obmyją podnóża Himalajów. Odetną od świata górzysty Dardżiling i Kalimpong, soczyście podleją tamtejsze plantacje herbaty.

Zmienia życie także w miastach: podniosą ceny żywności, dowożonej teraz z większym trudem. Rozsadzą kanalizację, wywołując serię katastrof. Zaleją ulice, podtopią sklepy, zakorkują wiadukty. Na odmalowywanych tynkach znów rozkwitną brązowe plamy, grzyb z każdym dniem będzie wędrować dalej, obsiadzie rogi i sufity. Przesiąkną mury starych budynków, niektóre — zbyt zmęczone, by znów przez kilkadziesiąt dni stawiać opór ścianie deszczu, zrezygnowane runą, oddając wnętrza na pastwę ulewy. Inne, bardziej wytrwałe, pokryją się płaszczem mchu. W ich wilgotnych szczelinach, przy balkonach, gzymsach i na dachach, zaczną kiełkować krzewy i drzewa. Rozrosną się jak niespodziewani goście, będą zdobić budynki zielonymi liśćmi, otaczać cegły płataniną korzeni. Zżyją się na dobre i złe, przetrwają razem niejedną suszę i wiele deszczy.

Bywa, że bogowie nie znają umiaru, a niepowstrzymane w porę ulewy zagrażają życiu — ruszają w dół śmiertcionośne błotniste lawiny, pochłaniając drzewa i domy, niszcząc drogi. Rzeki występują z brzegów, marnując uprawy. Nawet Himalaje, w których zwykle pada tylko śnieg, nie zawsze potrafią zahamować deszcz — Indus i Ganges, zaskoczone nadmiarem wody, tracą majestatyczną aurę i przeistaczają się w pędzące bestie.

Zabierają ze sobą wszystko, co napotkają — przyklejone nadludzkim wysiłkiem na skalnych zboczach domy, przyciągnięte z nizin elektryczne kable, importowane z Japonii terenowe samochody. Woda co roku przypomina Hindusom o swej sile — daje i odbiera życie, odnawia szanse i groźbę potopu, jest nagrodą i upomnieniem. Nieprzewidywalna i nieprześlągana rządzi światem według własnej woli.

Nabrana do kubelka staje się jednak nieocenionym narzędziem w codziennym odpędzaniu brudu, a także świadkiem wielu paradoksów. Bo podział na sfery czyste i nieczyste jest w indyjskim życiu tyleż rygorystyczny, ile nieustannie naruszany. Granice czystości duchowej nie zawsze pokrywają się z higieną, a starania religijne nie idą w parze ze zdobyczami cywilizacji. Stąd przewrotność: Indie, które się z wielkim poświęceniem szorują i co rano wypowiadają wojnę nieczystości, mimo ogromu wysiłku pozostają krajem brudnym, co dzień pozbawiającym swych mieszkańców życia i zdrowia. Dążenie do czystości nie jest tu zaplanowaną społeczną strategią, spójnym i sprzężonym mechanizmem, zrodzonym w głowach szefów urzędu oczyszczania miasta. Nie jest też owocem edukacji obywatelskiej ani lekcji biologii. Tu każdy walczy z nieczystością według wierzeń, po swojemu i we własnym wymiarze.

Brudną wodę po umyciu podłogi Hinduska wylewa tuż za próg wiejskiej chaty, sprzątacze w pociągu zmiata podłogę, po czym jednym ruchem wyrzuca kłębówisko śmieci wprost na tory, a sklepikarz zmiata tylko ten kawałek chodnika, który biegnie od ściany do ściany jego

zakładu — co dalej, nie jego rzecz. Małoletni pomocnicy w ulicznych jadłodajniach myją aluminiowe naczynia pieczołowicie, tyle że w wiadrach pełnych mętnej wody, przypominającej zupę z resztek. Nawet najwykwintniejsze dania lądujące na eleganckich stołach mają mroczną historię — na tyłach ekskluzywnych hoteli przez niedomknięte drzwi można podejrzeć kuchenne wnętrza. Niewiele się różnią od ponurych zapleczy tysięcy indyjskich knajpek, barów i stołówek, gdzie wśród odpadków, poczerńiałych szmat i zrzucanych do rynsztoków resztek biegają szczury i karaluchy. Czystość i brud, niczym przejawy dobra i zła, zmagają się ze sobą nieprzerwanie, splecione w żelaznym uścisku. Przywarły do siebie tak mocno, że nie sposób je rozdzielić, nie da się też rozstrzygnąć, które z nich jest bliższe zwycięstwa.

Ganges, gdy już przepłynie tysiące kilometrów indyjskiej ziemi, rozlewa się w szeroki wachlarz zajmujący pogranicze Bengalu Zachodniego i Bangladeszu. Tę rozłożystą deltę, pokrojoną na tysiące pojawiających się i znikających wysepek, rzeka wybrała na metę swojej podróży. Poprzez niezliczone kanały wpływa do przedsionka Oceanu Indyjskiego. Słodkie wody Gangesu mieszają się ze słonymi falami stopniowo, w kameralnych zaułkach, otoczone Sundarbanami, największym lasem mangrowym świata. Przyływ i odpływ następują dwa razy dziennie, raz zakrywając deltę po czubki drzew tak, że na ich najwyższych gałązkach mogą przycupnąć tylko leciutkie zimorodki, to znów odsłaniając drzewa wraz z korzeniami, które — jak wielopalczaste łapy — wnikają głęboko w szare, błotniste podłoże. Tu wypływająca z Himalajów rzeka znajduje swój koniec i spełnienie, ale zanim rozplynie

się w słonym ogromie, raz jeszcze prezentuje potęgę, na zmianę ukazując i przesłaniając świat.

Tych, którzy się przed jej mocą nie ukorzą, spotyka kara. Amitav Ghosh, jeden z najlepszych indyjskich pisarzy współczesnych, w *Żarłocznym przypiływie* przytacza losy butnego lorda Canninga[14]. Postanowił on wybudować w delcie port przewyższający świetnością Kalkutę, ale nie posłuchał Bengalczyków przestrzegających, że wielka rzeka z nikim nie podzieli się władzą, żeśle cyklon i powódź, wszystko pochłonie. Brytyjczycy, nie bacząc na zabobony wieśniaków, przystąpili do budowy. Ale wydarzyło się nieuniknione — przyszły cyklony i powodzie, rzeka wystąpiła z brzegów i pożarła ludzkie sny o potędze. Ocalała jedynie tory kolejowe. Bury budynek dworca jest dziś smętną pamiątką niespełnionych ambicji. Na oddalonym zaledwie o kilometr nabrzeżu otwiera się paszcza wielkiej delty.

Republika latryn

Punktualność, z jaką Hindusi zjawiają się co rano przy torach kolejowych, by się wypróżnić, przeczy powszechnemu mniemaniu, że indyjska rzeczywistość jest pogrążona w chaosie. O świcie najlepiej widać, jak rygorystycznie codziennością rządzi ład, niewypowiedziany ani niespisany, ale wszechobecny — wszystkim wiadomy i dla każdego oczywisty.

Czystość reguł dotyczy także brudu. Pozostawianie odchodów przy torach może się wydawać bezceremonialnym łamaniem zasad, groteskowym czy prymitywnym gwałtem na normach higieny, intymności i kultury. A jest tylko zadośćuczynieniem wymogom biologii, przyrody i umowy społecznej, obejmującej co prawda jedną wioskę, ale tym ważniejszej, bo Hindusa interesuje przede wszystkim najbliższe otoczenie. Obszar, którego czuje się częścią ze względu na przynależność rodzinną, kastową, etniczną czy religijną.

Świat na zewnątrz jest obcy, mniej ciekawy i mniej ważny. Nie zaprzęta myśli, nie istnieje. Publiczna defekacja odbywa się w przestrzeni wspólnej, a zatem niczyjej, nie zalicza się do czynności zakazanych ani szczególnie wstydliwych. Spojrzenia podróżnych, którzy bezwolnie

stają się świadkami tego spektaklu, nic nie znaczą. Zresztą wcale nie ma pewności, kto na kogo zerka z większą ciekawością.

Mężczyźni przychodzą pojedynczo, ale jest ich tylu, że tworzą zbiorową choreografię, masowe widowisko, złożone co rano z tych samych gestów i póź, prezentowane jednocześnie we wszystkich zakątkach kraju. To rzadki przykład spójności i jedności w głęboko podzielonym społeczeństwie.

A więc każdy przychodzi sam, niosąc wodę w aluminiowym garnuszku lub plastikowej butelce, pogniecionej i brudnej od częstego używania. Podwija *dhoti* i kuca w tej samej pozycji, w jakiej godzinami trwają kupcy na targach, rikszarze na krawężnikach i podróżni na peronach. Z kolanami przylegającymi do obojczyków i piętami przyklejonymi do ziemi zapewniają sobie dwie ważne sprawy: komfort i oszczędność przestrzeni.

W przeludnionych Indiach znalezienie miejsca i odpowiednie usadzenie się to umiejętności nie do przecenienia. Tłok i bieda sprawiają, że zwykle nie ma na czym siedzieć. Więc siedzi się niejako na samym sobie. A że siedzi się wygodnie, w miłych okolicznościach przyrody, nie ma powodu się spieszyć. Defekujący o poranku Hindusi nie przypominają czujnie skulonych polnych myszy — bliżej im do majestatycznych bawołów, które wystają na łąkach godzinami, a jeśli już się ruszają, to z flegmatyczną gracją, jakby wiedziały, że są do tego miejsca przypisane.

Ludzie też tkwią nieruchomo, przekonani — nie bez racji — że się z rolniczym pejzażem doskonale komponują. To

ich ziemia, ich los. Są z nią związani, także dosłownie, w biologicznym cyklu.

Pęd pociągu to tylko chwilowe zaburzenie wiejskiej ciszy, towarzysząca porannej higienie rozrywka. Coś w rodzaju plenerowego seansu w kinie, które wyświetla film *Przejeżdżający pociąg*. I to za darmo.

Tytuł co dzień rano ten sam, zmieniają się tylko bohaterowie. Oddający naturze strawiony pokarm Hindusi patrzą w przesuwające się, kadr po kadrze, twarze. Nie okazują ani odrobiny zakłopotania i jeśli nie pozostają całkowicie obojętni, to śledzą mknące wagony z ciekawością ludzi, którzy nigdy w żadnym nie siedzieli. Nagła wizyta pociągu jest jednak zbyt pośpieszna i krótka, by wyrzeć wielkie wrażenie.

Z daleka wygląda to sielankowo: rozsiani wzdłuż pól mężczyźni są niczym strażnicy naturalnego biegu spraw. Muszą tu być, podobnie jak musi wzejść słońce. O tej porze jest ono jeszcze sojusznikiem człowieka, łasi się do skóry, jakby przepraszało za chłód i wilgoć nocy. Przywraca życiu szybszy puls, rozprasza czerni oblepiającą indyjską wieś po zmroku. Stara się przepłoszyć wiszącą nad polami mgłę.

Mleczna zasłona opiera się przez godzinę lub dwie, ale wreszcie znika — zwraca ryżowym polom jaskrawą zieleń, a dryfującym w stawach lotosom różowawy blask. Lśnią zady krów i palmowe liście. Kurczą się błotniste kałuże, a na wydeptanych między polami ścieżkach pojawiają się głębokie pęknięcia. Teraz już słoneczne pasma nie będą przyjaźnie głaskać, zmieniają się w ogniste jęzory, ostre i palące. Słońce rozgrzewa się do białości, tak że na powrót bledną liście i drzewa.

Mężczyźni kończą w samą porę, podmywają się dłonią i odchodzą, kołysząc pustymi garnuszkami. Pozostawili nieczystości na łasce żaru i suchego wiatru. Jutro wrócą o tej samej porze, uważnie stąpając. Wybiorą niezabrudzone miejsce i przykucną. Zimą także, z tą różnicą, że ich ramiona będzie okrywał gruby szal. Tylko ulewne deszcze, które w monsunie zalewają ścieżki i zmieniają pola w wielkie rozlewiska, mogą sprawić, że nie pofatygują się tak daleko. Znajdą inne miejsce, niekoniecznie na uboczu. Indie są wielką latryną.

Sieć kolejowa oplata subkontynent, dzięki czemu mieszkańcy niemal wszystkich części kraju mają szanse wypróżnić się z widokiem na pędzące pociągi. Ale nie oni są największymi szczęściarzami. Hindusi z Gudżaratu, Maharasztry, Goa, Orisy, Kerali czy Tamilnadu mogą defekować ekskluzywnie — na plażach, z widokiem na połyskujące fale i pienne grzywy uderzające o piasek.

Zalety tej sytuacji są nie tylko estetyczne. Liczy się praktyczność — na plażę nie trzeba przynosić garnuszka, morze samo obmyje ciało. Zabierze także odchody, co umniejszałoby wyrzuty sumienia i poczucie nieprzyzwoitości, gdyby ktoś je miał.

Mężczyźni, jak mewy czekające na to, co wyrzuci przyływ, obsiadają plaże o świcie. Mogą liczyć na towarzystwo psów. W Indiach nikt nie lubi robić niczego sam. To cywilizacja zbiorowości, rodziny i grupy. Jeden człowiek stojący wobec wielości i złożoności świata jest na przegranej pozycji. Sam nic nie może i nic nie znaczy. Nawet hinduskim mitycznym bogom i bóstwom pomagają herosi, przyjaciele i sojusznicy.

Czego dokonałby Rama, wcielenie boga Wisznu, gdyby nie wierne wsparcie jego brata Lakszmany i oddanie Hanumana? Bogowie to wspólnota. Jest ich, według różnych źródeł, od trzydziestu trzech do trzydziestu trzech milionów. Razem układają i organizują świat. Nadrzędną rolę gra boska trójca: Brahma, który stwarza, Wisznu, który podtrzymuje, i Śiwa, który niszczy, by umożliwić ponowne odrodzenie. Trudno wyobrazić sobie działanie jednego w oderwaniu od pozostałych. W porównaniu z zatłoczonym hinduskim panteonem chrześcijański Bóg wydaje się w swej wszechmocy samotny. Oni są zaangażowani w niekończący się szereg zdarzeń i współzależności. W mitologicznych przypowieściach raz dają dowód potęgi, innym razem ulegają demonom i wzywają na pomoc siły dobra.

Swobodę załatwiania potrzeb fizjologicznych na widoku nie zawsze trzeba odczytywać jako brak ogłady czy wynik cywilizacyjnego zapóźnienia. Najgłośniej pomstują na nie Hindusi z emancypującej się klasy średniej — ci, którzy właśnie dorobili się pierwszej łazienki z prawdziwego zdarzenia.

Publiczne wypróżnianie się jest też przejawem tradycyjnego myślenia w liczbie mnogiej: wspólnego życia na co dzień, zbiorowego podejmowania decyzji, grupowej tożsamości. Skoro tak wiele spraw załatwia się razem, czemu ukrywać tę jedną? Istnienie indywidualne, także w wymiarze psychicznym i emocjonalnym, jest podporządkowane potrzebom zbiorowości. Nawet tabu nie jest w Indiach zjawiskiem pojedynczym — złamanie zakazu oznacza nie tylko jednostkową winę, ale skalanie społeczności i wyłączenie z niej. Nic więc dziwnego, że

defekowanie odbywa się w grupach.

Jak we wszystkich przejawach życia publicznego w Indiach, grupą najwidoczniejszą i najbardziej demonstracyjnie realizującą swe potrzeby są mężczyźni. Chłopcy też załatwiają sprawę śmiało, zwykle w gromadach, traktując poranną wyprawę jak okazję do zabawy.

Khushwant Singh, pisarz i publicysta, najbardziej ironiczny i zgryźliwy autor niepodległych Indii, w swej autobiografii *Truth, Love and a Little Malice* z rozczuleniem wspominał poranne wyprawy na dach, odbywane z kolegami i kuzynami. Tam, gdzie wody brakuje, a słońce wysusza wszystko na proch, najrozsądniej zostawić nieczystości jego niszczycielskiej sile. Hindusi nie defekują bezmyślnie, adaptują się do rzeczywistości najlepiej, jak potrafią, próbują wykorzystać trudne okoliczności. Wychodzą więc na brzegi rzek, na himalajskie zbocza, oczyszczane przez wiatry i topniejące śniegi. Na radżasthańskie wydmy, gdzie piasek zastępuje wodę — służy do mycia naczyń i zakrywania brudu. W Sundarbanach mogą mieć pewność, że poranny lub wieczorny odpływ zatrze wszystkie ślady.

Jeśli Hindus niespiesznym krokiem zmierza, by dopełnić porannego zwyczaju, znaczy, że jego żona dawno już to zrobiła. Nie było jej dane podziwiać kropel rosy schnących na kolbach kukurydzy ani rozbryzgujących się w drobną mgiełkę morskich fal. Nie miała też okazji zobaczyć pociągu w pełnej krasie, co najwyżej — oślepiające światła lokomotywy.

Hinduska załatwia swe potrzeby nocą. Kobiety budzą się pierwsze i wędrują w odległe, ustronne miejsca, gdzie nie dosięgną ich męskie oczy. Rzadko chodzą same, bo ryzykowałyby nie tylko utratę czci, ale i życia — zmrok to czas dzikich zwierząt. Z reguły matka zabiera córki i teściową, zdarza się, że po drodze spotykają sąsiadki i wędrują razem. Przy okazji zbierają drewno na opał i czerpią wodę. Kiedy ojciec i mąż wrócą z plenerowej toalety, posiłek będzie gotowy.

Brak kobiet w porannym pejzażu defekowania jest metaforycznym, ale też konkretnym znakiem — Hinduski i ich potrzeby pozostają niewidoczne. Kobiety niczego nie robią z taką swobodą, jaką cieszą się mężczyźni. Ich życie biegnie bocznymi i wąskimi ścieżkami, wytyczonymi nieodwołalnie i z surowością, której trudno się przeciwstawić. Ich ruchy krępuje kokon obowiązków i przeciwwskazań. Z tą samą ostrożnością, z jaką noszą wodę w ciężkich dzbanach, dźwigają też honor rodziny. Jeden krok w niewłaściwym kierunku, a cnota zostanie zbrukana.

Na co dzień widać, że hinduski ideał kobiety ma korzenie nie w filozoficznej czy religijnej abstrakcji, ale fizjologicznej dosłowności. Chwalona w poetyckich strofach zmysłowość i cielesność jest prozaicznym przekleństwem — naraża na niebezpieczeństwo, zabiera wolność. Kobiety dużo milczą i sporą część życia spędzają w ukryciu. Mają obowiązek pozostać czyste, a swe potrzeby trzymać — dosłownie — wewnątrz i umiejętnie je kontrolować. To miewa ten przyziemny efekt, że od świtu do zmroku chodzą z pełnym pęcherzem.

Specyficzna sanitarna równowaga, jaką na wsiach dyktuje rytm dnia i nocy, połączony z tradycyjną obyczajowością, w miastach ulega deformacji. Wiejskie przyzwyczajenia wędrują wraz z ludźmi do zatłoczonych ośrodków miejskich, gdzie nie zostają zastąpione przez nowe normy i zwyczaje. Zmieniają się natomiast skala i okoliczności zjawiska.

Już z daleka czuć, że pociąg dojeżdża do miasta. Duszący odór zapowiada spotkanie z koszmarną hybrydą, jaką jest każde z indyjskich osiedli, powstałych na granicy szansy i beznadziei. Tkwią w martwym punkcie, między miejską a wiejską strukturą. Pełne domów, różniących się od chat tylko tym, że są zbudowane z cegły — proste kłocce, niewykończone i brzydkie. Posklejane naprędce, przyciśnięte jedno do drugich, nie są owocem urbanistycznej koncepcji, tylko rozpacz ludzi, którzy uciekli ze wsi przed ubóstwem i głodem.

W solidności tych budowli jest bolesne szyderstwo — stają się trwałymi pomnikami oszukanych marzeń, potwierdzeniem nieodwracalnej transakcji. Zamiany ubogiego wiejskiego życia na miejską nędzę, a defekowania na łące i w lesie — na chlew pod własnymi drzwiami. Pociągi, które mkną przez malownicze indyjskie wioski, na przedmieściach — jak na złość — zwalniają, aby ukazać pasażerom kalekę twarz Indii.

Tu dopiero zanikają granice między życiem a upokarzającą wegetacją. Nie sposób rozróżnić zachowań dozwolonych od nieprzyzwoitych. Znika ów niewidzialny ład rządzący na wsi — jego brak jest widoczny, jego nieobecność namacalna. Można ją zmierzyć zwałami śmieci

i odchodów otaczających domy. Ściany wyrastają z gnoju czy w nim toną? Nie wiadomo. Nie trzeba wstawać przed świtem, bo defekuje się za domem, razem z krowami i ze świniami, które później, dysząc z gorąca, będą w tej gnijącej brei szukać ochłody.

Gdzieś między drzwiami domu a oceanem odpadków biegają z radosnym krzykiem dzieci. Bawią się wszystkim, co wpadnie im w ręce — kawałkiem starej folii, patykiem, uwalanym krowim ogonem. Drepczą bosą i nago, sikają, nie przerywając zabawy.

Może właśnie w jednym z takich miejsc urodził się chłopiec, który jechał z rodzicami pociągiem z Bombaju. Miał kilka miesięcy i ozdobnie osmolone oczy. Podróżował w odświętnym ubraniu, kolorowym, zdobionym lśniąca nitką, ale szybko zabrudził spodnie i później już leżał na kuszecie nagusieńki. Miał biegunkę, kilka razy w środku nocy wylewało się z niego wszystko, co zjadł. Za każdym razem ojciec zanosił go do łazienki, a matka kawałkiem gazety ścierała cuchnącą leżankę. Później znów go karmiła i usypiała. Po godzinie mały wypróżniał się z wrzaskiem. Rodzice nie wiedzieli, jak wyrwać się z zaklętego kręgu. Nie byli zawstydzeni, tylko bezradni.

Podobnie jak nastoletnia dziewczyna w zapchanym autobusie do Dźodhpuru. Jej córeczka ledwo nauczyła się stać, a już była w podróży. Europejska matka miałaby ze sobą wielką torbę dziecięcych akcesoriów, ta nie miała nic. Nie wiedziała, jak pomóc swemu wymiotującemu i sikającemu po nogach dziecku. Siedziała, patrząc w jeden punkt, skulona, gdy tłum mężczyzn wrzeszczał nad jej głową. Została przepchnięta na tył autobusu. Mąż ani

drgnął, z obrzydzeniem splunął tylko na plamę wymiocin. Wreszcie któryś z kierowców zgarnął z pobocza trochę suchej ziemi i zasypał zabrudzoną podłogę. Żeby zrozumieć rozmiary problemu, trzeba te obrazy bezsilności i niewiedzy pomnożyć przez miliony i przenieść w miejską scenerię.

Bombaj, najwspanialszy port brytyjskich Indii, morska brama subkontynentu i stolica show-biznesu, dławi się gnijącymi odpadami, a wypełniająca go ludzka masa powiększa się każdego dnia. Miasto liczy już ponad dwadzieścia milionów mieszkańców i wciąż przyjeżdżają nowi. Jedni koczują na chodniku i załatwiają swoje potrzeby gdzie popadnie, inni dołączają do krewnych w slumsach i już nie w czwórkę, ale w ósemkę gnieźdzą się w chatynce bez klozetu.

Zamożniejsi płacą krocie za ciasny pokój z zatechłą wspólną toaletą na korytarzu. Najbogatsi kupują mieszkania i apartamenty w ekskluzywnych osiedlach, wyposażonych w osobny system kanalizacji i wodociągów. Ale wszyscy oni — biedacy i milionerzy — zasilają gigantyczne szambo.

Stara kanalizacja nie nadąza. Oplatające miasto rury wiją się niby potężne jelita, zapchane i niedrożne, z każdym dniem pracujące coraz wolniej i gorzej. Ich postępującej choroby nie da się ukryć — rury poprowadzono na powierzchnię, podtrzymywane stalowymi rusztowaniami, często wysoko nad ziemią, na wprost okien.

Żeby wypluć nieczystości, muszą biec coraz dalej, bo granice miasta nieustannie się przesuwały. Tam, gdzie przed rokiem była pustka, dziś stoją rzędy skleconych z

byle czego domków. Rury rdzewieją i przeciekają, wypuszczając dławiący smród. Brudy rzadko trafiają do oczyszczalni, częściej wprost do ziemi i rzek. Tylko mieszkańcy najdroższych dzielnic, leżących nad morzem, mogą się cieszyć bryzą i zapomnieć, że bajeczny Bombaj jest pęczniejącą beczką fekaliiów.

Na przeciwległym krańcu Indii, w Ćennaju[15], nawet ocean nie daje odetchnąć. Centrum cuchnie — woda stoi w mętnych, pozieleniałych bajorach, które kiedyś były miejskimi rzekami. Kiedyś, czyli zanim dzicy lokatorzy zaanektowali je wraz z chodnikami, trawnikami, kawałkami parków. Początkowo używali kanałów do kąpieli, potem zmienili je w toaletę. Szybko stały się bagnem. Zasypane górą śmieci i odchodów prezentują żałosny widok — klęskę miejskiej infrastruktury, jej bezsilność i smutną kapitulację w obliczu przeludnienia. Urbanistyczny ład przegrywa z inwazją biedy: ugina się pod naporem tysięcy przyjezdnych ze wsi, którzy nigdy sobie nie przyswoją wielkomiejskich zasad higieny.

Pleśniejące bajora występują z brzegów — brud zaraża okolicę. Wokół rosną hałdy odpadów, spontanicznie powstają kolejne mutacje śmietników i toalet, a palone słońcem resztki jedzenia, folii i kartonów są gęsto polewane moczem. Co chwila jakiś mężczyzna wskakuje na zaśmiecone nabrzeże i rozpina rozporek. Raz obsikana ściana oficjalnie staje się latryną.

W pierwszych dniach czerwca, gdy gorące i suche wiatry z Wielkiej Pustyni Indyjskiej docierają do Delhi, rozgrzane powietrze pędzi ulicami, roznosząc zapach wysuszonego moczu. Ciepłe podmuchy wyganiają smród ze

wszystkich zakamarków — rogów podwórek i kątów kamienic, wąskich przejść między budynkami i zapleczy sklepów. Kilka kroków od potężnego dworca kolejowego New Delhi, wzdłuż rozległej ulicy prowadzącej do najbardziej okazałego ronda Azji — kolonialnego Connaught Place, otoczonego rzędami białych kolumn, w których cieniu mieszczą się banki, sklepy i drogie restauracje — ciągnie się jedna z największych dzikich toalet w kraju.

Rozrosła się na kilkaset metrów, choć jej załączkiem było kilka publicznych urynałów, postawionych przy murze przez władze miasta. Otwarte pisuary, przedzielone niewielkimi ściankami, miały służyć mężczyznom. Kurki i spłuczki nie działają od lat, co nie przeszkadza kolejnym użytkownikom robić swoje. A ponieważ przy ulicy zatrzymują się autobusy i riksze, których kierowcy utworzyli tam nieformalne dworce i punkty przesiadkowe, na podobnej zasadzie — między samowolką a koniecznością — rozmnożyły się toalety.

W samym środku tego komunikacyjno-latrynalnego chaosu stoi okazały budynek, najwyraźniej zdetronizowany radża miejskich sanitariatów. Kiedyś prezentował się dostojnie, wyłożony ciemnymi kaflami, dziś jest zamknięty i nieużywany, choć z zewnątrz trzyma się nieźle. Pilnuje go — nie wiedzieć po co — strażnik, który nielicznych zainteresowanych informuje, że toaleta jest nieczynna. To jedna z wielu ofiar kanalizacyjnego chaosu — jak inne publiczne toalety, poległa wkrótce po inauguracji, umarła z zaniedbania.

Indyjskie ubikacje przypominają tamtejsze tygrysy —

ginący gatunek, wybity bezmyślnie i zagrożony, mimo powtarzanych od lat lamentów i deklaracji o konieczności zachowania go przy życiu. Ale tak jak ratowaniem tygrysów zainteresowani są przede wszystkim naukowcy i miłośnicy przyrody, którzy nie zastawiają wnyków w dżungli, tak publicznych toalet domagają się Hindusi dysponujący własnymi łazienkami i potrafiący z nich korzystać. Obie kampanie są więc próbą nawrócenia wierzących. Nie ma pewności, czy ktokolwiek poza nimi popiera sprawę. Poszukiwanie toalety publicznej w indyjskim mieście jest jak wypatrywanie tygrysa w bengalskim rezerwacie — szanse spotkania są minimalne. Jeśli do niego dojdzie, przeżycia mogą być wstrząsające.

Korzystanie z toalet publicznych wymaga stalowych nerwów, a czasem umiejętności opanowania paniki. Bywa upokarzające, a w najlepszym razie — nieprzyjemne. Często konieczne, ponieważ wiele indyjskich zakładów usługowych, sklepów i restauracji nie ma ubikacji. Nie zawsze też udaje się przekonać recepcjonistę drogiego hotelu czy strażnika w banku, aby zechciał na chwilę przymknąć oko. Dla przyjezdnych, którzy dzięki pieniądзом, przewodnikom i klimatyzowanym samochodom skutecznie unikają konfrontacji z indyjską rzeczywistością, nieuchronna wizyta w toalecie bywa pierwszym i szokującym wejrzeniem w życie Hindusów.

Sanitariaty nad Gangesem — nieczyszczone i niekonserwowane — po kilku tygodniach przestają działać. Liczba ludzi, którzy z nich co dzień korzystają, i sposób, w jaki są używane, nie dają im żadnych szans. Pordzewiałe kurki zwisają smętnie ze ścian, umywalki są szare lub

pozieleniałe, zapchane śmieciami. W kabinach odrażające sterty fekaliów i odpadków, po których biegają karaluchy. W lepszym wypadku — porcelanowe podłogowe klozety, zapaskudzone, ale z działającą spłuczką, gotową opryskać użytkownika od stóp po pas. Na podłodze brudny dzbanek na wodę do podmywania, a w nim pożółkła ciecz. Ściany lepkie, pociemniałe. W tak zwanych toaletach suchych, które można spotkać w przydrożnych zajazdach, w ogóle nie ma odpływów — na przyjezdnego czeka wybetonowany kawałek podłogi albo nieoczyszczana od lat latryna. Najczęściej wizyta w łazience przynosi efekt odwrotny do spodziewanego — potęguje uczucie brudu, budzi odruchy wymiotne. Dlatego większość ludzi omija je i znajduje sobie jakiś kąt w plątaniu miejskiej infrastruktury.

Miejskie toalety są dotkliwym ukłuciem, codziennym zawodem, jaki Hindusi sprawiają samym sobie. Przeżywaną wciąż od nowa porażką, z którą nauczyli się żyć. Najludniejsza demokracja świata karmi swe gigantyczne społeczeństwo imperialnymi snami o wielkości, a nie jest w stanie zaspokoić jego podstawowych potrzeb. Otwarcie każdej nowej budowli czy kawałka drogi towarzyszy patos — wśród trójkolorowych flag, okrzyków i kwiatowych girland pęcznieje balon narodowej dumy. Zaraz potem uchodzi z niego powietrze, wielkie marzenie pokrywa się rdzą i pleśnią, tłamsi je codzienność.

Każda z odrażających toalet mówi o Indiach coś ważnego, podobnie jak ta dziewczyna z autobusu do Dźodhpuru. Pewnie nigdy nie była w szkole, a jeśli — rodzice zabrali ją stamtąd, gdy zaczęła miesiączkować. Nic nie wie o higienie, odżywianiu, własnym organizmie czy

biologicznych potrzebach dziecka. Nie mogła się tego dowiedzieć od niewykształconej matki. Ani choćby podpatrzeć w publicznej toalecie, bo żadna nie działa.

W wiejskich szkołach toaleta dla dziewcząt, taka, do której nie wpadną chłopcy, by je dla żartu upokorzyć, to rzadki skarb. A jedynym atutem młodej Hinduski jest jej nieskalanie. Żaden ojciec nie chce ryzykować — pierwsza miesiączka to często ostatni dzień nauki. I zwykle ostatnia szansa, by osiąść choć trochę wiedzy o świecie innym niż ten, w którym się tkwi.

Toalety są potrzebne najbiedniejszym — to oni w kampaniach wyborczych są najpiękniej i najbardziej bezwzględnie mamieni obietnicami lepszej przyszłości, z wodą w kranie i własną łazienką. Dostęp do toalet ma tylko jedna trzecia Hindusów, a telefonów komórkowych używa już blisko połowa społeczeństwa. Sektor prywatny, dostarczający usługi telefoniczne, w okamgnieniu wyprzedził niewydolną państwową maszynę, która kazała ludziom czekać na podłączenie linii nawet czterdzieści lat.

Część kucających rankiem przy torach mężczyzn umiła sobie czas pogawędkami z krewnymi. Za drobną opłatą komunikują się ze światem, ale nic ich nie łączy z własnym państwem — żadna rura kanalizacyjna, żaden kabel, bo prąd często podciągają nielegalnie. Na oficjalną zgodę wciąż czekają.

Codziennie życie w Indiach bywa w swych najbardziej przyziemnych przejawach tak uciążliwe i uporczywie niezmiennie, że można się od niego uwolnić tylko poprzez ucieczkę w przeszłość. Prędzej czy później, w tej czy innej sprawie, Hindus odwoła się do minionej świetności, wezwie

na pomoc postaci dawnych świątłych władców, przywoła święte teksty, opowie o cywilizacyjnej wielkości starych indyjskich kultur, o złotym wieku. Spróbuje przesłonić dręczące go dziś blaskiem cudownego wczoraj.

Podobnie może zrobić w sprawie toalet — cofnąć się o cztery i pół tysiąca lat do miasta Mohendžo Daro na terenie dzisiejszego Pakistanu, wówczas należącego do cywilizacji Doliny Indusu. I zasiąść w jednej z budowanych tam kamiennych toalet, przypominających tron, wyposażonych w otwór, przez który nieczystości spadały do koryta odpływowego, połączonego w dziesiątkami innych oplatających miasto kanałów wynoszących fekalia do odległego lasu.

Mieszkańcy Mohendžo Daro mieli też do dyspozycji potężną publiczną wannę pełną deszczówki. W tym samym czasie ich sąsiedzi z osady Lothal, nieopodal dzisiejszego Ahmadabadu w Gudżaracie, korzystali z toalet spłukiwanych wodą i wyposażonych w ceglane kanały odpływowe. Wraz z upadkiem cywilizacji Doliny Indusu około 1500 roku przed naszą erą z Indii zniknął miejski system kanalizacji. Ale jeszcze tysiąc lat później bogacze z Dżajsalmuru w Radżasthanie budowali domy w pobliżu zbiorników wodnych — nieczystości z ich toalet spadały prosto do wody. Zapisy powstałego mniej więcej w tym samym okresie traktatu *Manusmryti* precyzyjnie regulują zasady wypróżniania się — zabraniają zwracać twarz w stronę Słońca, bramina lub Księżyc. Nakazują raz obmyć penisa, a trzykrotnie odbyć. Następnie lewą rękę, użytą wcześniej do podmywania, umyć dziesięciokrotnie, a prawą — siedmiokrotnie. Stopy trzykrotnie oczyścić ziemią, a

później wodą.

Bramini defekowanie poprzedzali recytacją specjalnej mantry; święty sznur, który noszą pod ubraniem, zawijali wokół prawego ucha, by nie uległ zabrudzeniu. Zgodnie z kodeksem higienicznym tekstu oddawanie moczu było dozwolone w odległości co najmniej dziesięciu ramion od źródła wody pitnej, a kału — nie bliżej niż stu ramion od źródła lub świątyni. Zalecano wypróżnianie się wprost do rzek lub spłukiwanie nieczystości wodą.

Jednak regułą, która zdominowała ostatnie cztery tysiące lat indyjskiej defekacji, stało się zatrudnianie niedotykalnych[16] do czyszczenia toalet. Są oni nazywani „padlinożercami”, bo poza nimi tylko sępy i kruki grzebią w nieczystościach. Choć budowanie tak zwanych suchych toalet i zatrudnianie ludzi do ich czyszczenia jest zakazane, zagrożone karą grzywny i dwóch lat pozbawienia wolności, dalitowie wciąż ręcznie wybierają odchody i wynoszą je w metalowych puszkach. Robią to przede wszystkim kobiety i dziewczynki.

Obejmujący indyjskie społeczeństwo skomplikowany układ hierarchicznych zależności, symbolicznie wyrażanych przez podział na czyste i nieczyste, spuszcza na głowy dalitów kubeł pogardy. Wykonywane przez nich zajęcie jest najpodlejsze, dziedziczone, trwale wykluczające ze świata. Skazuje na upokorzenie, biedę, odnawiające się zakażenia i zapalenia płuc, wczesną śmierć. Ofiarami fekaliów są w Indiach miliony ludzi, także lepiej urodzonych. Odchody zakażają wodę, wracają jak złe duchy, potęgując czerwonkę, tyfus, malarię, cholere, polio. Największe żniwo zbiera pospolita biegunka, która zabija bezobjawowym

odwodnieniem — po cichu, z łatwością. Zwykle najślabszych, czyli dzieci.

W delhijskim Sulabh International Toilet Museum prezentowane są prototypy toalet dostosowanych do warunków panujących w różnych częściach subkontynentu. Przewodnik, zaanonsowany jako „naukowiec”, odsuwa jutową zasłonę i z powagą pokazuje wpuszczony w podłogę klozet.

Posługuje się wyszukаныmi sformułowaniami, bez cienia uśmiechu wskazuje na modele magazynowania odchodów: dwie dziury w ziemi, które — jak zapewnia — są tak skonstruowane, że w ciągu półtora roku zmieniają nieczystości w nieszkodliwy, pozbawiony bakterii i zapachu granulat. Można go samemu wybrać i rozrzucić na polu jako nawóz. Kiedy jeden zbiornik się zapełni, wystarczy go zamknąć i zostawić na osiemnaście miesięcy, a w tym czasie używać drugiego.

Założony w latach siedemdziesiątych XX wieku ośrodek badawczy Sulabh opracował filozoficzno-ekologiczne rozwiązanie sanitarnego rebusu dręczącego Indie — tanie, łatwe do zbudowania toalety, których nie muszą czyścić niedotykalni. Zbiorniki są wykładane skałami dostępnymi w Himalajach, cegłami wypalanymi na wielkich równinach lub drewnem, osiągalnym w większości wiosek. Sam wychodek występuje w odmianie słomianej, jutowej, drewnianej i murowanej. Naukowcy z Sulabh potrafią też zamienić fekalia w elektryczność — przed budynkiem muzeum popisowo terkocze napędzany biopaliwem silnik.

Na wystawie jest kilkadziesiąt klozetów z różnych krajów i epok — od rzeźbionych królewskich cacek przez

przenośne klozetostoly aż po inteligentne elektroniczne mechanizmy utylizujące nieczystości. Błysk w oku przewodnika i rozpierająca go pionierska duma są pesymistyczną przepowiednią. Tak cieszy się utopista, który wierzy, że znalazł odpowiedź i odmieni świat. Tymczasem największą zbiorową zdolnością Hindusów jest trwanie — zachowywanie starych form istnienia.

Tajemnica haftowanej lamówki

Poszło o bawełnę. To przez nią, w dużej mierze, Brytyjczycy musieli się wynieść. Przegnał ich wychudzony staruszek z drewnianym kołowrotkiem w ręku. Z pomocą tłumów, które rozbudził, mówiąc: „Ta ziemia rodzi dość bawełny, by ubrać wszystkie swe dzieci”.

Hindusi spojrzeli w lustro. Indyjskie elity, wykształcone na brytyjskich uniwersytetach i w college'ach, na przełomie XIX i XX wieku nosiły się na zachodnią modłę. Ale na początku lat dwudziestych, gdy każdy — nawet niewykształcony wieśniak — odnajdował swą tożsamość, długo tłamszoną i wzgardzaną przez Europejczyków, nadszedł czas, by się przebrać. Katherine Frank, autorka biografii *Indira: The Life of Indira Nehru Gandhi*, opisuje estetyczną przemianę rodziny, która wkrótce miała poprowadzić Indie do niepodległości.

Jedno z pierwszych wspomnień, jakie Indira Gandhi[17] zachowała z dzieciństwa, to ogień. Płonący stos ubrań przed rodzinnym domem w Allahabadzie, gdzie przed laty sprowadzili się z Kaszmiru jej dziadkowie. Ogień pochłaniał lśniące satyny, szyfony i jedwabie, szyte na miarę garnitury i koszule. Z dnia na dzień dom przeistoczył się z bogato zdobionej rezydencji w skromny, ascetyczny budynek.

Automobile poszły na sprzedaż, podobnie jak kryształowe żyrandole, chińska porcelana, srebrne sztucce. Zniknęły lustra weneckie, powozy, konie arabskie i barwne dywany. Wszyscy przebrali się w *khadi* — stroje z ręcznie przędzonej i tkanej bawełny.

Zaledwie kilka miesięcy wcześniej, gdy gościł u nich Mahatma Gandhi — patron, duchowy ojciec i przyjaciel — część domowników obserwowała jego zwyczaje z dezaprobatą. Nie usiadł do stołu i nie przyjmował mięsnych potraw, regularnie spożywanych przez Motilala i Jawaharlala Nehru[18] — przyszłych przywódców. Gandhi, surowy wegetarianin, jadł rękami, siedząc na podłodze. Korzystał też z toalet dla służących — latryn, które w przeciwieństwie do europejskich klozetów sprowadzanych do Indii nie wymagały ręcznego czyszczenia przez niedotykalnych. Jego jedynym ubraniem było *dhoti* — owinięty na biodrach płat białego bawełnianego płótna, niezszywany — jeden jego koniec przewleka się między nogami i zakłada z tyłu za pas; w ten sposób powstają szerokie pantalone. W zimie i podczas zagranicznych podróży okrywał się szalem, także ręcznie tkanym.

Gdy w połowie lat czterdziestych Gandhi wdrapywał się po schodach na spotkanie z Winstonem Churchillem w Londynie, premier Wielkiej Brytanii obserwował go zniesmaczony i skonfundowany. Sam nosił ciemny trzyczęściowy garnitur, podobnie jak wszyscy wokół — politycy, dyplomaci, dziennikarze, nawet kierowcy. Dla Brytyjczyka zignorowanie estetycznych konwenansów było zniewagą, dla szefa gabinetu — demonstracją nieposłuszeństwa. Skurczona sylwetka Gandhiego,

wymęczonego głodówkami, jaśniała w bieli — widoczna na wszystkich fotografiach symbolizowała bezbronność, a była dowodem siły. Otulony bawełną starzec w skórzanych sandałach rzucał Europie wyzwanie. Poprzez strój mówił: „Nie jestem i nie będę taki jak wy, opuście moją ziemię”.

Kilkadziesiąt lat wcześniej w Republice Południowej Afryki początkujący indyjski prawnik Gandhi — mimo wykształcenia i garnituru — doznawał wielu upokorzeń ze względu na swoje pochodzenie. Odmówił podporządkowania się regułom ustanowionym przez Europejczyków. Wybrał proste i radykalne środki: przestał używać importowanych produktów, ubrał się w bawełnę, którą sam tkał. Żył, jakby polityczna i przemysłowa machina Zachodu nie istniała.

Im bardziej rodzina Nehru angażowała się w indyjski ruch niepodległościowy, tym mocniej naśladowała Gandhiego. Takich jak mieszkańcy domu w Allahabadzie były nad Gangesem miliony. Hindusi zaczęli bojkotować sklepy z angielskimi towarami, palili zagraniczne tkaniny i skandowali: „Opuście Indie!”.

Kilkuletnia Indira znalazła się w pierwszym szeregu bojowników: odtąd przy wegetariańskich kolacjach rozmawiała z rodzicami wyłącznie w hindi, nie jak wcześniej — po angielsku, a w szkole nosiła proste ubrania z *khadi*. Inne dziewczynki wytykały ją palcami. Coraz rzadziej widywała ojca i dziadka, bo byli w areszcie. Tata pisał z za krat, że spędza dni, myśląc o niej i przędąc bawełnę. Kołowrotek stał się jedyną bronią ruchu *non violence*, a jego obraz znalazł się wówczas na indyjskiej fladze[19].

Sam Gandhi, często przebywając w więzieniach, opracował kilkadziesiąt różnych modeli kołowrotek — można je oglądać w delhijskim muzeum Mahatmy. Leżą niczym uśpione rekwizyty z rewolucyjnego spektaklu — wspomnienie utopijnej wizji subkontynentu, który wykarmi i odzieje się sam. Gandhi chciał dać Hindusom wolność, ale także cofnąć czas — odwrócić bieg gospodarczych zmian.

Indira, dorastająca pod wpływem jego nauk, była rozdarta między miłością do angielskiej lalki a obowiązkiem wobec ojczyzny. Któregoś dnia wyniosła ukochaną zabawkę na dach i podpaliła ją. Ogień, w hinduizmie symbol oczyszczenia i ponownych narodzin, miał pochłonąć lata kolonialnego ucisku i zwrócić Indiom niezależność.

Fotografie w rodzinnym albumie Nehru zmieniły się: Motilal i Jawaharlal pozują w tradycyjnych kaszmirskich kurtach i wąskich spodniach, marszczonych przy kostkach. Na nogach mają skórzane buty z ostrym czubkiem. Kobiety zakrywają włosy luźną końcówką sari. Mała Indira nosi się jeszcze chłopięco — ma bawełniane szorty i bluzeczki, na późniejszych zdjęciach jest już w sari. Nawet gdy w 1961 roku wraz z ojcem odwiedziła w Waszyngtonie J.F. Kennedy'ego, nie zrezygnowała z indyjskiego ubioru. Prezydent USA był w smokingu, jego żona Jackie w długiej sukni z odkrytymi ramionami. Nehru pozostał wierny dostojnym kaszmirskim strojom, a głowę nakrył białą czapką. Indira włożyła jedwabne sari, a jej jedynym ukłonem wobec zachodniej mody była futrzana etola.

Odkąd Hindusi zapragnęli niepodległości, ubranie stało się sprawą polityczną — znakiem oporu, sygnałem dla

świata i najbliższego otoczenia. Indyjscy przywódcy wciąż wykorzystują stroje jako przesłanie: hinduiści, prawicowi radykałowie lansujący hasło „Indii dla hindusów” (w odróżnieniu od Indyjskiego Kongresu Narodowego, który mówi o równouprawnieniu mniejszości, w szczególności indyjskich muzułmanów), noszą lokalną bawełnę i len w kolorze szafranu — jest on dla hindusów święty, jak zieleń dla wyznawców islamu. Szafranowa barwa to także znak hinduskich ascetów, świętych mężów i pielgrzymów.

Dziś najokazalszą kolekcję sari ma Sonia Gandhi[20], synowa Indiry, wdowa po jej synu Rajiwie — Włoszka i katoliczka. Jako spadkobierczyni potężnej dynastii politycznej musiała przejąć stery Indii i przebrać się do nowej roli: nosi miejscowe tkaniny z wprawą i powagą, a włosy skromnie spina, jak przystało na Hinduskę. Strój i przemówienia wygłaszane w hindi dały jej ostateczny mandat do rządzenia — przeobraziła się w matkę narodu.

Promowane przez Gandhiego *dhoti* jest wciąż szlachetnym męskim strojem. Na co dzień noszą go tradycjoniści, przede wszystkim ci, którzy pamiętają walkę o niepodległość, a także ludzie biedni, bo to ubranie praktyczne, niedrogie i wytrzymałe. Połączone z kurtką pełni funkcję stroju formalnego, widywanego na przyjęciach, uroczystościach państwowych i religijnych.

Na południu Indii wciąż jest obowiązującym kostiumem ślubnym. Ten, kto nosi *dhoti*, roztacza wokół siebie aureę godności i dumy. Mężczyźni w białej bawełnie są kustoszami starej cywilizacji, pilnują jej ciągłości. Wypowiadają posłuszeństwo zmianom, a na zagraniczne wpływy reagują obojętnością. Młodzi Hindusi mogą nosić

dżinsy i jeść amerykańskie burgery, ale na widok krewnego, urzędnika czy profesora w *dhoti* nagle tracą animusz, robią się grzeczni — kłaniają się i dotykają dłońmi jego stóp.

Hindusi wyglądają w etnicznych strojach lepiej niż w ubraniach wzorowanych na zachodniej modzie, i to wcale nie dlatego, że bardziej egzotycznie czy baśniowo. Noszą je jak własną skórę, poruszają się w nich swobodnie. Kilkumetrowe pasy bawełny i jedwabiu nie blokują ich ruchów, w niczym nie przeszkadzają — udrapowane wokół bioder, zarzucone na ramiona i głowę, trzymają się ciała w zadziwiający sposób. A gdy się lekko osuną i spłyną w dół, to zawsze z gracją, jakby celowo — by dłoń mogła łagodnie przesunąć je na miejsce, ułożyć wygodniej, jeszcze piękniej. Palce gładzą haftowaną lamówkę, wędrują wzdłuż miękkiej fałdy. Hinduskie stroje są niczym ruchome obrazy, współistnieją z człowiekiem — ozdabiają go i chronią, ale chcą być doceniane i pieszczone.

To uczciwa transakcja, bo każdy — w szczególności kobiety — otrzymuje szansę, by czuć się wyjątkowo. Dzięki takim ubraniom Hindusi dysponują bogatą gamą gestów, zyskują tysiące drobnych ruchów, poprzez które wyrażają siebie. Ciężkie szale z kaszmirskiej wełny pomagają demonstrować wyniosłość i godność, o ile się je odpowiednio rozłoży i wyeksponuje wzór. *Dupattę*, długi szal noszony do kobiecego *salwara* — tuniki dopasowanej w biuście, a poszerzonej w talii — można podciągać i przekładać na nieskończenie wiele sposobów. Jak każda chusta służąca zakryciu jest symbolem cnoty. W romantycznych bollywoodzkich scenach końcówka sari

przypadkowo zahacza o guzik ukochanego albo wplątuje się w jego dłoń, a wówczas on ją chwyta i przyciąga kobietę do siebie. Następuje symboliczne złączenie. Przerzucając *dupattę* czy szal na plecy, Hinduski prezentują wdzięki, ale ten sam kawałek materiału, gwałtownie zerwany z ich ramion lub włosów przez mężczyznę, staje się znakiem upokorzenia.

Przy każdym ruchu słyhać dzwonienie — kolczyków, naszyjników i bransoletek. Zrobione ze szkła, złota, z plastiku czy metalu pobrzękują kusząco — są melodią kobiecego życia, rozpraszają przykurzoną codzienność. Ich dźwięk jest odświętną osłoną. Ubrania w Indiach od tego właśnie są: upiększają świat. Nawet jeśli ich krój jest prosty, to intensywne kolory zapewniają ozdobność. A jeśli materiał tani, to obszyty świecidełkami.

Dhoti i *sari*, królewska para indyjskiej dynastii odzieżowej, to stroje proste, a jednocześnie bajeczne. Prostokątny kawał tkaniny zostaje owinięty wokół ciała i ułożony tak, że nadaje właścicielowi książęcy wygląd, wymusza dostojny krok i pomaga żyć — zapewnia przewiewność w wilgoci i upale, nie przeszkadza w pracy.

Indyjskie stroje są utkane ze znaczeń. Ubranie zawiera kod informacyjny. Niesie treści, które miejscowi z łatwością odczytują; obcym pozostaje podziwiać różnorodność form i kunszt wykonania. Hindus, wkładając ubranie, chce się jednocześnie porozumieć z innymi i pozostać w swoim świecie. Strój pozwala ustalić podobieństwa i różnice, jest misternie skomponowaną wizytówką. Pomaga określić siebie — w społeczeństwie głęboko zróżnicowanym przynależność do konkretnej

grupy i rodziny daje punkt zaczepienia, ratuje przed roztopieniem w masie. To jeden z powodów, dla których większość Hindusów — nawet żyjących w diasporze — pozostaje wierna tradycyjnym strojom.

Każdy zakątek Indii wykształcił własną garderobę. Kraj został zszyty niczym patchwork — z różnych kultur i wierzeń. Poszczególne rejony, kasty, a nawet wioski mają własną symbolikę — specyficzne metody haftowania, barwienia tkanin, charakterystyczne sploty włókien, sposoby wiązania turbanów. Stroje prowadzą własny dialog, bardzo pomocny w kraju mówiącym wieloma językami.

Kilka stłoczonych na autobusowej ławce kobiet może nie odezwać się ani słowem, a wszystko, co najważniejsze, i tak o sobie wiedzą. Ta przy tuszy, w liliowym sari z białymi wzorami geometrycznymi na krawędziach, jest Bengalką — wybrała klasyczny wzór i dobrze utkaną bawełnę. Pewnie od lat kupuje w tym samym sklepie, płaci sporo, ale zawsze dostaje zniżkę. Materiał jest nowy, mało używany, udrapowany na wysokości pępka i zaprasowany w harmonijkę. Luźny koniec, przerzucony przez lewe ramię, nie zdążył się pognieść. Dopasowana bluzeczka z fioletowej bawełny — szyta osobno, na miarę, ze specjalnego kawałka sari — szybko przesiąka potem. Ciemnieje najpierw pod pachami i w zagłębieniu kręgosłupa, potem cała zmienia kolor — przykleja się do skóry równo, odznaczając zapięcie stanika. Między nią a halką podtrzymującą sari bujnie rozlewa się ciało. I tak być powinno, tak jest pięknie — po trzy fałdy tłuszczu na każdym boku. Symbolizują obfitość i dostatnie życie.

Resztę dopowiadają drobiazgi. Trzy bransoletki na nadgarstku: biała z muszli, bordo z plastiku i ostatnia, złota, informują, że kobieta jest mężatką. Spod sari wystaje kawałek łańcuszka — to małżeński naszyjnik, noszony na piersiach, zwykle ukryty pod ubraniem.

Mały staromodny zegarek na wąskim pasku, skórzana torba i okulary w połączonych oprawkach nie pozostawiają wątpliwości — ich właścicielka jest wykształcona, pochodzi z umiarkowanej zamożnej rodziny: stać ją na złoto, ale nie na samochód z kierowcą, więc jeździ autobusem. Włosy są ścięte krótko i rozpuszczone — na to dojrzała Hinduska może sobie pozwolić w mieście, jeśli zna feminizm nie tylko ze słyszenia.

Jasna karnacja — marzenie wszystkich Hindusów — zdradza szlachetne urodzenie i troskę: tę twarz chronił przed słońcem parasol. Policzki i skronie ludzi, którzy pracują w polu i na ulicy, są wysuszone, kurczą się i twardnieją. W drobnych dłoniach kobiety czeka złożony na czworo, niewielki ręcznik. Raz po raz delikatnie przykładają go do czoła i ust, osusza zbierające się tam perełki potu. *Bindi* — okrągła ozdoba przyklejona na czole — trzyma się mimo wilgoci. Jest elementem biżuterii, duża i czerwona cieszy się popularnością w Bengalu.

Palce kobiety, gładkie i lśniące, nie szorują naczyń i podłóg — te prace wykonują w domu służące. Na paznokciach widać jeszcze rudawe plamki — ślady po ozdobnej hennie naniesionej na dłonie aż po czubki palców. Pewnie z okazji czyjś ślubu, jakiś miesiąc temu — ziołowy barwnik wnika głęboko, trzeba czekać, aż paznokcie odrośnie.

Zupełnie inną historię opowiadają kościste ręce dziewczyny, która usiadła obok, na kancie ławki. Zapiera się nogami i balansuje, żeby nie spaść na zakręcie. Stopy mocno przywierają do gumowych *ćappali*, wytartych już i zdeptanych kłapków. Na palcach nóg kilka metalowych pierścionków — nawet nie srebrnych, choć kosztowałyby niewiele, bo Hindusi nie cenią srebra. Chude, żylaste ciało jest ciemne, a im mocniejsze promienie wpadają do autobusu, tym bardziej czernieje. Nie ma na nim odrobiny zbędnej tkanki, zdaje się — sama skóra i mięśnie. Akurat tyle, by pracować i przeżyć. Kobieta, niska i drobna, niemal ginie w kolorowym stroju. Najpewniej pochodzi ze wsi, jest sprzątaczką, praczką, a może jedną z niewykwalifikowanych robotnic, otrzymujących tylko dniówki i wędrujących za pracą, którą w każdej chwili mogą stracić.

Jej sari, ciemnozielone, w drobne kolorowe kwiatki, jest miejscami bure, ale tani poliester na długo zachowuje kolor, nie płowieje tak łatwo jak wystawione na słońce len czy bawełna. Także dlatego wybierają go biedni — mają jeden, może dwa stroje na zmianę. Europejczycy ostre barwy kojarzą się z ekstrawagancją i odzieżowym luksusem, ale w Indiach reguła jest odwrotna: zamożni hołdują prostocie, a jeśli noszą mocne kolory, rezygnują z innych ozdób.

Delikatne kremowe sari albo blad różowy szal łatwo przegapić w tęczowym tłumie, ale zwykle to niepozorne stroje są najbardziej wykwintne. Ciemnoskóra pasażerka w zielonym poliestrze ubarwia swój skromny świat — wyrazisty kolor nadaje życiu blask, trochę łagodzi troski.

Kupiony u konduktora bilet i resztę pieniędzy kobieta

wsuwa za bluzeczkę, nie nosi torebki — biedni chodzą z pustymi rękoma. Ona też jest mężatką. Długie czarne włosy, lśniące od potu i oleju kokosowego, spięta w kok nad karkiem. Przedziałek zabarwiła na czerwono — to *sindur*, znak zamążpójścia. Jest także małe *bindi* na czole i metalowa bransoleta na nadgarstku — jako dodatkowe potwierdzenie zawartego małżeństwa. Te znaki mają zapewnić kobiecie ochronę, zawiadamiać, że opiekuje się nią mąż, ale wskazują też na krzywdzącą nierównowagę.

Mężczyźni nie noszą żadnych małżeńskich symboli. Hindusi nie wymieniają przy ślubie obrączek — nie podejmują wzajemnego, równego zobowiązania. Bransolety i *sindur* są symbolem własności. Kobieta usuwa je, gdy zostaje wdową. Wraz z odejściem męża traci prawo do ozdób — staje się niczyja, a jej uroda — nieważna.

Najwięcej biżuterii — potężnej i imponującej — noszą Hinduski w Radżasthanie i Gudźaracie. Mieszkanki wiosek i miast zbudowanych na pustkowiu dźwigają na sobie emblematy wytrwałości i siły. Na kostkach — kilka masywnych obręczy ze srebra, grawerowanych i zdobionych skomplikowanymi wzorami. Raz założone zostają na lata — kości ustępują im miejsca, odkształcają się. Na palcach nóg — pierścienie, na nadgarstkach — bransolety. Zaciskane, z głowami lwów na obu końcach, albo zapinane, z kwiatowymi motywami. Nad nimi, aż do ramion, rzędy wąskich i prostych obręczy zasłaniających całe ręce niczym zbroja.

Najuboższe kobiety kupują bransolety z plastiku, szukają taniego zastępstwa, ale nie rezygnują z biżuterii. Od nosa do ucha biegnie łańcuszek, kołysze się przy

policzku, łącząc wymyślne kolczyki: ogromne, wysadzone kamieniami. W Gudźaracie ozdobą są wielkie ciemne tatuaże i niespotykana w innych rejonach czarna henna: w skórze ramion i nóg zatapiają się tajemne znaki.

Tu kobiety nie noszą sari, pustynia zrodziła *lehenge* — rozłożystą spódnicę do kostek. Piersi zakrywa *coli* — opięta bluzka z krótkim rękawem; brzuch pozostaje odsłonięty. Włosy i twarz osłania zdobiony szal (w tradycyjnych społecznościach obowiązuje jeszcze wprowadzona przez muzułmańskich władców w XVI wieku reguła *pardy* — noszenia zasłony).

W tych suchych, piaszczystych okolicach strój musi być triumfalny: odwraca uwagę od wielkich przestrzeni. Jaskrawe barwy zaznaczają każde istnienie, pozwalają się dostrzec na pustkowiu. Ale jest coś jeszcze: książęca tradycja Radźputów, dumnych i bogatych władców tej krainy. Legendy o walecznych maharadzach i pięknych maharanich, noszących najwytworniejsze stroje, o ich alabastrowych pałacach, fortach ze złotego piaskowca i haremach. Cały ten baśniowy świat został utrwalony na malarskich miniaturach: widać tam każdy rubin i każdą perłę.

Co innego w maleńkiej, leżącej na południu subkontynentu Kerali, którą można przejechać wszcz w kilka godzin. Tu, w wilgoci i cieple, natura przyjęła tak okazałe formy, że człowiek nie próbuje z nią konkurować. Wśród wielkich kwiatów i kwitnących krzewów wystarczy, że kobieta włoży jasne sari z czerwoną lamówką: w natłoku barw tylko biel zapewnia widoczność.

Po sąsiedzku, w Tamilnadu, sari tka się na drewnianych krosnach: jedwab przyjeżdża z Bangaluru, złote nici — z

Suratu. Powstają stroje z szerokimi lamówkami, a do ich ostrych, kontrastujących barw wzdycha cały kraj. Przewyższa je tylko szkoła z Waranasi, stolicy jedwabiu — tamtejsi mistrzowie tkactwa potrafią naśladować wszystkie istniejące i wymarłe style. Ich kunsztu nie doścignie nikt.

Piękno nie jest zarezerwowane dla kobiet. Tradycyjna garderoba męska jest równie finezyjna. Mieszkaniec Pendżabu przedstawia się światu w majestatycznym turbanie, którego kolory zmienia w zależności od regionu, pory roku i dni świątecznych. Chodzi w bawełnianej kurcie i luźnych spodniach, znanych jako *pyjamas*. Płaskie skórzane buty — *dżuti* — zapewniają komfort, bezpieczeństwo i ozdobę: skóra, zwykle wielbłądzia, izoluje od gorąca i dostosowuje się do stopy, a haftowane kolorowo kwiaty pasują do soczystych odcieni turbanów i tunik.

Wyznawcy sikhizmu, wywodzący się z Pendżabu, a dziś żyjący w całym kraju, chcą być widoczni. Pobożni noszą pięć symboli: *keś* — długie włosy, znak życia w zgodzie z wolą bożą; *kangha* — grzebyk, narzędzie czystości; *kara* — stalową bransoletę, chroniącą od złych uczynków; *kaćh* — szczególny rodzaj bielizny, przypominający o panowaniu nad pragnieniami; *kirpan* — zawieszony na pasku miecz, świadczący o odwadze tej walecznej grupy. Noszą go także sikhijki, ubierające się w *salwary*, szerokie spodnie, i zakrywające włosy — łatwo je pomylić z muzułmankami.

Sikhowie zawijają długie brody w siateczkę, a jej końce wtykają pod turban. Noszą na głowach okazałe konstrukcje, układane starannie na wiele sposobów. Najpierw owijają włosy małym turbanem, a dopiero na nim

zaplatają kilkumetrowy materiał stanowiący ozdobę. Taka operacja może trwać nawet kilkadziesiąt minut. W sprzedaży są i gotowe turbany, ale to nie to samo: jeśli sikh chce zaimponować, na przykład kobiecie, musi mieć na głowie coś niesamowitego.

Chłopców i nastolatków obowiązują prostsze nakrycia: kok spleciony z przodu, na czubku głowy, ciasno otulony czarnym materiałem. Młodzi sikhowie zrobili z tego modę — noszą luźne dżinsy i szerokie koszulki, prezentując się jak indyjscy kuzyni amerykańskich hiphopowców. Tylko czapki z daszkiem zastąpili turbanami. Ich dziadkowie pozostali przy *pyjamas* i szerokich koszulach. Jednak większość mężczyzn nosi spodnie w kant, koszulki polo i gładkie pulowery w żywych kolorach: ten schludny strój sprzyja robieniu interesów, a na tym sikhowie znają się najlepiej.

Smukli, mocno zbudowani południowcy niechętnie rozstają się z tradycją — mieszkańcy Tamilnadu, Kerali i Karnataki to konserwatyści, zdeterminowani, by podkreślać swą odrębność. Są spadkobiercami kultury drawidyjskiej, a więc innej niż mieszkańcy północy kraju, gdzie dominują wpływy indoeuropejskie. Nie znają hindi, nie kochają Bollywood — mają własne języki, potrawy, gwiazdorów filmowych, stawiają bogom jedyne w swym rodzaju świątynie. Noszą się dumnie, ale bez nachalności.

Tamilki częściej niż kobiety w innych stanach wybierają żółcie i granaty, a ich charakterystyczną ozdobą jest jaśmin: na co dzień wystarczy kawałek wpiętej we włosy girlandy, wymienianej co kilka godzin. Od święta drobne białe kwiaty, nawleczone na nitkę, oplatają głowę dookoła,

zasłaniają koki, kołyszą się przy skroniach jak falbanki lub leżą na piersiach jak grube i okazałe naszyjniki. Zapach jest odurzający, szczególnie z rana, kiedy świeża kwiatowa biżuteria śpieszy się do pracy i tłoczy w autobusach.

Tamilowie noszą *lungi* — najczęściej białe, z kolorową lamówką. To — podobnie jak *dhoti* — pas bawełny, czasem zszyty w tubę. Nie zaplata się go między nogami — zawiązany w pasie opada swobodnie do kostek, tworząc wąską spódnicę. Sprawia, że mężczyźni wyglądają jak wieże — niewzruszone, strzeliste. Nosi się go do koszuli. Gdy dokucza upał, pośpiech albo niewygodna pozycja, materiał można zawinąć. To zabieg popularny, choć mało elegancki — mężczyzna nie powinien odsłaniać nóg, a już na pewno nie w towarzystwie kobiet.

Podwijanie *lungi* przypomina umyślną prezentację wdzięków: mężczyzna chwyta dolną krawędź materiału w obie dłonie, rozpościera je jak pawi ogon, czeka chwilę, rozgląda się i dopiero starannie wsuwa za pas — teraz strój sięga do kolan, można w nim wygodnie pracować i jeździć rowerem. Ale tylko opuszczone *lungi* wygląda majestatycznie. Miękką bawełną faluje w ruchu i żadne spodnie nie mogą się z nią równać.

Spodnie, podpatrzone u Europejczyków, wywarły zgubny wpływ na indyjską konfekcję. Zrobiły szybką karierę i dziś są najpopularniejszym męskim strojem, choć także najbrzydszym i nieumiejętnie szytym. Noszą je mężczyźni zamożni i ubodzy, bez względu na pochodzenie, wyznanie i zawód. Różnorodność etnicznych kostiumów zamienili na zaledwie dwa dominujące kroje, odtwarzane w całym kraju z zadziwiającą konsekwencją.

Pierwszy pochodzi z drugiej połowy lat czterdziestych XX wieku, a więc z okresu, w którym Brytyjczycy postanowili opuścić Indie i być może po raz ostatni odcisnęli piętno na hinduskiej garderobie. Nogawki są szerokie i proste, zaprasowane w kant na środku uda. Z niewyjaśnionych powodów — zawsze za długie. Szerokie mankiety ciągną się po zakurzonych ulicach, mokną w kałużach, są przydeptywane w sandałach.

Proste koszule sięgają połowy uda. Panowie obchodzą się z nimi jak z luźną kurtką — wykładają na wierzch, dopełniając groteskowego obrazu. Hindusi, z reguły niewysocy, przeciążeni nadmiarem materiału, poruszają się niezdarnie. Mimo codziennej praktyki nie przyswoili obcych fasonów, a importowane idee elegancji przerobili na bylejąkość — ani kanty nogawek, ani krochmalone kołnierzyki nie nadają im schludnego wyglądu. Zamiast powagi jest niezamierzona śmieszność.

Druga fala zachwytu zachodnimi strojami przyszła w latach siedemdziesiątych XX wieku i przetrwała do dziś — głównym sprawcą modowej katastrofy był Amitabh Bachchan, gwiazdor Bollywood. Gdy Hindusi przeżywali rozczarowania demokracją, wcielił się w rolę młodego gniewnego w przeboju *Sholay*. Jego ekranowa niepokorność, odziana w dzwony i dopasowaną koszulę z przedłużonym kołnierzykiem, wciąż promieniuje na chłopców i trzyma kolejne pokolenia w odzieżowym muzeum.

Zakłady krawieckie uporczywie kopią ten wizerunek: dzwony opinają drobne pośladki, a przy kostkach rozrastają się jak kielichy. Kolorowe koszule wciśnięte

mocno za pas z błyszczącą kłamrą są rozpięte aż do serca. Ten model zmysłowego hindu-macho ma również swoją dzinsową odmianę: w cenie są wciąż spodnie dekatyzowane i rozdierane na kolanach dla dodatkowego efektu. Nieustannie przydeptywane i obszarpywane nogawki zmieniają się w długie frędzle.

Gdy tak wystylizowany młody mężczyzna sunie przez indyjskie ulice w plastikowych okularach przeciwsłonecznych i topornych pantoflach na grubej podeszwie, prawdopodobnie czuje, że ma świat u stóp. Staje się wtedy filmowym bohaterem, jednym z tych, u których nedorzeczna garderoba idzie w parze z nadprzyrodzoną mocą — bollywoodzkie boginie od lat ulegają facetom w kusych pomarańczowych swetrach i srebrnych spodniach. Wyobrażenie męskości — infantylne i w złym guście — widzowie skrupulatnie odtwarzają własnym sumptem.

Mężczyźni w Indiach mają wspólną słabość: włosy. W tylnej kieszeni spodni noszą plastikowy grzebyk, którym raz po raz poprawiają fryzurę. Czeszą się różnorodnie, nabłyszczają włosy, modelują fale i grzywki; siwiejący farbują się na czarno lub rudo. Podczas gdy ubrania mają zwykle poplamione, przepocone i poszarzałe — w Indiach, nawet przy najlepszych chęciach, trudno zachować czystość — to włosy pielęgnują nienagannie.

Postrzyżyny chłopca są w hinduskich rodzinach huczny wydarzeniem i jednym z najważniejszych rytuałów. Ale i bez świątecznych okazji fryzjerzy są zapracowani. Wychodzą do klientów — ich zakłady mieszczą się przy ulicy lub na chodniku; drzwi — o ile są —

stoją otworem. Kobiety mają salony piękności, ukryte za przyciemnianymi szybami, panom przysługuje kwadrans próżności przy strzyżeniu. Siadają na profilowanym drewnianym krześle; poplamiony ręcznik osłania ubranie, a ciężkie metalowe nożyczki idą w ruch. Czasu jest akurat tyle, by uważnie przyjrzeć się ścianom pokrytym wycinkami z gazet: aktorki i aktorzy, wcielone ideały mody i urody, puszczają oko do strzyżonych. W cenie usługi jest mocny masaż głowy: wygląda jak męczarnia, ale czyni cuda.

Wszystkie ubrania Bombaju prędzej czy później trafiają na Dhobi Ghat — do wielkiej pralni. Widać ją ze stacji kolejowej Mahalaxmi — hipnotyzujący twór, otoczony murem, pokrojony na małe części. Zaskakująco uporządkowany w tym buzującym mieście. To przez kolory — suszą się posegregowane na sznurach i dachach. Inaczej niż w całym kraju, gdzie kobiety, gdy już wrócą z praniem znad rzeki, rozkładają na trawie mozaikę prostokątów, trójkątów i trapezów. Słońce błyskawicznie je suszy i okrada z kolorów. A tu jest dyscyplina: koszule, od błękitów do granatu, kołyszają się równo, jakby ktoś nimi dyrygował. Żółte i cytrynowe bluzeczki sari jeszcze ociekają z wody, nieruchome, skoszarowane.

Przy bramie kręcą się naciągacze — zakazują wstępu, chcą pieniędzy. Pilnują pralni, jakby kryła strategiczną tajemnicę. Wewnątrz ciągną się rzędy murowanych balii, kwadratów wypełnionych wodą z mydlinami, w których moczają się ubrania: posegregowane, dobrane nie tylko kolorami, ale i odcieniami. W każdym boksie, zanurzony po kolana, stoi mężczyzna i tłucze.

Tak się pierze — uderzając tkaniną o kamień, mocno,

bezlitośnie, jakby brud był śmiertelnym wrogiem.

Pęki koszul i *salwarów* wirują, rozpryskują krople i spadają na twarde blaty z pluskiem. Podłużnymi kanałami ścieka brudna woda, a uprane ubrania płucze się w zbiornikach obok. Pod ścianami, przykryte dachem, pracują wielkie kotły — tam wygotowuje się pościel. Buchająca para jest nie do zniesienia. Mężczyźni przy baliach piorą w palącym słońcu, osłaniając głowy białymi szmatami. Kilka kobiet skryło się w cieniu — segregują bieliznę. W pierwszym sektorze pracuje kilkadziesiąt osób, które piorą jednocześnie kilkaset koszul.

Trzeba ten obraz wielokrotnie pomnożyć — Dhobi Ghat zatrudnia setki ludzi. Najdziwniejsze, że ubrania nie giną. Przyjeżdżają z różnych dzielnic i milionów prywatnych domów, ze szpitali, z hoteli i restauracji. Każda sztuka otrzymuje maleńki znak, jakąś nabazgraną cyfrę czy literę. Możliwe, że są odnotowywane w gigantycznym spisie, ale nie w żadnym komputerze. Tuż po przyjeździe zostają rozdzielone, przechodzą przez wiele rąk. Kto inny je pierze i gdzie indziej się suszą, a mimo to odnajdują się, złożone w kostkę: spodnie, trzy kurty, dwa *salwary*, *dupatta* i para błękitnych skarpetek. Wracają do właścicieli, pachnące i czyste, otulone kawałkiem starej gazety.

Tabu na talerzu

— Siostro! Pomóż mi dziś, a jutro cię nie zapomnę. — Uśmiecha się błagalnie i czeka. Lekko pochylony, ze skurczonymi ramionami, prosi całym ciałem. Jest teraz jedyną nieruchomą postacią na zatłoczonym chodniku, waży się jego los. — Zdobyłem ryż, ale potrzebujemy warzyw. Oni od dawna jedzą tylko *dal*[21].

Przesuwa się o krok i odsłania dwóch chłopców. Stoją ramię w ramię i kołyszą się lekko, próbując wspólnie utrzymać dużą torbę ryżu. Przesuwają bose stopy na chodniku za każdym razem, gdy ktoś ich potrąca. Niczym boja uporczywie wracają na miejsce, z którego zostali zepchnięci. Zaciskają palce na torbie i wpatrują się w tatę. Skołowani rozpoznają tylko jego. Są w mieście od kilkunastu dni, przyjechali ze wsi.

— Trudno o pracę, siostro. Może masz dla mnie jakieś zajęcie?

Przybiegł tu z nimi z naprzeciwka, przeciskając się między samochodami. Osłaniał dzieci ręką, jakby wyprostowane ramię i machająca dłoń mogły zatrzymać zderzaki i maski. A jednak — rozgrzane maszyny hamowały, prawie dotykając chłopięcych ciał. Gdy dotarli na chodnik, wcisnął im torbę i przypędził tutaj. Tej szansy

nie może zmarnować.

— Targ jest blisko, siostrze. Warzywa niedrogie.

Stara się być pogodny. Już się nauczył, że biali wolą pomagać uśmiechniętym. Lubią czuć, że dając pieniądze, naprawiają świat. Nie wolno ujawniać przed nimi beznadziei, bo się zniechęcą. Dlatego nie mówi, że są głodni ani że mieszkają za rogiem, pod plandeką, z pledem i dwoma garnkami. Zamiast tego przykłada dłoń do czoła i zapewnia:

— Bogowie ci to wynagrodzą.

Nawet najpotężniejsza indyjska partia, żeby wygrać wybory, musi obiecywać rolnikom darmowe dostawy ryżu. Ludzie, którzy pracują na polach, po kolana w wodzie, przesadzając zielone pęczki, nie mają co jeść. Wielu z nich to pracownicy najemni. Uprawiają cudzą ziemię, zapożyczają się, żeby kupić nasiona i nawozy, a plony ledwo wystarczają na to, by przeżyć. Dobry monsun oznacza, że nie będą głodować. Słabe deszcze i susza są śmiertelnym zagrożeniem. Raz po raz przez indyjskie wsie przetacza się fala samobójstw. Ojcowie wplątani w sieć pożyczek wieszają się albo piją koktajl z pestycydów. Mają nadzieję, że rządowe odszkodowanie pozwoli przetrwać ich żonom i dzieciom.

Dziś już nie mówi się w Indiach o wielkim głodzie ani śmierci głodowej jako problemie społecznym. Najstraszliwsze były pierwsze lata niepodległości: masy imigrantów, przeludnione miasta, zacofane wsie. Wielkie socjalistyczne plany i liczone w milionach ludzkie tragedie tworzyły opowieść o światowym centrum głodu, trądu i ubóstwa. Indie były wychudzonym żebrakiem

wyciągającym puste dłonie. Nowe niepodległe państwo budowało fabryki, ale nie potrafiło wykarmić ich pracowników. Anachroniczne wsie nie nadążały za industrializacją, ceny żywności rosły, wielki rolniczy subkontynent musiał sprowadzać ziarna ze Stanów Zjednoczonych. W krytycznym momencie, który przypadł na połowę lat sześćdziesiątych XX wieku, Hindusi importowali dziesięć milionów ton nasion. Dwie wojny — z Pakistanem i Chinami — dodatkowo pogorszyły sytuację. Państwo znalazło się na krawędzi klęski głodowej. I wtedy wydarzył się cud zielonej rewolucji.

Premier Lal Bahadur Shastri[22], a po nim Indira Gandhi robili wszystko, by uniezależnić kraj od zagranicznych dostaw. Na polach obrabianych dotąd przez pługi i szare woły pojawiły się wysokiej jakości ziarna, nawozy chemiczne, pestycydy, pompy, traktory i kombajny. Senne wioski nagle obudziły się w erze nowoczesnej edukacji rolniczej i pożyczek rządowych. Już pod koniec lat sześćdziesiątych Indie nie potrzebowały pomocy innych krajów, aby poradzić sobie z niszczącymi suszami. Zielona rewolucja bezpowrotnie je zmieniła i była największym sukcesem gospodarczym kraju aż do 1991 roku, czyli do reform finansowych i otwarcia wolnego rynku.

Dziś zamiast głodu Indie mają inny problem — niedożywienie. Pojawiła się łagodniejsza kategoria, tym trwalsza, że nie wszczyna alarmu. Wielu Hindusów je akurat tyle, by przetrwać. Ale nie dość, aby uchronić się przed infekcjami i chorobami, które skracają życie. Głód oszukiwany mało wartościowymi posiłkami zabija z opóźnieniem.

Dieta ubogich jest prosta: gotowany ryż, *ćapati* — mączne placki, i *dal*. Ryż — sypki i lekko wilgotny, nie kleisty jak w Chinach — bulgocze w aluminiowych garnkach ustawionych na prymitywnych paleniskach. Kilka kamieni, cegieł albo rozłupanych płyt chodnikowych, a między nimi buchający płomień i gar z osmalonym dnem. Okrągłe wałkowane *ćapati* i podobne do nich *roti*, podrzucane w powietrze i spłaszczane w dłoniach, opiekają się na żeliwnych podstawkach albo wprost na naftowych palnikach. *Dal* powinien być ciężki i gęsty, ale częściej przypomina burą zupę, wodnistą i pozbawioną smaku.

Pomaga tylko przełknąć ryż i suche placki. Tak się je w slumsach i na wsiach, na zapleczach fabryk i na chodnikach we wszystkich częściach kraju.

Im lepiej powodzi się rodzinie, tym bardziej skomplikowane jada ona posiłki: w bogatych domach ryż, *dal* i *ćapati* to tylko skromni kuzyni wykwinionych potraw. Zamożni jadają dużo i różnorodnie: posiłek jest sekwencją wielu elementów, korowodem smaków. Każdy z nich ma przypisaną kolejność, rolę i symboliczne znaczenie.

Bengalczycy żyją, żeby jeść. Dostrajają dni do posiłków, niepokoją się, gdy żywieniowy ład ulega zakłóceniom. Nie tylko z łakomstwa, choć wydętych brzuchów i szerokich pośladków jest w tej żyznej krainie niemało, ale z przekonania, że odpowiednie karmienie ciała stanowi o jakości życia: zdrowiu, spokoju umysłu i spełnieniu duchowym. Współczesność jest wobec tej wiary bezlitosna: gwałci biologiczno-rytualny harmonogram, utrudnia przygotowywanie i spożywanie potraw z namaszczeniem. Nie dość, że nakazuje pośpiech, to jeszcze podsuwa półprodukty pochodzące z obcych, anonimowych źródeł. A

w Indiach szykowanie potraw to świętość. Istotne jest, co się je oraz kto i jak robi jedzenie. Każdy kęs rodzi pytania: czy pożywienie jest czyste, przygotowane w zgodzie z zasadami, czy nie łamie tabu? Poszczególne domy tworzą własne wariacje na temat ogólnych norm dotyczących potraw zakazanych i zalecanych przedstawicielom różnych grup społecznych i wyznań. Wielkie indyjskie menu jest jak pole minowe — trzeba się po nim poruszać z największą ostrożnością. To, co Hindus ma na talerzu, mówi o nim więcej niż strój i język, którym się posługuje.

Bengalski stół zapowiada spożywczy maraton. Mieszkańcy tej części Indii są szczęściarzami: mają czas i hojną przyrodę. Choć życie w Kalkucie nabiera kapitalistycznego tempa, to jednak trzydzieści lat marksistowskich rządów[23] spowolniło tętno regionu. Wsie są wciąż tak sielankowe jak w strofach dziewiętnastowiecznych poetów, których nietknięte ludzką ręką pejzaże inspirowały do zachwytu nad boską kreacją i pocieszały w tęsknocie za idealną miłością. Biegnące ku Zatoce Bengalskiej rzeki nawadniają pola i zapewniają pożywienie. Bengalczyki uwielbiają ryby słodkowodne, przyznają im wyższość nad morskimi stworzeniami, którymi zachwycają się mieszkańcy południowych wybrzeży. W Bengalu jada się zdrowo i lekko. Rybom towarzyszą warzywa, aromatyczne dodatki i niezrównane słodocze. Ale nie wszystko naraz.

Najpierw coś gorzkiego i cierpkiego, dajmy na to — odrobina piklowanych warzyw, dla wyostżenia zmysłów i pobudzenia żołądka. Ciało przygotowuje się do obiadowej uczty. Następnie mocno przyprawione smażone warzywa z

dalem. Każde danie spożywa się osobno, z dodatkiem ryżu — mieszanie smaków albo zbyt prędko ich zmiana wszystko by popsuły. Na talerzach panuje ład — góra ryżu spoczywa z jednej strony, kolejne potrawy i sosy pojawiają się obok, nie brudząc białych ziaren. Będą z nimi delikatnie łączone, wyjadane do czysta. Dopiero wtedy na talerzu znajdzie się kolejny składnik.

W miarę jedzenia posiłki stają się coraz bardziej wyszukane — pojawiają się złożone dania warzywne, na przykład kwiaty bananowca z ziemniakami. Potem ryba — najlepiej delikatna ilisza, smażona na oleju z gorczycy, przyprawiona i podduszona, czasem razem z ziemniakami. Następnie trudniejsze do strawienia mięso: aromatyczny kurczak, miękka koźlina. Skórki, pestki, ości — wszystkie niejadalne części spoczywają razem, na skraju naczynia.

Finał jest słodki: ciasteczka pistacjowe lub maślane, maleńkie naleśniki z kokosowym nadzieniem albo *pajesz* — rozgotowywany w mleku ryż z kardamonem i rodzynekami, ostudzony i ozdobiony orzechami nerkowca. Ociekająca syropem serowa kulka — *roszogula* — to królowa bengalskich deserów. W niektórych domach ma pierwszeństwo: jada się ją na początku posiłku.

Podczas jedzenia dłoni porusza się płynnie i delikatnie — żadnych nagłych czy nerwowych gestów. Najpierw opuszki rozgarniają ryż, przeczesują go. Sprawdzają sypkość, studzą, oswajają się z temperaturą. Potrawę, zanim trafi do ust, trzeba poczuć, delikatnie rozgnieść, podzielić na części. Nawet kawałek zwykłego *ćapati* jest najpierw obracany w palcach. Przyciskane do talerza jajko, ser czy warzywa zmieniają się w miazgę, skleją z ryżem. Kciuk,

palec wskazujący i środkowy zastępują sztucce — porcjują mięso i dodatki, starannie, żeby zbalansować przyprawę. Łączą się z palcem serdecznym i małym, układają w łódeczkę. Gdy podpłyną do ust, kciuk — niczym wiosło — lekko spycha zebrane na opuszkach jedzenie.

Opróżniona z ładunku dłoń wraca na talerz. Z wprawą i subtelnością podporządkowuje sobie pożywienie — cały ten balet odbywa się bez wysiłku. Jedna tylko dłoń — prawa, bo lewa spoczywa pod stołem, na udzie — w zupełności wystarczy, by porwać wielki mączny placek na kawałki, obrać skrzydełko kurczaka, powybierać twarde goździki i nasiona kardamonu, pozbawić rybę ości. Na koniec palce dokładnie zbierają z talerza pozostałości sosu: kilka ruchów i naczynie jest czyste. Podczas posiłków Hindusi pracują dłońmi jak alchemicy, przygotowują poszczególne kęsy, pamiętając o proporcjach, z aptekarską precyzją komponują smaki. I choć palce dotykały tłuszczu, zanurzały się w rudawym curry i barwiącej na żółto kurkumie, są ubrudzone jedynie na opuszkach. Wystarczy je oblizać. Naturalnie pod warunkiem, że wszystko odbyło się zgodnie z etykietą. Jedzenie rękoma nie jest oznaką prymitywizmu, tylko sztuką i egzaminem z dobrych manier.

Hindusi potrafią tę staranność odtworzyć w najtrudniejszych warunkach: w pędzących pociągach, przydrożnych barach i tłocząc się w południe przy ulicznych straganach, gdzie lekkie posiłki podaje się w miseczkach zszytych z wysuszonych liści bananowca. W ukropie, spalinach i miejskim hałasie, między zakorkowaną jezdnią a straganami połykają miękkie placki i duszone warzywa. Siadają przy zbitych byle jak ławach, aby szybko

zjeść marynowaną rybę i słuszną porcję ryżu, wysiorbać parzącą herbatę. A potem przepłukać usta wodą, splunąć na jezdnię i odchodząc, włożyć w brudną dłoń sprzedawcy kilka srebrnych monet. W porze lunchu korzystają wszyscy: czego nie zje człowiek, zjedzą zwierzęta. Koty łażą między nogami, kruki i psy czekają przy rynsztoku.

Szczęśliwi podróżni, których troskliwe kobiety wyposażyły na drogę w aluminiowe tuby. Wkładane jedna w drugą miski, połączone wspólnym uchwytem, pozwalają przewozić najbardziej skomplikowane posiłki, nosić przy sobie domowe zapachy i smaki. Gdy w rozhuśtanych wagonach nastaje pora obiadu, ludzie skwapliwie zabierają się do jedzenia. Odłączają kolejne miseczki i jedzą zgodnie ze scenariuszem, jaki obowiązuje przy rodzinnym stole. Zdarza się, że częstują współpodróżnych, ale nie wszystkich — zakodowane w potrawach podziały społeczne nakazują ostrożność.

W przeciwieństwie do hindusów indyjscy muzułmanie[24] są podczas posiłków swobodniejsi, bo ich religia nakazuje dzielić się z innymi. Dlatego rozglądają się wokół, szukając chętnych na wspólny posiłek, nawet jeśli mają tylko chleb, dżem i kiść winogron. Oferują jedzenie nie raz, ale kilkakrotnie.

Bez względu na wyznanie gościnność jest w Indiach równoznaczna z karmieniem. Na wizytę w czyimś domu najlepiej pójść z pustym brzuchem, bo choć obżarstwo jest źle widziane, to im więcej gość zje, tym bardziej uszczęśliwi gospodarzy. Odmowa udziału we wspólnym posiłku sprawi przykrość, a co gorsza — urazi. Dzielenie się jedzeniem to najbardziej dosłowna forma bratania się,

potwierdzenie równości i obustronnego poszanowania. Kto nie chce zjeść tego, co przygotowałeś, uważa cię za niegodnego siebie. Jedyne okoliczności, które usprawiedliwiają odmowę, to choroba albo post — oba wytłumaczenia Hindusi przyjmują z wyrozumiałością, bo zatrucia i niestrawności zdarzają się powszechnie, a poszczenie — jako forma modlitwy i samodoskonalenia — zasługuje na pochwałę. Przyjęcie filiżanki herbaty, kawy czy choćby szklanki wody stanowi minimalne zadośćuczynienie i ratuje gospodarza przed upokorzeniem.

Hinduski, zwykle dyskretni i milczący, krążą wokół gości, nieustannie im dogadzając. Uśmiechają się troskliwie. Jeśli siadają do stołu, to jako ostatnie. Częściej jednak stoją w pobliżu, obserwują, gotowe służyć. Znają tę rolę znakomicie — co dzień podają posiłki mężom, ojcom, braciom i synom. Jedzą dopiero, gdy męskie bóstwa skończą. W biednych rodzinach oznacza to, że zostają im resztki: posiłki mniejsze i uboższe w składniki odżywcze. Dlatego dziewczynki gorzej się rozwijają i częściej chorują.

Każda pochwała dla domowych potraw sprawia, że na talerzu pojawia się dokładka. Nie pomagają protesty i podziękowania — gościnność nie ma granic. Hindusi lubią powiedzenie „gość w domu jest bogiem”. Kobiety, wydając posiłek dla przybyszów, przechodzą test swych umiejętności, mają też szansę zabłysnąć. Zdolności kulinarne są w Indiach bardzo cenione. Hinduski, karmiąc, okazują miłość i szacunek, a ponieważ życie wielu z nich ogranicza się do prac domowych, kuchnia staje się ich imperium. Tam mogą decydować, sprawują władzę, realizują ambicje, rywalizują. W kuchni doświadczają

samotności i żeńskiej wspólnoty, jednoczesnego uwięzienia i uwolnienia, bo chociaż są zamknięte w świecie kulinariów, to tam nie śledzą ich męskie oczy i głosy. Wśród garnków i łyżek mówią głośniejszy i odważniejszy się śmieją.

Ideał indyjskiej kobiety to wyobrażenie matki i karmicielki. Gdy krąży wokół stołu w szemrzącym cichym sari i dostawia kolejne potrawy, staje się ucieleśnieniem bogini domowego ogniska. Jest tylko jeden sposób, by sprawić jej przyjemność i odwdziżyć się za opiekę — zjeść wszystko, co poda.

Wyłączając najuboższe rodziny, prawie każdy indyjski dom ma służących. Ci, którzy zajmują się sprzątaniami, wchodzi do kuchni tylko po to, by pozmywać. Nieczystości i jedzenie — to osobne, kategorycznie separowane światy. W zależności od rodziny pomoc kuchenna wyręcza panią domu w gotowaniu w ogóle lub jedynie pomaga, wykonując najmniej szlachetne prace. Przynosi zakupy, oprawia mięso, obiera warzywa, a niuanse, jak przyprawianie czy marynowanie, pozostawia gospodynie. Nie ma uniwersalnej reguły, ale system kastowy wytworzył naczelną zasadę, że nie je się i nie pije tego, co spożywają lub do czego choć zbliżyli się niższe urodzeni. Zanieczyszczone przez nich pokarmy grożą skalaniem. Ta norma, poddana nieskończonym mutacjom w zależności od kast, regionów i statusu poszczególnych rodzin, utworzyła kod, który reguluje współżycie ponad miliarda ludzi.

Ortodoksyjni bramini nie biorą do ust niczego, czego sami nie przygotowali. Zazwyczaj są też ścisłymi wegetarianami i abstynentami, unikają czosnku i cebuli, a

także jajek i wszelkich składników, które działają jak afrodyzjaki lub mogą wpływać na świadomość.

Wyjątkowe znaczenie ma czystość wody — w przeszłości hindusi separowali studnie, a niedotykalni nie mogli czerpać wody z tych samych źródeł co członkowie wyższych kast. Zabrudzenie wody było najpoważniejszym wykroczeniem. Do dziś tak zwane mokre potrawy, przygotowane z użyciem wody, niosą ze sobą szczególne zagrożenie. Spożywanie suchych posiłków stanowi mniejsze lub znikome niebezpieczeństwo dla statusu i czystości rytualnej; są przygotowywane z klarowanym masłem, mówi się o nich *pakka* — ugotowane, pewne.

System kastowy został zniesiony w połowie XX wieku, jednak nawet dziś bramin przychodzący z wizytą do nieszlachetnego domu być może poczęstuje się smażoną warzywną przekąską, ale nie tknie niczego, co zostało ugotowane, i nie wypije herbaty. Norm, jakie dzielą i łączą Hindusów w sferach kulinarnych, nie da się jednak usystematyzować. Większość socjologicznych i antropologicznych opracowań objaśnia fenomen spożywczych zawiłości poprzez miniaturowe studia nad poszczególnymi środowiskami. Możliwe jest opisanie reguł rządzących życiem jednej wioski, ustalenie ogólnych zasad, którymi kierują się członkowie kasty w granicach różnych stanów, ale niewiele ponadto.

Współcześnie te stosunki są jeszcze bardziej skomplikowane, bo część barier runęła, a inne pozostały. Początkowo podział kastowy oznaczał także przyporządkowanie do konkretnych profesji. Nie zdarzało się, by ludzie wysoko i nisko urodzeni pracowali razem, raczej jedni usługiwali drugim. Ich drogi miały się nie

przecinać: niedotykalni chodzili po ulicach z dzwonkiem lub kołatką, aby ostrzegać innych przed swą obecnością. Ich dotyk, a nawet cień padający na wyżej urodzonych powodował takie skalanie, że usunąć je mogła jedynie pełna kąpiel.

Dziś coraz częściej zdarza się, że w korporacyjnej drabinie różnie urodzeni stoją ramię w ramię. Ktoś dojeżdża z willi z ogrodem, ktoś inny z apartamentowca, zagrzybionego mieszkania albo chałupy w slumsach, a wszyscy spotykają się w tym samym biurze, pracują wspólnie i chodzą razem na biznesowe lunchy. Rzeczywistość wymusza interakcje, uniemożliwia utrzymanie tradycyjnych podziałów, jednak to wcale nie oznacza, że prowadzi do równouprawnienia. Szanse i zasoby wciąż są nierówno podzielone, a na gęstą sieć tradycyjnych zależności nałożyła się nowa hierarchia wolnego rynku. W nowoczesnym zamieszaniu wielu ubogich widzi dla siebie szansę — pną się po drabinie gospodarczego sukcesu, zdobywają pieniądze i stanowiska, przeprowadzają się do zamożniejszych dzielnic, jedzą bardziej wyszukane posiłki. Ale w dawnej strukturze społecznej stoją w miejscu. Obok nowych szans zyskują nowe frustracje. Menedżer, z którym spędzają całe dni w pracy, nie zaprosi ich na swój ślub i nie odwiedzi ich z okazji narodzin dziecka. Odmówi zjedzenia kolacji w ich domu, a jeśli już zajrzy z wizytą, niczego nie spróbuje. Mimo że przed południem kupili obiad w tym samym bistro. Zmieniły się okoliczności i jadłospis, ale koncepcja czystości nie zanikła.

Członkowie majątnych rodzin, wykształceni i

podróżujący po świecie, to najzagorzalsi obrońcy dawnego ładu. Przypominają o świętych i nieprzekraczalnych granicach. Chcą utrzymać swą twierdzę na szczycie, tak jak prace od dołu masy chcą się do niej wedrzeć.

I jedni, i drudzy z fascynacją spoglądają w amerykańskie menu, szukając w nim ucieczki. Stają obok siebie w kolejce po kanapki z grillowanym kurczakiem i pizzę hawajską. Płacą tyle samo, ale czują w ustach inny smak. Dzieciakom z tradycyjnych rodzin smażone mięso smakuje jak dawka buntu i wolności — w domu to grzech. A dla nastolatków, którzy dorobili się pierwszej porządnej pensji na nocnych dyżurach w telefonicznym centrum obsługi klienta, kawałek pizzy przetykany w T-shircie z napisem „I love New York” jest spełnieniem telewizyjnego snu. Potwierdzeniem, że z odmętów społecznego upodlenia można się wydostać. Nie muszą podzielić losu swych rodziców. Mogą jeść mięso nie tylko dlatego, że urodzili się gorsi, ale ponieważ wreszcie ich na to stać.

Amerykańskie fast foody i europejskie kawiarnie to w Indiach ziemia niczyja. Przychodzą do nich zamożni, korzystający z okazji, by na chwilę przestać być sobą. Na wieszaku przy wejściu zostawiają zobowiązania religijne i społeczne. Przybywają nie z krewnymi, ale z przyjaciółmi — symboliczną rodzinę zostawiają za drzwiami. Zamawiają koktajle, ciasta i tosty, o których nie wspominają żadne starożytne hinduskie teksty. Rozmawiają po angielsku, jeszcze wyraźniej oddalając się od etnicznej etykiety.

Tutaj łatwiej dzielić się posiłkiem — neutralnym, produkowanym taśmowo. I napojami na bazie wody mineralnej, bo za jej jakość i czystość ręczy znana firma. Za ten importowany jadłospis nikt nie musi brać

odpowiedzialności, nikt więc nie poczuje się urażony. Szefowie sieciowych kafejek i restauracji pamiętają o politycznej poprawności: zwykle nie serwują świętej dla hindusów wołowiny ani wieprzowiny, którą pogardzają muzułmanie. Kulinarne azyle z wygodnymi fotelami, klimatyzacją i zagranicznym popem robią karierę jako bezkonfliktowe strefy spożywcze. Tylko tam można jeść bez granic.

W restauracjach starego typu sprawy mają się inaczej.

— Przystaliśmy jadać w tej chińskiej knajpie na rondzie. Podobno podają wieprzowinę. — Ghalib jest muzułmaninem i właśnie stracił jedno z ulubionych miejsc spotkań. — Nikt mi nie zagwarantuje, że odpowiednio przygotowują dania. A jeśli mój makaron gotował się w tym samym garnku co wcześniej wieprzowina?

Umycie nie wystarczy, potrawy czyste i nieczyste muszą być rozdzielone. Już sam fakt, że kucharze gotują zakazane dla muzułmanów potrawy, jest dla Ghaliba odpychający. Gdy umawia się na kolację z Subhashem, hinduskim przyjacielem, długo debatują nad miejscem spotkania. Ustalają protokół rozbieżności. Szczęśliwie Subhash to liberał: jada właściwie wszystko, z wyjątkiem wołowiny. Jego żona Nirmala musiała to jakoś przełknąć — sama jest wegetarianką. Gotowanie mięsnych potraw zostawia służącej. Tylko raz — gdy pomocnica była chora — przełamała wstręt i przygotowała mężowi drób i ryby. Ich syn je, na co ma ochotę. Pobrali się, forsując liczne zapory: on jest Bengalczykiem, ona pochodzi z radżasthańskiej społeczności Marwari. Ich etniczne kolebki dzielą tysiące kilometrów, obyczaje i karta dań. Gdy zapraszają rodzinę,

na stole są zwykle potrawy wegetariańskie. Jeśli w ogóle zdecydują się na podanie mięsa, stawiają je na osobnym stoliku, aby nikogo nie urazić.

Niewłaściwa potrawa może spowodować katastrofę. Podanie zakazanego jedzenia to coś więcej niż towarzyski afront — to zamach na święte instytucje. Gdy w XIX wieku Brytyjczycy zmusili hindusów, by złamali tabu, o mało nie stracili swej najcenniejszej kolonii. W maju 1857 roku w Miracie i innych miejscowościach, w których stacjonowały oddziały sipajów, pojawiły się zagadkowe czerwone *ćapati*. To legenda niepotwierdzona przez historyków, jednak powszechnie znana i pięknie opisana przez Anglika J.G. Farrella w powieści *Oblężenie Krisznapuru*. Wypiekane i rozkładane w zaskakujących miejscach placki były złą wróżbą — zapowiadały bunt, który Brytyjczycy nazywają powstaniem sipajów, a Hindusi — swą pierwszą bitwą o niepodległość.

Sipajowie byli hinduskimi żołnierzami, tworzyli prestiżowe oddziały europejskich wojsk w Azji, w Indiach dowodzili nimi Anglicy. Rekrutowali się z najwyższych warstw społeczeństwa, dlatego surowo przestrzegali religijnych reguł, także w sferze żywienia. Brytyjczycy ignorowali je, wywołując wściekłość hinduskich żołnierzy.

Po raz pierwszy w 1825 roku, gdy zmusili ich, aby popłynęli do Birmy, a przekroczenie wielkiej wody było dla hindusów jednoznaczne z utratą kasty. Dwa lata później posłali ich do Afganistanu i kazali jeść co popadnie, w tym wołowinę i potrawy przygotowywane przez muzułmanów. Wśród sipajów narastał lęk, że w końcu zostaną zmuszeni do zmiany wyznania i ochrzczeni.

Wybuch nastąpił, gdy żołnierzom dostarczono nowe karabiny Enfielda. Ich naboje, składające się z prochu i kuli, pakowano w papier nasączony tłuszczem, by kula łatwiej zsuwała się w głąb lufy. Według procedury żołnierz musiał rozerwać opakowanie zębami. Rozniosła się pogłoska, że ładunki są natłuszczane łojem wołowym i wieprzowym. Sipajowie uznali to za atak na swe wierzenia i tradycje. Wybuchło powstanie, które objęło niemal całe północne i centralne Indie — Brytyjczycy nie doceniali organizacji i determinacji żołnierzy i wspierającej ich ludności. Zanim krwawo stłumili niepodległościowy zryw, minął rok. Hindusi na wyzwolenie musieli poczekać jeszcze dziewięćdziesiąt lat, ale zyskali swój pierwszy wolnościowy mity, a rozstrzelany przez Brytyjczyków buntownik Mangal Pandey otworzył panteon bojowników o niezależność kraju.

W książce *Tamas Bhishama Sahniego*, jednej z najważniejszych współczesnych indyjskich powieści, zarżnięte prosię, rzucone na schody meczetu, rozpętało hindusko-muzułmańskie zamieszki. To literacka fikcja, ale doskonale oddaje logikę etniczno-religijnej nienawiści, która zawładnęła Indiami, gdy opuścili je Brytyjczycy. Wówczas granice nowego państwa dosłownie tonęły we krwi, ale i dziś scenariusz z powieści byłby możliwy[25].

Indyjska demokracja zawdzięcza pokojowe trwanie właśnie temu, że jej mieszkańcy na co dzień szanują skomplikowane podziały i umowne linie przebiegające przez ich talerze. Dlatego gdy się idzie w mieszanej grupie na kolację, bezpieczniej umówić się w mieście, bo restauracyjna mapa jest czytelna dla wszystkich. Hinduskie i muzułmańskie lokale różnią się ofertą, a zwykle także klientelą, więc i bez zaglądania w kartę wiadomo, czego w

niej nie ma. Nie znaczy to, że hindusi i muzułmanie nie bywają wzajemnie w swych restauracjach, ale większość trzyma się własnych kulinarnych rewirów. Jeśli mają ochotę odwiedzić obce rejony, korzystają na tym głównie restauratorzy chińscy i tybetańscy.

W hinduskiej karcie zawsze znajdzie się długi spis dań wegetariańskich: duszonych warzyw w intensywnych sosach, jadanych z ryżem lub plackami. Można liczyć na kalafior z groszkiem, ziemniaki w pomidorach lub smażone z kminkiem, pokrojony w kostkę ser *panir* zanurzony w kremie ze szpinaku albo tłustym, maślano-pomidorowym sosie. Popularnością cieszą się zapiekany bakłażan i podłużne gorzkawe *bhindi*, którym Anglicy nadali nazwę „damskie paluszki”. Jest też zawsze w jadłospisie obecny, ale mało atrakcyjny ryż podsmażany z warzywami, mięsem albo krewetkami. Dalej potrawy mięsne, podzielone na gatunki: osobno ryby, kurczak, koźlina, owoce morza.

Największymi purystami są hindusi z południa. Tamtejsi bramini słyną z rygorystycznego wegetarianizmu, ale kuchnia tamilska i keralska niesłusznie uchodzi za mdłą i mniej bogatą niż północny jadłospis. Południowcy jadają ciekawie, a ze względu na gorący klimat — także dużo ostrzej. Gotowane na parze ryżowe racuchy *idli*, podawane z ostrym sosem i łagodnym kokosowym przecierem, to firmowe śniadanie południa. Dwie flagowe potrawy to *masala dosa* — wielki chrupiący placek nadziewany mieszanką gotowanych warzyw — oraz *thali* — okrągła taca, na której brzegu w miseczkach stoją gotowane lub smażone warzywa, pikle, sosy i maślanka. Przechodzący między stolikami kelnerzy nakładają ryż i dodatki wielką

chochłą. Można jeść bez ograniczeń.

Nigdzie w Indiach nie ma równie aromatycznej kawy: zaparzona z mlekiem i cukrem jest wlewana do aluminiowego kubeczka, stawianego w małej misce. Przelewa się ją z jednego naczynia w drugie, studząc i spieniając napój.

W muzułmańskim menu mięso jest najważniejsze. Z kilkusetletniego panowania Mogołów pozostały przede wszystkim potężne forty z czerwonego kamienia i wykwintne potrawy: tonące w gęstych marynatach i sosach kawałki mięsa, delikatnie opiekane szaszłyki, zdejmowane z ognia, zanim mięso straci soczystość.

Na co dzień jednak muzułmanie jadają mniej różnorodnie niż hindusi. Najpowszechniejszą potrawą, podawaną w czasie lunchu niemal automatycznie, jest *birjani* z kurczakiem lub koźliną. To przesycony aromatem goździków, szafranu i wody różanej ryż, podgrzewany z ugotowanymi ziemniakami, jajkami i ze smażonym mięsem, trzymany pod przykryciem i przez wiele godzin nasiąkający tłuszczem. W warunkach domowych jego przygotowanie zajmuje pół dnia.

W porze obiadu muzułmańskie bary pękają w szwach — ubrani w jasne kurty mężczyźni w pośpiechu pochłaniają prosty i pożywny posiłek, zalewając go haustami schłodzonej wody z oszronionych dzbanków. Myją w zlewach dłonie, płuczą usta i głośno odchrząkują. Kelnerzy przecierają stół szmatą, a kolejnym klientom zwykle nie podają nawet menu, bo mało kto zamawia o tej porze coś innego niż *birjani*.

Jedyna regionalna kuchnia, która zbliżyła się do statusu ogólnopolskiej, a na świecie została uznana za typowo indyjską, pochodzi z Pendżabu, co zresztą jest symboliczne — to region na granicy Indii i Pakistanu, zdominowany przez sikhów, wyznawców religii łączącej elementy islamu i hinduizmu. Tam narodził się słynny kurczak *tandoori*, nacierany przyprawami do czerwoności, pieczony w specjalnym piecu razem z chrupiącym, słodkawym *nanem* — większym i szlachetniejszym bratem *ćapati*. Z Pendżabu pochodzą różne potrawy mięsne serwowane w ciężkich sosach. Rozjechały się po kraju wraz z kierowcami ciężarówek, kursujących z północy na południe subkontynentu. Wyglądiali mężczyźni, spędzający długie godziny w trasie, dali początek przydrożnym *dhabom* — tanim jadłodajniom, których legenda zawędrowała także do miast. *Punjabi dhaba* to silna kulinarna marka — gwarancja bogatej i różnorodnej kuchni, powszechnie lubianej i wolnej od kontrowersji.

Lokal przydrożny łatwo przeoczyć, bo to zaledwie kilka niepozornych pali, dach z blachy falistej, lada i plastikowe krzesła z wyginającymi się od upału nogami. W prowizorycznej kuchni rządzą mężczyźni — przy kasie także. Kobiety gotują i karmią w domach; indyjski biznes restauracyjny należy do mężczyzn.

Mimo rozbieżności w jadłospisach portret pamięciowy przeciętnego kucharza łatwo naszkicować: zlany potem mężczyzna w podkoszulku na ramiączkach, z burą szmatą przerzuconą przez ramię lub zawieszoną na karku. Częściej wyciera w nią ręce, niż je myje. Spędza całe dni na stojąco, w ukropie, z twarzą tuż nad buchającym ogniem, wdychając palony tłuszcz. Na nogach ma gumowe klapki,

które ślizgają się na brudnej podłodze, pełnej walających się resztek. Czystość potraw, tak ważna w sferze symbolicznej, ma niewiele wspólnego z higieną. Kucharz miesza chochlą w żeliwnych misach bez czułości, ale jego żylaste, opuchnięte dłonie precyzyjnie odmierzają przyprawy. Choć nic na to nie wskazuje, szykuje dania, od których zakręci się w głowie.

Rodzinna partia szachów

Wymiotła wszystko do czysta. Na klepisku pozostały jeszcze ślady kokosowych witek. W dwuizbowej chacie czuć troskliwą rękę gospodyni, choć powodów do troski niewiele: kilka aluminiowych garnków i talerzy, żadnych mebli. Na zawieszonej pod sufitem desce stoją drobiazgi, prozaiczne, ale bezcenne: stopiona do połowy świeczka, pudełko zapalek ze zgniecionym wieczkiem, mała lampka naftowa przypominająca rowerowe dynamo. Ściana naprzeciwko wejścia, za dnia zalana słonecznym światłem, jest upstrzona mozaiką gazetowych wycinanek. Wizerunki bogów sąsiadują z portretami indyjskich modelek z tanich magazynów. Skurczone od wilgoci i zakurzone obrazki zawisły w wiejskiej chacie, gdzie śpi się i je na gołej ziemi.

Po wodę nie trzeba chodzić daleko, bo tylko na skraj wioski. Prądu nie ma. Mała lampka wydłuża dzień o kilka godzin, ale nie zmienia istoty rzeczy: o zmroku ludzie wracają z pól, kozy posłusznie wchodzą do zagród, psy opierają pyski na łapach i przymykają oczy. Wieś cichnie i gaśnie, ściśnięta przez napierającą od strony rzeki ciemność. Księżyc tylko podkreśla to znieruchomienie — obrzuca zamaryły pejzaż chłodnym światłem. Życie powraca przed świtem wraz z kobiecą krzątaniną i miarowym szuraniem twardych mioteł.

Pod półką, przybite do nierównej ściany, wiszą dwie ramki ze zdjęciami. Na pierwszym matka i ojciec, sfotografowani niedługo po ślubie — lata temu, raz i nigdy więcej. Lekkim ruchem dłoni kobieta daje znać, że oboje nie żyją. Na drugiej fotografii mąż, zabity przez tygrysa. Nie mieli dzieci. Została z teściową i teraz w dwuizbowej chacie zrobiło się za dużo miejsca. Za dużo pustki do zamiatania.

W ubogich indyjskich domach jest niewiele przedmiotów, natomiast życia — dużo. Im mniej rzeczy, tym więcej spraw. Ludzie biedni są zapracowani, zajęci przetrwaniem, stłoczeni w ciasnych pomieszczeniach. Ponad jedna trzecia rodzin żyje, je i śpi w jednym pokoju.

Skrajna nędza znaczy dosłownie nie mieć nic. Siedzieć na chodniku w otępieniu, w łachmanach, patrzeć obojętnie na szloch nagiego dziecka. Nie mieć pieniędzy ani nawet kieszeni, w którą można by je schować. Nie mieć dokąd pójść. Być tu i tylko tu. Zostać na noc, na kilka godzin i znów ruszyć donikąd. Bo gdy się ma jakieś miejsce albo rzecz, to już co innego. Wtedy jest się częścią lepszego świata, tego z adresem, punktem odniesienia.

Parę cegieł ułożonych w palenisko, sznurek na bieliznę rozwieszony między drzewami i zwinięty pled — jest dom. Dom, do którego wracają, żeby jeść i odpocząć, odczuć ulgę albo niepokój — konkretny, własny. Rozpięta przy murze folia, przyciśnięta do ziemi kamieniami i deskami na kształt trójkątnego namiotu, świadczy o trwałości. Jest sygnałem poważnych zamiarów i stabilizacji — rodzina się zadamawia. Za foliową barierą zaczyna gromadzić dobytek: garnki, maty, ubrania na zmianę, plastikowe butelki na

wodę, lampy.

Obok takich miejsc przechodzi się inaczej — subtelniej i w skrępowaniu, jak przez czyjeś podwórko. Czuć wyraźnie, że ten fragment ulicy ma gospodarza. Latarnia świeci dla kogoś, komuś służy obwieszona świętymi obrazkami i girlandami drzewo, skłębione w rynsztoku śmieci są czyjeś. Prywatność rozlewa się i zabiera przestrzeń publiczną. Nie tylko wzdłuż ulic — wiele indyjskich parków nie jest już miejscem relaksu; ławki zajmują bezdomni, pokładają się w najlepszych, ocienionych miejscach, spędzają tam czas. Ławka staje się łóżkiem, a fontanna — łaźnią.

Nowe wiadukty mają służyć posiadaczom samochodów — bogatym, którzy się spieszą. Zawieszane wysoko w powietrzu jezdnie niosą ich w stronę sukcesu, ale dla innych są nawet większym awansem. Żeby zbudować taki wiadukt, trzeba najpierw przepędzić bezdomnych z terenu budowy. Ale kiedy prace dobiegną końca, ludzie wracają, by odzyskać swój kawałek Indii. Teraz już ulepszony, bo osłonięty gigantycznym dachem. W monsunie żadna płachta nie da tego, co kawał betonu — niewzruszonego poczucia bezpieczeństwa. Nowe miejskie konstrukcje budzą ambicje ubogich i mobilizują do rywalizacji. Mieszkańcy ulic wspólnym wysiłkiem budują murowane wychodki. Chcą czegoś trwałego, komfortu, rozwoju. Zaczynają od porządnej toalety.

Murowanie na państwowej ziemi to akt determinacji i być może znak rosnącej siły najbiedniejszych. Foliowe namioty i wyplatane z bambusa ściany są zgodą na tymczasowość — często niekończącą się, bezterminową — i łatwym kąskiem dla buldożerów, które zjawiają się czasem,

by zademonstrować siłę rządzących. Natomiast kamienny wychodek to już niemal obronna twierdza — rzucone wyzwanie, głośno wypowiedziane: „Zostajemy”.

Prawdziwa trwałość tkwi nie w budulcu, ale w uporze. Prowizoryczne konstrukcje z kawałków blachy i drewna równie łatwo zniszczyć jak odbudować. Dzień po wizycie buldożerów albo niszczącej ulewie koczownicy składają swój świat na nowo. Indyjskie władze nie mają lekarstwa na przeludnienie, a likwidacja slumsów jest niemożliwa. Można tylko ludzi przepędzić na chwilę, zmusić, by przesunęli się o kilkadziesiąt metrów, przenieśli na drugi koniec miasta.

W przeciwieństwie do wielu światowych metropolii indyjskie obszary biedy nie mają granic. Poza zorganizowanymi dzielnicami, jak Dharavi w Bombaju, slumsy powstają wszędzie. Nie jest niczym niezwykłym widok pędzonego środkiem ulicy stada kóz, które po dniu spędzonym w parku wracają do zagrody na chodniku. Ich właściciele mieszkają w zbitej z drewna chałupce, wytapetowanej wewnątrz kolorowymi gazetami. Na kilku metrach kwadratowych zbudowali swój świat, mają dużo więcej, niż potrzeba do przetrwania — nielegalnie podłączyli prąd, na półce pod sufitem ustawili kolorowy telewizor. Sąsiedzi żyją podobnie, współtworzą dziką dzielnicę. Od powstania pierwszej chatki minęły lata, a czas stłumił lęk przed wypędzeniem i wiarę w szybką zmianę — ludzie obrośli życiem, rozsiedli się na dobre, zainwestowali. Mają wystarczające warunki, by podjąć pracę i posłać dzieci do szkoły, ale nie stać ich na przeprowadzkę do mieszkania z łazienką, w którym za

wodę i prąd musieliby zapłacić. Przynależność do legalnego świata jest wciąż zbyt droga. Dlatego rewiry biedy wytworzyły własną organizację. Władzę w slumsach sprawują gangi, które szczególnie w Bombaju są silnie związane z lokalnymi strukturami politycznymi. Ze slumsów rekrutują się na przykład hinduistyczni ekstremiści i bojówkarze, którzy z rasistowskimi hasłami atakują kina, sklepy i biura. Organizacje przestępcze współtworzą życie polityczne kraju, dokonują zabójstw na zlecenie, zastraszeń. Najważniejszy ośrodek produkcji filmowej — leżące na północy miasta Bollywood — działa na styku biznesu, polityki i przestępczości. Mafia kontroluje część zysków, zarządza kalendarzem planów zdjęciowych, szantażuje nawet największe gwiazdy.

Bossowie ze slumsów decydują także o warunkach mieszkaniowych, bo ziemia jest najcenniejsza w stłoczonym do granic możliwości Bombaju. Budować można już niemal wyłącznie na terenach zajętych przez slumsy, jeśli gangi wesprą inwestycje.

Zresztą zawsze było tu za ciasno, a biedota walczyła o miejsce na chodniku. W powieści *Kulis* Mulka Raja Ananda, opowiadającej o Indiach lat trzydziestych XX wieku, szukający pracy chłopiec godzinami wędruje przez miasto, gdzie pełno takich jak on bosych włóczęgów. W nakręconym w 1955 roku czarno-białym klasyku indyjskiego kina *Miłość i paragraf* młody biedak Raj (gra go Raj Kapoor, jeden z najwspanialszych dwudziestowiecznych bollywoodzkich aktorów i reżyserów) dociera do miasta piechotą z Allahabadu i szuka skrawka ziemi, na którym mógłby się przespąć, przepędzają go jednak inni bezdomni. Bohater wzorowany na

chaplinowskim trampie przydreptał do miasta już podbitego przez armię marzących o lepszym losie. Skuszony obietnicą zarobienia pieniędzy bierze udział w przekręcie. Razem z cynicznym biznesmenem wyłudza od ludzi zaliczki na tanie mieszkania, których oczywiście nikt nie zamierza budować. Film był wielkim sukcesem, rekordem kasowym pobitym dopiero przez *Mother India* z 1957 roku — najważniejszy kinowy epos socjalistycznych Indii. On także opowiadał o skradzionych nadziejach biedoty, ale jego akcja toczyła się na wsi.

Pół wieku po sukcesie obu filmów pogrążeni w beznadziei mieszkańcy wsi wciąż zjawiają się w potężnym mieście i tułają po dawno zajętych chodnikach. Na początku XXI wieku i w nowych okolicznościach gospodarczego boomu Hindusi mają stare problemy: nie mogą się pomieścić.

Dzisiejsi biznesmeni stosują wczorajsze sztuczki — obiecują ludziom dach nad głową. Potentaci, którzy dotąd skupiali się na budowaniu rezydencji dla bogatych klientów, teraz docenili siłę nabywczą ludzi tkwiących na najniższym szczeblu drabiny społecznej — sprzedają mieszkania niewielkie, bez wygód, ale solidne. O tym, w jaki sposób pozyskują ziemię pod zabudowę, piszą tylko dziennikarze śledczy, używając w publikacjach pseudonimów.

— Budujemy wszędzie, wszędzie! — Sunil wymachuje ręką, nonszalancko, jakby chciał objąć cały kraj. Siedzi na dachu starej kamienicy, ale widok wielomilionowej metropolii nie robi na nim wrażenia. Nie odrywa wzroku od telefonu, musi przekazać pracownikom, co mają robić.

Kalkuta po zmroku zaczyna się spieszyć — wszyscy chcą dotrzeć do domu. Sunil właśnie tym handluje: marzeniem o czterech ścianach. Sprzedaje szybko, dużo i drogo — Hindusi chcą żyć wygodnie od zaraz. Na horyzoncie, gdzie jeszcze kilka lat temu kończyła się linia świateł, teraz mającą wysokie na dwadzieścia pięć pięter budynki. Ceny za metr rosną proporcjonalnie do wysokości, a najdroższe mieszkania są na szczycie. Płaci się za widok, ciszę, czystsze powietrze i uczucie odseparowania. Trudno uciekać w poziomie — kupić rezydencję pod miastem to skazać się na niewyobrażalne korki.

— Ceny szybują, a mimo to ludzie chcą płacić. — Sunil uśmiecha się i tupie nogą. Jest pewny siebie, podniecony przyszłością. Patrzy na rozświetlone nocą miasto, ale widzi obrazki z folderów, komputerowe wizualizacje osiedli, których nazwy zawierają hipnotyzujące słowa: „plaza”, „residency”, „court” i „heaven”. Co tydzień ukazuje się gruby magazyn pełen reklam i grafik. Nie zdjęć, bo osiedla są najpierw wyprzedawane, a dopiero potem rusza budowa. W każdym z kompleksów powstają przedszkola, siłownie, świetlice, sklepy i restauracje — zamknięte obiegi, nowe modele życia.

Ale serce Kalkuty wciąż bije w centrum. W kolonialnych kamienicach i domach zalewanych przez deszcze, zatechłych i pachnących starością. W pobrytyjskich wnętrzach — ogromnych pokojach z sufitami, z których swobodnie mogłyby zwisać kryształowe żyrandole — stoją nieliczne, ale potężne meble. W salonach na sofach i fotelach z namaszczeniem sadowią się ociężałe matrony, a mężczyźni moszczą się na długie godziny, z gazetą i

pilotem od telewizora w dłoni. Bywa, że kanapy, podobnie jak siedzenia w samochodach, są przez lata przykryte foliowymi pokrowcami. Wyglądają jak relikwie. Obleczone mebel stoi w swej foliowej gablocie, zaświadczać o zamożności i ucywilizowaniu rodziny, która zaabsorbowała europejskie wpływy. Azjatycka tradycja nakazywałaby raczej rozsiąść się wprost na podłodze, zdobionym dywanem, haftowanej poduszce lub niskim drewnianym stołeczku. Miękkie sofy, wysokie stoły i rzeźbione krzesła to importowany komfort. Folia zdradza, jak bardzo nieoswojony.

Ogromne ściany i wysokie sufity trzeba często malować, bo monsunowy deszcz wsiąka i pojawia się grzyb. Mimo świeżej farby zawsze wyglądają trochę ponuro. Zamiast ozdób — świętość i przeszłość. Fotografie przodków w prostych ramach. Na zdjęciach surowe, poważne, pomarszczone twarze, skierowane wprost w obiektyw. Spojrzenia świadome doniosłości chwili, przechodzenia do wieczności. To portrety oficjalne, pozbawione ciepła, powszedniości — nie zapisały się na nich znajome i bliskie rysy, żaden charakterystyczny wyraz ani tik. Robiono je, wiedząc, że będą przystrajane girlandami aksamitek, okadzone podczas porannej i wieczornej modlitwy, delikatnie muskane opuszkami palców, które — przytknięte do czoła — przeniosą niewidzialny pył błogosławieństwa na domowników.

Przedmiotów jest w domach niedużo: tylko książki, rzeźbione przyciski do papieru i figurynki bogów. Znajdą się może jeszcze: wazon, świecznik, popielniczka, ozdobny zegarek. Żadnych zbytków, drobiazgów mających te gigantyczne przestrzenie zapełnić — panuje klarowność i

ład.

Podłogi są kamienne i gładkie, co rano oczyszczane z kurzu miękką miotełką, idealne do chodzenia bosu w upale. Za szybami lub zamiast nich — drewniane okiennice z żaluzjami, które pozwalają ustrzec się przed gorącem. Zatrzaśnięte w ogóle nie przepuszczają słońca i bronią przed deszczem. Pod sufitem obracają się wiatraki mieszające ciężkie i mokre powietrze.

Kuchnie mają dwa poziomy. Na podłodze kobiety — często służące — obierają warzywa, oprawiają mięso i ryby, płuczą naczynia. Piętro wyżej, czyli na długim blacie z ciemnego kamienia, zaczyna się gotowanie. Skomplikowane posiłki powstają na raty, na dwóch palnikach — lokalni dystrybutorzy zaopatrują mieszkania w gaz i naftę. Paliwa używa się oszczędnie: w Indiach jest więcej ludzi niż zasobów naturalnych, dostawy się spóźniają, a dla Hinduski utrzymanie płomienia w domowym ognisku to sprawa honoru.

Cynowe i blaszane garnki czekają na swoją kolej, ułożone na kamiennych półkach pod blatem. Woda do picia stoi w rogu, w glinianym dzbanku przykrytym aluminiowym talerzykiem. To stare przyzwyczajenie, które przetrwało w wielu domach mimo pojawienia się lodówek. Kuchenne pomieszczenia są niewielkie, z tego powodu lodówki i kuchenki mikrofalowe lądują zwykle w oddalonej części mieszkania. Kuchnia jest najbardziej żywotną i nieprzewidywalną sferą domu: niemal bez przerwy coś się tu zmienia, a produkcja świeżych posiłków wymaga całodniowej pracy. To kobiecy rewir, urządzone prosto, nawet surowo, ale co dzień rozjaśniany paplaniną,

sprzeczkami, śmiechem. Usypia późną nocą, po ostatnim posiłku i dokładnych porządkach — nawet kilka okruchów może przyciągnąć armię mrówek.

Z łazienek dochodzi chlupot — wylewana z poręcznego kubelka woda rozpryskuje się na kamiennej posadzce. Nie ma wanien ani brodzików — podłoga lekko opada w stronę odpływu, a cokolwiek się na nią wylewa, samo wędruje w dół. Woda leci z przytwierdzonego do ściany prysznicza albo z kranu wprost do wiadra. W dzielnicach, w których jej dostawy są nieregularne, wypełnione po brzegi baniaki stoją w rogu łazienek i czekają na czarną godzinę. Są zbawienne w upalne dni, gdy ciecz spływająca ze zbiorników na dachach pali, zamiast przynosić ulgę. Zimą ciepła woda to luksus, trzeba ją zagotować albo przyzwyczać się do lodowatych kąpiel. Indyjskie domy nie mają ogrzewania — są tak zbudowane, by naturalne ciągi powietrza schładzały pomieszczenia w upale. Gdy temperatura spada, pozostaje narzucić na ramiona gruby szal.

W indyjskim domu każdy wie, co mu wolno, a czego nie. Hindusi przyjmują funkcje rodzinne niezauważalnie, bezszelestnie łączą się ze swym przeznaczeniem. Dziecko długo jest wspólne — w wielopokoleniowych rodzinach u wszystkich może liczyć na względy i pieszczoty. Tahirah ma dziesięć miesięcy, a przed sobą osiemnaście lat względnie beztroskiego życia. Tańczy na stole w restauracji. Wpycha paluszki do zielonego ostrego sosu i zlizuje go łapczywie. Nagle krzywi się, a jej odkryciu sekunduje osiem serdecznych śmiechów. Trzęsą się rozbawiona babcia, tata z mamą, dwie ciocie i trzech wujków. Usadzeni w kole

otaczają dziewczynkę opieką. A ona nikogo nie faworyzuje, wszystkim ufa. Najstarszy wuj, Ghalib, od śmierci swego ojca głowa rodziny, robi eksperyment. Bierze małą na kolana i pyta:

— Kto jest twoim tatą?

— Ty! — krzyczy mała i wciska buzię w jego brzuch.

Ciotka Abia, żona Ghaliba, unosi dziewczynkę wysoko i znów zadaje zagadkę:

— A kto jest twoją mamą?

— Ty! — Dziewczynka piszczy ze śmiechu.

Wędruje z kolan na kolana, każdemu udzielając tej samej odpowiedzi. Podoba jej się ta zabawa, unoszenie na falach silnych ramion. Gdy zawoła „siusiu”, do łazienki zabierze ją ciotka. W tym czasie jej mama będzie się zajmować nieco starszą córką swej szwagierki.

Przed wyborem dania w rodzinnym kotle wrze — każdy ma coś do powiedzenia. Z boku wygląda to jak kłótnia w sprawie placków okraszonych masłem i ostrych szaszłyków z kurczaka. Ale nie wszystkie głosy ważą tyle samo — zamówienie złożą Ghalib i Faiza, jego najstarsza siostra. Ma w swym rodzinnym domu wyjątkową pozycję, zważywszy na to, że jest zamężna i formalnie silniej związana z rodziną męża. Udała jej się niełatwa sztuka — pozostała blisko swej owdowiałej matki. Często okazują sobie uczucia: obejmują się, klepią po plecach, przytulają policzkami. Taka czułość dla większości mężatek, nieważne jak młodych, bywa już tylko wspomnieniem. Zamążpójście to natychmiastowa eksmisja do obcego domu, którego trybom należy się poddać. Młoda synowa wie, co ją czeka: dużo obowiązków, niewiele życzliwości, surowość nowych

domowników. Często strach. Ale Faiza, gdy pięć lat temu wydawano ją za męża, nie miała w sobie niepokoju. Stała na dachu, między suszącymi się prześcieradłami, uśmiechając się wstydliwie. Lada dzień miała poznać przyszłego męża. Wiedziała już, jak ma na imię i że pracuje w Londynie. — Po ślubie zamieszkamy tam razem. Czego mam się bać? Rodzina chce dla mnie jak najlepiej, zawsze dobrze mi doradzali, nie skrzywdziliby mnie.

Mrużyła ogromne, piękne oczy, patrząc na minaret sąsiadującego z domem meczetu. Ostre letnie słońce wpadało w jej źrenice, rozświetlało je od środka, aż żółkły i nabierały tygrysięgo blasku. Teraz tę drapieżność czuć w głosie. Mówi głośno, jakby każde zdanie oznaczało jakąś decyzję. Oczy jej pociemniały, spoważniały. Łagodność i skromność, pasujące niezamężnej nastoletniej muzułmance, ustąpiły miejsca pewności siebie. Tamta dziewczynka stała się wpływową kobietą, żoną i matką. Opanowała specyficzne gesty — gdy mówi, wywraca dłoń, jakby z każdym zdaniem rzucała przed siebie jakąś kartę, już zapisaną, pewną.

Dwóm osobom zawdzięcza swój niezwykły status — matce i dwuletniej córeczce o imieniu Zarin. Matka, Naaz, młodo owdowiała. Obowiązki szybko przejął dorastający Ghalib, ale to ona pozostała najwyższą instancją w domu. Z racji wieku do niej należy ostatnie zdanie. Wciąż ma gładką, młodzieńczą twarz, pogodne oczy i głos, który — gdy okrywa się hidżabem — sprawia, że łatwo pomylić ją z nastolatką. Ale ta krucha powierzchowność jest myląca, Naaz nie potrzebuje eksponować swojej władzy. Sprawuje ją w milczeniu, w czterech ścianach. O układzie sił wśród kobiet decyduje zawsze matka pana domu. Podlegają jej

synowe, a o ich relacjach decyduje wiek mężczyzn, których poślubiły. Zjawiają się w domu kolejno, bo najpierw żeni się najstarszy syn, dopiero po nim młodsi. Ta sama reguła obowiązuje przy wydawaniu za mąż dziewcząt — jeśli najstarsza zostanie starą panną, młodszych nikt nie zechce.

Relacje między kobietami mogą się zmienić, jeśli młodsza synowa wcześniej urodzi syna. Wtedy jej wpływy szybko rosną — jako matka przyszłego spadkobiercy i kontynuatora rodu przechodzi na pozycję władczą. Zdarza się, że od tej chwili dominuje nad wszystkimi kobietami w rodzinie, z teściową włącznie. Z Faizą było nieco inaczej — mimo zamążpójścia utrzymała bliską więź z matką i regularnie bywa w rodzinnym domu. Co więcej, ona pierwsza dała rodzinie potomka. Tym samym prześcignęła Abię — najstarszą synową, która jak dotąd nie urodziła dziecka. Z prestiżowej pozycji spadła w dół i to ona pracuje najciężej: gotuje, nakrywa do stołu, zmywa po posiłkach. Posmutniała, już nie dowcipkuje i nie przebiega przez dom pełna werwy. Jeśli na chwilę się rozbudzi, choćby na wspomnienie kursu projektowania ubrań, który skończyła w renomowanym college'u, iskra szybko gaśnie. Od lat niczego nie uszyła. Kiedyś marzyła, żeby pracować, ale nawet nie spróbowała. — Teściowa nigdy by się nie zgodziła. No i co by powiedział ojciec?

Mieszka na tej samej ulicy, a cała dzielnica ma w nim duchowego opiekuna. Nie pełni żadnej oficjalnej funkcji, ale uchodzi za znawcę islamu. Religia to jego pasja. Przybysza z zagranicy pozdrawia i zaraz zaczyna pytać: — A w jakiego boga wierzycie? Dużo u was meczetów? Czy ludzie u was religijni?

Abia też szuka pociechy w Bogu. Dwa lata temu

uśmiechała się jeszcze i mówiła: — Módl się za mnie. Wiesz o co.

Teraz wspomina tylko o chorobie i milknie. Była nawet w Mekce, krążyła wokół Czarnego Kamienia dniem i nocą, w jednej jedynej intencji. Schudła od tego chodzenia, a dziecka wciąż nie ma. Zapisła się na specjalne kursy, chce się dowiedzieć więcej o Bogu.

Ghalib był dwudziestolatkiem, kiedy wszystko spadło na jego głowę. Wydoroślał szybko, a dziś prowadzi poważne przedsiębiorstwo — wielopokoleniową rodzinę i dwie firmy: sprzedaje agregaty prądotwórcze i organizuje hadżdż — pielgrzymki do Mekki. Trzeci interes — sklep okulistyczny — powierzył młodszemu bratu. Nadir najpierw nauczył się dbać o biznes, a wkrótce potem znalazł żonę. Wybór rodziny padł na daleką krewną — Barkhę. Na podróż do Bihar, gdzie odbył się ślub, wynajęli cały wagon pociągu. Dziś Barkha jest już matką — niecierpliwa Tahirah, miłośniczka ostrych sosów, to ich pierworodna. Najmłodszy z braci, Rishan, dopiero skończył studia i próbuje swoich sił w projektowaniu wnętrz. Ghalib daje mu jeszcze sporo wolności, a złotym sportowym motorem, który nie przypadł chłopakowi do gustu, musi teraz jeździć sam, choć naprawdę dumny jest z minivana mieszczącego całą rodzinę. Mimo natłoku spraw pozostały mu jeszcze dryg do błyskotliwych żartów, młodzieńczy pociąg do wyzwania i marzenia o dalekich podróżach. Nigdy nie mówi o obowiązkach wobec rodziny — wypełnia je, jakby się urodził z talentem do bezkonfliktowego zarządzania tą złożoną wspólnotą. Raz tylko, w niedzielne popołudnie, gdy wszyscy zostali na dole, długo stał na dachu, obserwując

chłopców puszczających latawce. Wspomniał, że ciężko było pokonać finansowe kłopoty. Ale potem mówił już tylko o specjalnych cienkich żyłkach, którymi odcina się latawce przeciwników. I o tym, jak w dzieciństwie wydawały się najcenniejszą rzeczą na świecie.

Interesy od lat idą dobrze, ale na razie zostaną tu — w starej rodzinnej kamienicy. Tego, że chciałby się stąd wynieść, głośno nie mówi. Matka nie zgodzi się na przeprowadzkę z domu swego męża. Na razie Ghalib kupił mieszkanie, na skraju miasta. Tam, gdzie nie ma dachów, na których puszcza się latawce.

Subhash też wcześniej stracił ojca. Ale miał starszego brata i wujów. Oni uradzili, jak doprowadzić do ślubu z Nirmalą, dziewczyną z drugiego końca Indii. Nie takie to proste — ożenić Bengalczyka z panną Marwari, wegetarianką. Negocjacje trwały miesiącami, ale Subhash i Nirmala pokochali się, rodziny musiały wypracować porozumienie.

Zamieszkali w jego rodzinnym domu, zarządzanym przez brata. Tam urodził się ich syn — Rishi. Dostał imię po uczonych hinduskich mędracach. Subhash, który zarabiał na farbowaniu tkanin, już wtedy mawiał: „*I'm dying to live, and living to dye*”[26]. Chciał pójść z rodziną na swoje, oddzielić się. Ale próba odseparowania od indyjskiej rodziny — połączonej, wielopokoleniowej — to gwałt. Może zostać odebrana jak zniewaga, dyshonor dla wszystkich domowników. Trzeba niezwyklej dyplomacji, miniaturowych ruchów, czasem przewrotnej argumentacji, a przede wszystkim — morza czasu. Wszystko, by uniknąć otwartego konfliktu, złości, zderzenia.

— Babka powiedziała: „Nie głaszcz psa pod włos. Kupiłeś ziemię — dobrze. Zaczynaj powoli budować dom. Kiedy budowa będzie zaawansowana, powiesz bratu. Wtedy zrozumie, czego chcesz. Zobaczy, że stoisz na własnych nogach”. Tak też zrobiłem. Minęło sześć lat, nim się wyprowadziłem, ale uważam, że miała rację.

Subhash opowiada o wyprowadzce jak o pracy sapera, który w skupieniu rozłącza kolejne przewody, by uniknąć śmiertelnej detonacji. Brat zaakceptował jego decyzję, choć jako najstarszy syn czuł się w obowiązku sprawować opiekę nad rodzeństwem. Budowany najpierw sekretnie dom stoi na przedmieściach, w cichej willowej dzielnicy. Jest oszczędnie i nowocześnie urządzone. Nie przypomina większości indyjskich mieszkań — od progu czuć powiew swobody. Na ścianach ani jednego bóstwa. Pokoje rozdzielone zapewniają intymność. Nie zbiegają się — jak to zwykle bywa — we wspólnym korytarzu czy salonie, będącym dla rodziny tym, czym dla miasta rynek — przestrzenią publiczną, zabójczą dla prywatności i sekretów. W tym domu każdy cieszy się wolnością, a odmienne przyzwyczajenia nie grożą wybuchem.

Tam, skąd się wyprowadzili, granice i role pozostały bez zmian. Udali się kiedyś w odwiedziny do matki Subhasa. Wieczorem, gdy Rishi był już po kąpieli, nie posłuchał zakazu mamy i zaczął się bawić pyłem z kominka, który hindusi uznają za silnie zanieczyszczający. Rozzłoszczona Nirmala nakrzyczała na syna i wymierzyła mu policzek, a to w Indiach kara dość powszechnie stosowana wobec dzieci. Do salonu weszła wówczas jej teściowa i jednym zdecydowanym zdaniem skarciła młodą mamę: — W swoim domu wolno ci wszystko, ale tu nie masz prawa bić mojego

wnuka.

Podobne upomnienie otrzymał Subhash. Nakrzyczał na Rishiego, gdy chłopiec rzucił w trawę klucz od furtki. Chwilę potem sam został zrugany przez starszego brata, który wziął chłopca w obronę. W wielopokoleniowych rodzinach wychowanie jest wspólnym obowiązkiem domowników i żaden z nich nie ma bezwzględnej władzy nad losem swych dzieci, swego małżeństwa ani nad własnym życiem.

Kult indywidualności to w Indiach rzecz nowa, cios trafiający w serce hinduskiej i muzułmańskiej tradycji. Pragnienie osobistego spełnienia, komfortu i samodzielnego decydowania pojawiły się gwałtownie pod koniec XX wieku, wraz z przemianami wolnorynkowymi i telewizją satelitarną. Przybierają na sile i wydają się już nieodwracalne, ale niewielu saperów decyduje się na detonację. Większość wybiera skomplikowaną grę strategiczną. Tańczą powolny i dostojny kontredans, który wszystkim uczestnikom tej zabawy daje czas, by oswoić się z sytuacją i nie stracić równowagi.

Tam, gdzie bieda nie pozwala nawet wyobrazić sobie zmiany tradycyjnych ról, co rano widać ślady kokosowych witek na klepisku. Podwórka i chaty wymiecione do czysta są gotowe na jeszcze jeden identyczny dzień. Mężczyźni idą w pole, kobiety zostają na progu. Ani kroku dalej. Stoją tak w każdej wolnej chwili, z sari zaciągniętym na włosy, przygryzanym zębami. Stoją — jaskrawe, nieruchome. Pilnują niewidzialnej granicy domu, poza którym stają się niczyje i bezbronne.

Handluję, więc jestem

Można sobie wyobrazić Indie bez pałaców Radżasthanu, pomników Indiry Gandhi, nawet bez krów, słoni i tygrysów, ale nie bez straganów. Jeśli w czymś Hindusi są niezrównani, to właśnie w handlu. On jest ich przeznaczeniem, stał się religią wyznawaną z podobną gorliwością w różnych częściach kraju. Niewiele indyjskich wsi, miast i miasteczek ma centrum z prawdziwego zdarzenia, ale każde ma bazar. Może być maleńki i skromny, w sam raz na potrzeby jednej wioski, działający tylko przez godzinę lub dwie po wschodzie słońca, albo ogromny, zajmujący nie jedną, a wiele ulic — rozrastający się na całą dzielnicę, zamykany późną nocą i budzący się o brzasku.

Targ jest sercem Indii, świadczy o żywotności kraju. Rzędy straganów, biegnące we wszystkich kierunkach, są jego tętnicami. Gdy wokół panuje ruch — pobrzękują odważniki na aluminiowych szalach i monety w rękach sprzedawców, słychać nawoływania i gwizdy — wszystko jest w porządku. Stragany zamierają tylko wówczas, gdy dzieje się coś złego. Trzeba zamachów terrorystycznych, zarazy, strajku albo zamieszek, by powstrzymać Hindusów od handlowania. Nawet święta religijne i państwowe rzadko oznaczają opuszczone rolety i zamknięte kłódki.

Czujni sklepikarze krążą w pobliżu, na wypadek gdyby pojawił się klient w potrzebie. Raz-dwa roleta rusza w górę, rozwiera się paszcza i kusi bogactwem upchniętym na kilku metrach kwadratowych.

Stragany, pieczołowicie zdobione i przygotowywane, są nie tylko miejscem handlu. Ich zadaniem jest odwracać uwagę od potworności życia, zakrywać zło — sprawić, że feeria barw, świateł i zapachów odurzy. Spełniają funkcje teatralnych dekoracji — przeistaczają rzeczywistość w miejsce niezwykłych zdarzeń. Pozwalają biednym skąpać się w iluzji bogactwa, rozpraszają mrok, przeganiają zwątpienie. W otoczeniu kolorowych, zawsze odświeżonych stoisk, połyskujących w świetle rozkołysanych żarówek i naftowych płomyków, znika nieszczęście i smutek. Nie ma tu miejsca ani czasu na zmartwienia. Można tylko oglądać, zachwycać się i kupować, kupować.

Każdy ze straganów to osobne uniwersum, odrębna wypowiedź sprzedawcy, który robi, co może, by się wyróżnić. Angażując fantazję i zmysł estetyczny, tworzy swój sklepik jak unikatową kompozycję. To ręczna robota, wręcz rzeźbiarska — witryny są dziełami sztuki ulicznej, zarazem ulotnej i trwałej. Ożywiane nad ranem i znikające po zmroku, co dzień te same, lecz odrobinę zmienione. W zależności od miasta, dzielnicy i uliczki można natrafić na różne nurty handlowej twórczości, ale ogólna zasada mówi, że wprost na ulicy handluje się artykułami pierwszej potrzeby. Im towar bardziej wyszukany i kosztowny, tym głębiej się kryje.

W Indiach nie ma kiosków, są natomiast chodniki pokryte gazetowym dywanem, utkanym z magazynów

ułożonych symetrycznie, tak by wszystkie były widoczne. Jeden opiera się o drugi, sobie podobny, bo zostały posegregowane zgodnie z tematyką i ceną. Panuje wśród nich taka dyscyplina i taka zgodność, że żal po którykolwiek sięgnąć. Od tego jest sprzedawca — on potrafi jednym gestem wyjąć pismo i wysunąć spod niego kolejne: tym sposobem wszystko pozostaje bez zmian. Przypomina to stoły w restauracjach, gdzie kelnerzy umieją w jednej chwili zdjąć stary obrus i rozłożyć nowy, nie odsłaniając blatu.

Obok kioskarza, także na chodniku, rozkłada się z majdanem sprzedawca zegarków i okularów przeciwsłonecznych. Przyszedł nieco później i stara się dorównać perfekcją sąsiadowi. Każdą parę okularów dokładnie poleruje, nim zawiesi je na jednym z pałków zmajstrowanego własnoręcznie stojaka. Przyniósł go w kawałkach i skręcał dobre pół godziny, a teraz ozdabia jak bożonarodzeniową choinkę. Czarne i brązowe szkła — tak się o nich mówi, ale są z plastiku — przeglądają się w słońcu, jakby porównywały swe wdzięki. Jedne chwala się różowymi oprawkami, inne — błyszczącymi kwiatuśkami udającymi diamenty. Razem stanowią honorową reprezentację indyjskiej tandety.

O względy przechodniów konkurują z nimi pozłacane zegarki przeróżnych kształtów, zanurzone w nadmuchanym i wypełnionym wodą baseniku. Ich publiczne zatopienie handlarz uznał za najskuteczniejszą metodę udowodnienia klientom, że nabywają produkt wodoodporny. Ciekawe, że podobnie postąpił właściciel stoiska z gumowymi klapkami. Basen ma większy i różowy, na dodatek w kształcie słonia — pływa w nim kilka par butów, nie wiadomo tylko, jakich

szczególnych zalet to dowodzi.

Dalej ustawił się sprzedawca wody kokosowej, który ciężkie zielone orzechy ułożył w pokaźną piramidę, a na jej czubku zatknął wiązkę plastikowych rurek. Gdy zatrzymuje się przy nim spragniony klient, chwyta kokosowy orzech i kilkoma równymi cięciami zagiętego noża rozłupuje jego nasadę. Odkłada ostrze, wciska do środka rurkę i podaje chętnemu. Opróżnione, wysiorbane do dna łupiny usypują się w drugą piramidę. W szybkości i prostocie tej transakcji jest coś, co sprawia, że cały proces produkcji soków owocowych, ich rozlewania i pakowania, składowania i utylizowania butelek wydaje się niepotrzebny, wymyślony na siłę.

Za kokosami w równych rzędkach leżą kłódki i łańcuchy, raz po raz głaskane miękką szczotką do kurzu w przekonaniu, że to, co lśni, lepiej się sprzedaje. Nawet parasole starają się wyglądać nadzwyczajnie — rozłożone i ustawione w tęczy wachlarz przypominają pawie. Rozpościerają kolorowe pióra na drucianych stelażach i nagle nie są już tylko przedmiotami codziennego użytku, ale jakimiś kuszącymi stworzeniami, zasługującymi na to, by ich pragnąć i za nie płacić.

Metalowe bransoletki i wytopione z niklu pierścionki z plastikowym oczkiem, pogrupowane według rozmiarów, wyglądają na niebieskiej folii jak prawdziwe klejnoty. Staranność, z jaką je wyeksponowano, wywołuje złudzenie: to, co zostało otoczone troską, jest bardziej wartościowe. Ktoś o nie zadbał, nie mogą więc być zupełnie zwyczajne. Cóż z tego, że są ozdobami najuboższych, że na stoiskach z radżasthańskim srebrem, ze złotem Kerali, z soczystymi

turkusami i hipnotyzującymi rubinami pobladyby ze wstydu, załkały nad swym pospolitym pochodzeniem. Tu, przy ulicy, wyglądają ładnie. Migoczą śmiało, mrugając do przechodniów.

Uczucie, jakim sprzedawcy darzą swoje towary, może tchnąć życie w każdy z przedmiotów, mimo że na jednym straganie są ich dziesiątki, jeśli nie setki. Uwaga podzielona równo między sprzedawane rzeczy sprawia, że wielokilometrowy ciąg stoisk nie przypomina hipermarketu. Nawet jeśli produkcja stała się masowa, to sprzedaż pozostała detaliczna, osobista. To, ile kłódek i pływających zegarków się dziś sprzeda, jest decydujące dla pojedynczego człowieka. Niewielu handlarzy ma oszczędności, ale wszyscy mają rodziny, które przeżywają lepsze i gorsze dni w zależności od tego, ilu klientów zwabi wypolerowany asortyment.

Dlatego determinacja sprzedawców nigdy nie maleje, nawoływania nie cichną, a cena może się gwałtownie obniżyć — kto handluje, ten żyje. Żaden szanujący się sprzedawca nie pozwoli kupującemu odejść od stoiska z jednym przedmiotem. Zaraz zapyta, czego jeszcze potrzeba, zaproponuje kilka innych rzeczy, wykona zamaszysty gest, którym da do zrozumienia, że jego oferta jest szeroka. Jeśli to nic nie da, podsunie inny pomysł — dwie albo trzy sztuki tego samego po obniżonej cenie. Dopiero gdy wykorzysta wszystkie możliwości, rysy jego twarzy ułożą się w pożegnalną kombinację żalu i satysfakcji — mogło być lepiej, ale dobre i to. Jeszcze raz przeliczy pieniądze, schowa je do obtłuczonej drewnianej skrzynki, ukrytego w jednym z koszy woreczka albo do kieszeni.

Strzeli kilka razy ścierką w swoją witrynkę, po raz kolejny odganiając kurz, i zacznie wypatrywać następnej szansy.

Do najbardziej nieustępliwych należą młodzi chłopcy — na oko nastoletni. Podlegają najsilniejszej presji, bo oprócz zobowiązań mają też ambicje. Są pełni energii i chęci rywalizacji, a to zmienia ulice w wielkie licytacje. Sposobów jest wiele, cel ten sam — sprzedać jak najwięcej i jak najszybciej. Puścić towar w ruch, bo liczy się obrót. Przychodzą o świcie i rozpakowują stalowe skrzynie, mieszczące więcej, niż się można spodziewać. W jednej jest spory sklep odzieżowy, w którym zdołają się ubrać i mąż, i żona. Chłopcy rozwieszają i rozkładają — część towaru na przykrytym folią chodniku, część na metalowej barierce odgradzającej pieszych od jezdni, resztę na sznurkach przytroczonych do latarni, drzew czy kolumn.

Granice straganów nie są zaznaczone, ale każdy zna swoje miejsce. Spodnie, *salwary*, krawaty, koszulki, chusty, majtki i skarpety — garderoba nieromantycznej codzienności, upozowana na wieszakach niczym królewskie szaty, uwodzi kolorami, wplecioną tu i tam posrebrzaną nicią, jaskrawą naszywką. A jakby same z siebie nie były dość krzykliwe, sprzedawcy urządzają maklerskie popisy, wyrzucając serie słów wysoko ponad głowami przepływających w ścisku ludzi. Nazwy gonią ceny, wyskakują z ust tak szybko, że wpadają jedne na drugie i wreszcie zlewają się w przeciągły dźwięk, z którego tylko wprawne ucho może wyłuskać jakąś informację. Krzyczą głośno, tubalnie, trochę w cały świat, a trochę do siebie nawzajem, bo są tu, żeby handlować i żeby pożyć. Póki starczy sił — z uśmiechem.

Mimo że nie odchodzą od stoisk ani na krok, zawsze trzymają przy sobie naręcze produktów, aby szybko wepchnąć je niezdecydowanym, a może po prostu dlatego, że żywa reklama jest najskuteczniejsza. Na zmianę patrzą w twarze przechodzących ludzi i ogarniają gospodarskim okiem cały stragan — pilnują, by nic nie zginęło i nie ominęła ich okazja. Nawet jeśli proponują towary tanie i kiepsko wykonane, to tę ich marność przesłaniają wprawą i fantazją. Może umieją tylko jedno — sprzedawać — ale robią to wspaniale.

Indyjski handel to sprawa ducha walki i talentu — trzeba mieć dryg, działać szybko i pewnie, umieć utrzymać się na powierzchni oceanu sprzedających. Nawet gdy się ma do zaoferowania jedną jedyną rzecz, nie przestawać wysoko nosić głowy. Niektórzy przez lata krążą ulicami miast z bambusowym kijem, na którym niby gałęzie zatknęli drewniane flety. Drepczą tam i z powrotem, przykładając jeden z instrumentów do ust, przyciągając zainteresowanie pogodnym i filuternym brzmieniem. I ta jedna czynność wypełnia ich życie od świtu do zmierzchu.

Podobnie dni spędza sprzedawca balonów, który — w wielu lokalnych wcieleniach — pojawia się w pobliżu indyjskich atrakcji turystycznych. Kursuje, dajmy na to, wokół bombajskiej Bramy Indii z potężnym, niemal ludzkich rozmiarów balonem, w który raz po raz, dla wywołania dramatycznego efektu, wali dłonią. Rozlega się wówczas trochę groźny, a trochę komiczny huk. Turyści rozglądają się, zauważają gumowe cudo i niewzruszeni zwiedzają dalej. Ale przecież ktoś balony kupuje — uporczywa obecność sprzedawcy niezbitie tego dowodzi.

Najbardziej nieustępliwi są ci, którzy mają do zaoferowania najmniej — kilka chudych ryb, klarowane masło, solone orzeszki albo plastikowe samochodziki. Oni rzadziej reklamują swoje produkty, zwykle tylko czekają na ratunek. Łatwo ich rozpoznać — są cisi.

Na wielki indyjski bazar nie przyszli z własnej woli, przygnała ich konieczność.

Sprzedaż, nawet najdziwaczniej wyspecjalizowana, może zapewnić przetrwanie. Nigdzie nie widać tego wyraźniej niż w pociągach — każdy żywi tysiące handlarzy. Gdy wjeżdża na stację, choćby niewielką, oni już są: stoją na skraju peronu, gotowi wskoczyć do środka albo biegać wzdłuż okien. Ciągną wózki, pchają małe platformy, dźwigają wiadra, tace i kosze, a w nich mają cały świat. Zachwalają ofertę, przeciągając każde słowo — wydłużają sylaby, podwijają końcówki. To handlowy slang, reklama sama w sobie, substytut dzwoneczka czy trąbki. Często jedyny sposób, aby się wyróżnić, bo handel w pociągu odbywa się gęsiego — sprzedawcy nie obstawiają rewirów, nie dzielą się wagonami, tylko maszerują jeden za drugim, często oferując ten sam przedmiot czy usługę.

Wszyscy najwyraźniej są potrzebni: nawet ten, który idzie ostatni, nie traci rezonu. Krzyczy dziarsko i nieraz na tej pozornie słabej pozycji zyskuje, bo rozochocony wcześniejszymi namowami klient wreszcie łamie się i wyciąga rękę. A wtedy sprzedawca gotowanych na twardo jajek, piszczących zielonych papużek, plastikowych grzebieni, zapalniczek, popularnych wśród mężczyzn ziołowych odświeżaczy do ust, obranych i osolonych ogórków, podręcznych modlitewników, maści na poparzenia, poradników duchowych, olejków zapachowych,

mydlanych papierków i dmuchanych poduszek może na chwilę przystanąć, prędko dokończyć transakcję i zanim pociąg ruszy, przemierzyć jeszcze kilka wagonów.

Kolejowi sprzedawcy są szybcy i skuteczni, znają dokładnie rozkład jazdy i życzenia pasażerów — gdy wchodzi do wagonów, mają przy sobie i na sobie wszystko, czego podróżny zapragnie. Można wsiąść do pociągu z niczym i jechać trzydzieści siedem godzin bez zmartwień, przebyć dwa tysiące kilometrów, nie ruszając się z kuszetki. Hindus nie musi iść na bazar, bazar przyjdzie do niego.

Indyjscy handlarze do perfekcji opanowali sprzedaż obwoźną i obnośną. Ich inwencja w tworzeniu mobilnych straganików, które noszą na szyi, plecach, ramionach i głowach; które się toczą, zwisają, składają lub rozwijają w okamgnieniu, nie ma końca. Okoliczności co rusz wymuszają nowe wynalazki, a dzięki nim człowiek i jego sklep często stają się jednym, nierozłącznym bytem. Sprzedawca sznurówek z wieszakostoliczkim na klatce piersiowej, pozwalającym na prezentowanie niezliczonej ilości kolorów i rozmiarów wiązań, czy pucybut noszący swój warsztat w skrzynce na łokciu, doskonale ilustrują najgłębsze znaczenie indyjskiego handlu.

W kraju tak wielkim i tak gęsto zaludnionym praca jest nie tylko koniecznością, ale także przywilejem. Ani państwo, ani prywatne przedsiębiorstwa nie są w stanie jej zapewnić wszystkim. Zajęcie trzeba sobie znaleźć, a często wymyślić, udowodnić swoją przydatność. Gdy się żyje wśród ponad miliarda ludzi, łatwo poczuć się zbędnym, rozpląnąć w masie. Każdy, kto stworzył dla siebie jakąś

funkcję, śpi spokojniej, bo zdołał nadać swojemu istnieniu sens. Handluję, więc jestem. To, że się ma coś do sprzedania, jest sukcesem, bo wielu leży na ulicy, uderzając metalową miską o bruk albo wyciągając zemdlone ręce.

Kto nie musi błagać, może być dumny. Stąd się biorą zachęty i zaproszenia: „Halo, czego ci potrzeba?“, „Chodź, zobacz. Mam dużo pięknych rzeczy“, „Czym mogę służyć?“, „Tylko obejrzyj!“. Stąd te pozornie zbyteczne słowa i gesty — dłoń wskazująca rzędy skórzanych toreb, których przecież nie sposób przeoczyć, a do tego głośna podpowiedź: „Skórzane torby, różne modele!“. Stąd ta niesłabnąca aktywność sprzedających, odbierana przez przyjezdnych z daleka jako męcząca namolność, angażująca i zbędna. Tymczasem nie chodzi tylko o to, aby dobić targu. Jest coś ważniejszego: potrzeba bycia dostrzeżonym.

Kupujący potwierdza, że wysiłek handlarza ma sens. Podczas transakcji wymienia się nie tylko towary czy pieniądze, ale i satysfakcję, powody do zadowolenia. Kupcy są dumni, że mają coś, czego klient pragnie. Gdy sprzedają, mogą się poczuć jak bogacze, którzy posiadają dość, by się dzielić i wymieniać. Zaś klient za własne pieniądze otrzymuje poczucie, że stać go na zaspokojenie potrzeb, a to świadomość w indyjskim społeczeństwie wyjątkowa.

Nie ma w niej nic oczywistego. Oczywiste jest, że wielu ludzi ledwo wiąże koniec z końcem, z trudem przedłuża swe życie dzień po dniu. Powszedni widok biedy działa także na tych, którym głód nigdy nie zajrzał w oczy — nawet jeśli katapultuje ich pychę, to przecież jest ona tylko

refleksem strachu przed życiem w rynsztoku. Bliskość ubóstwa, krążącego między straganami, podsyca handlową machinę: nikt nie chce się znaleźć po tamtej stronie. Tym większe są wysiłki sprzedających, tym silniejsza motywacja. Aby dokonać transakcji, indyjski kupiec jest skłonny przychylić klientowi nieba — podwieźć go motorem do bankomatu, pojechać z nim do domu po brakującą kwotę, a wreszcie obniżyć cenę.

Targowanie się jest nieodłączną częścią zakupów, bynajmniej nie zarezerwowaną dla towarów luksusowych. Żadna rozsądna Hinduska nie da sobie wcisnąć zbyt miękkiego bakłażana lub tracących kruchość *bhindi* bez odpowiedniej wobec feleru obniżki. Będzie dyskutować, a nierzadko wyklócać się o każdą rupię, nieustępliwie szukając oszczędności wszędzie tam, gdzie handlarz upatruje zysku. I podczas gdy ona będzie pomstować na kiepską jakość, wymieniać tysiąc powodów, dla których towar jest niegodny ceny, on będzie długimi i coraz głośniejszymi monologami bronić swego przyczółka.

Rzecz jasna, nie zawsze jest powód i sens się przekomarzać. Indyjskie gospodynie mają zwykle sprawdzonych sprzedawców, z którymi zawiązują długoletnie, ba — życiowe, relacje oparte na wzajemnym zaufaniu. Ale nawet najlepszemu sprzedawcy zdarza się towar gorszej jakości, a i zasobność portfela klientki zmienia się w różnych okresach (domowe finanse ulegają nadwyreżeniu w dniach świątecznych, a tych w kalendarzu nie brakuje), więc handlowe sympatie nie są wolne od okresowego iskrzenia.

Transakcja jest spotkaniem i okazją do rozmowy, a

rytuał uzgadniania ceny ma wiele pozaekonomicznych wymiarów — bywa popisem elokwencji i dowcipu, sztuką odczytywania intencji i przewidywania odpowiedzi, subtelnym sondowaniem wzajemnych potrzeb. To gra wymagająca wyczucia i cierpliwości, a jeśli jest zręcznie prowadzona, przyniesie pomyślność i zadowolenie wszystkim zaangażowanym. Największą niegrzecznością byłoby się spieszyć: targowanie się to dyskusja, a cena jest tylko pretekstem — fakt, że znaczącym.

Obie strony muszą powiedzieć swoje, musi się dokonać wymiana argumentów, przypominająca zaplatanie warkocza — raz z jednej, raz z drugiej strony pojawiają się naciski i uzasadnienia. Do porozumienia dochodzi krok po kroku, często finał bywa dramatyczny, choć ci, którzy na kupowaniu i sprzedawaniu się znają, potrafią go przewidzieć.

Cała ta teatralna oprawa może się wydawać jedynie maskaradą, ale nawet gdyby traktować ją tak powierzchownie, trzeba przyznać, że spektakl jest emocjonujący i ubarwia życie. Jakże bezduszne i smutne jest w porównaniu z takim ceremoniałem kupowanie w Europie — to tylko mechaniczna czynność, odarta ze słów, spojrzeń. Sterylna i zimna nie wymaga żadnych umiejętności, nie daje pola do finezji. Kupować i sprzedawać potrafi pierwszy lepszy. Tymczasem zakupy w Indiach wymagają kwalifikacji i wiedzy. Kto ich nie posiada, porusza się w ciemności i może zostać łatwo nabity w butelkę. A najgorsze, że traci możliwość decydowania.

Sprzedawca już na pierwszy rzut oka powinien wiedzieć,

z kim ma do czynienia, jakie towary warto zaproponować, czym się klientowi przypodobać i jakiej ceny żądać. A kupujący musi rozpoznawać techniki tkania materiałów, odróżniać haft ręczny od maszynowej imitacji, znać sploty jedwabiu i bawełny, wyczuć w dotyku dobrze wyprawioną skórę i ocenić, czy torba wytrzyma miesiąc czy rok. Jednym słowem — powinien wykonać sporo pracy, by zrozumieć, co nabywa.

Ustalanie ceny jest często dyskusją o jakości produktu — czystości i szlachetności, okolicznościach jego powstania. W Indiach wciąż żywa jest ta kultura handlu, w której nie decyduje siła marki, jakiegoś abstrakcyjnego mechanizmu narzucającego bywalcom bazaru, co mają myśleć. Wciąż podejmują wysiłek samodzielnej oceny, muszą polegać na własnej intuicji i znajomości świata. Nie podchodzą do wytworów instrumentalnie — decyzja o zakupie jest złożona i świadoma.

Ryzyko podejmują także sprzedawcy kładący na szali własną reputację. Każdy wie, że oszustwo przynosi zysk tylko raz, a uczciwość popłaca przez lata. Jeśli klient będzie niezadowolony, handlarz straci podwójnie. Związek jakości i ceny jest luźniejszy w przypadku towarów produkowanych masowo i byle jak, ale tam z kolei kluczowy jest koszt — biedni chcą zapłacić jak najmniej, więc spory o cenę bywają równie gwałtowne i wyczerpujące, choć może mniej wysublimowane.

Najlepszą metaforą indyjskiego handlu jest struktura bazaru — targowiska w formie skomplikowanego labiryntu, oferującego tak wiele przeróżnych, a zarazem łudząco podobnych towarów, że radość z niemal nieograniczonego

wyboru miesza się z poczuciem całkowitego zagubienia. Obfitość przytłacza, jeśli jest nieczytelna. Dopiero ci, którzy wiedzą, co dobre i wartościowe, mogą się poruszać w tej plątaniu swobodnie. Swobodnie to znaczy pewnie i bez lęku, ale też w zgodzie z tradycyjnym porządkiem. Targowisko to przestrzeń precyzyjnie zorganizowana, podzielona na strefy i żyjąca według ustalonego rytmu.

Najwcześniej, około szóstej rano, zaczynają handlarze ryb. Bengalczyki, którzy nie wyobrażają sobie posiłku bez podduszonego i przyprawionego mięsa z rzek opływających południowo-wschodnie Indie, spieszą rano na targ w centrum Kalkuty i tam przebierają, wypatrują i wybrzydzą do woli. Ryby przyjeżdżają w plecionych koszach, czekają na ciężarówkach w bocznej uliczce — fetor roznosi się wokół, zawiadamiając o dostawie. W hali targowej, wymalowanej w środku farbą w kolorze soczystego turkus, ciągną się drewniane stoły o kamiennych blatach. Na każdym są krojone i patroszone ryby. Skóry lądują na ziemi — ktoś je zaraz zbierze i dokądś zanieśli. Podłoga lśni od wody, kawałków lodu i lepkich łusek.

Mały ostry nóż jeździ tam i z powrotem po rybnym cielsku. Żeby je rozplatać, trzeba wiedzieć, jak jest zbudowane. Niektórym sprzedawcy najpierw rozcinają podbrzusze, innym wbijają nóż pod skrzela i odłupują łeb od tułowia. Przecinają na pół — różowe mięso lśni, gdy płaskie ostrza je filetuja, wyrywając chrząstki i ości. Potem oddzielają je od srebrzystej skóry, kroją na cienkie pasy lub kwadraty — gotowe do wrzucenia na wagę i do garnka.

Noże błyskają szybko, ryb przyjeżdża coraz więcej: zalegają na stołach i w skrzyniach. Największe,

półtorametrowe okazy są pozbawiane wnętrzości na podłodze. Młody chłopak wyszarpuje jelita i wrzuca do wiadra. Zaraz zaglądną tam psy — uliczne kundle wiedzą, kiedy przyjść. Kręcą się między nogami, obwąchując dokładnie teren. Całych ryb nie tykają, czekają na kawałki mięsa odcięte przy filetowaniu. Kruki są mniej wybredne — wlatują przez otwarte szeroko bramy i okna. Siadają na gzymsach, kablach elektrycznych, brzegach stołów, zeskakują na ziemię i wynajdują przysmaki w kanałach biegnących bokami alejek. Nikt ich nie przegania, odpadków jest w bród.

Przy wejściu rozłożył się mężczyzna z potężnym nożem *bonti*. Jego zagięte ostrze jest jak maczeta. W miniaturowym wydaniu służy do obierania i krojenia warzyw, tu pozwala prędko porcjować mięso. Trzymana oburącz ryba najpierw traci płetwy, delikatne mięśnięcie o ostrze wystarczy. Później odpada łeb, lekko, jakby trzymał się na jedwabnych niciach. Osuwa się w dół i zanim spadnie na podłogę, ryba będzie już pokrojona w równe dzwonka. W zależności od gatunku trafia do jednego z ustawionych wokół koszy. Wąsacz przepłukuje dłonie w wiadrze pełnym krwawej wody i chwytą kolejną rybę.

Obok podjechał ciągnięty przez rowerzystę wózek z wielkimi rybami. Ładowane do skrzyń i wnoszone do hali na głowach będą musiały zaczekać. Ktoś już się zabrał za kruszenie lodu — ciężkie żeliwne szpikulce dźgają bryły. Unosi się zimna para, wędruje tuż nad zabrudzoną podłogą, w stronę trzech kobiet czyszczących krewetki.

Przypominają postaci z baśni ukarane przez złą macochę mrówczym zadaniem oddzielania piasku od maku.

Prędko przebierają dłońmi, uwalniając maleńkie nerkowate kształty ze skorupki. Wrzucają je do miski, która co chwilę wędruje w górę: zważone krewetki znikają w plastikowych torbach. Klienci odchodzą, kładąc pieniądze na mokrym blacie.

Ryby sprzedają się, póki są świeże, o czternastej targ jest już zamknięty. Kruki i psy, jeśli wciąż im mało, mogą się przenieść i po sąsiedzku wypatrywać strzępów innego mięsa. Muszą tylko pokonać aleję ziemniaczano-cebulową, kordon między jadanyymi przez miejscowych rybami a wołowiną i koziną, które wielu z nich uważa za zakazane. Hala mięsna zajmuje jeden z najstarszych i kiedyś z pewnością pięknych budynków targowych Kalkuty: z poczerńiałych łuków, wysokich sklepień i drewnianych okiennic można jeszcze wyczytać wzniosłą architektoniczną wizję, ale trudno spoglądać w górę, gdy każdy krok jest niepewny. Buty ślizgają się we krwi i w tłuszczu: kamienne podłóżo jest nimi tak przesiąknięte, że nie wysycha nawet nocą.

Panuje wyraźny podział: po lewej stronie wołowina opraciwana przez muzułmanów. Informuje o tym wielka bawola czaszka z porożem, zatknięta na kierownicy roweru, który — sądząc po zapaskudzeniu przez gołębie — od lat służy jako witryna. Z haków zwisają wielkie płyty mięsa, na podłodze walają się jęzory i ogony. Ktoś niesie pod pachą kilka wielkich szczęk wciśniętych jedna w drugą jak klocki. Usadowiony na blacie handlarz gryzmoli coś w notesiku, pokrzykując do telefonu. Wokół bez wytchnienia pracują rzeźnicy: ogoławają żebra, czyszczą udźce z tłuszczu, wykrawają karczki, wbijają mięso na haki, ćwiartują, wrzucają do wiader.

Po przeciwnej stronie alei kończą żywot kozy. Kilka przywiązanych sznurkiem do drewnianego stołu jeszcze czeka. Są nieruchome i skulone, wiedzą, co się stanie. Tuż obok ściele się dywan z oderżniętych kozich głów. Krok dalej zaczyna się aleja kurczaków, które są tu dowożone rowerami. Stłoczone w okrągłych koszach kręcą się nieustannie, szukając wyjścia z pułapki.

Zapach śmierci tłumią intensywne aromaty osnuwające uliczkę z herbatami i przyprawami. Wydostają się ze słoików i z puszek wypełnionych ziarnami kardamonu, kminku, herbacianymi liśćmi, mieszankami wysuszonych korzeni i ziół. To pierwszy urok, który bazar rzuca na przybyłych, drugim jest warzywno-owocowa fosa, gdzie ciągną się stragany z symetrycznymi kopczykami jaskrawozielonych guaw, żółtych mango i ciemnopomarańczowych papai. Małe limonki biją cytrynowym światłem, konkurując z pozieleniałymi kuzynkami. Ciemne arbuzy trzymają się blisko pękatych melonów. Czerwone śliwki towarzyszą cętkowanym jabłkom i jasnym gruszom, z którymi wspólnie przebyły długą i krętą drogę z Doliny Kaszmiru.

Granaty czekają ustawione w piramidę, kołyszą się nad nimi kiście żółtych, zielonych i poczerwieniałych bananów. Naprzeciwko lśnią głębokim fioletem bakłażany, ułożone koncentrycznie w kosmiczny dysk. Wspierają je swą zielenią ogórki i pomarańczowe u nasady pomidory, purpurowe główki kapusty oraz długie na trzydzieści centymetrów strąki fasoli. Jest wreszcie unikatowa reprezentacja lokalnych warzyw w najbardziej fantazyjnych kształtach — rozcapierzonych i pomarszczonych, zrogowaciałych i gładkich jak jedwab. Cała ta barwna armia strzeże wejścia do pępka bazarowego świata, jest

zaledwie uwerturą do czekającej wewnątrz oszałamiającej symfonii.

Tam, gdzie zaczynają się tkaniny, tekstylia, stroje i biżuteria, kończy się rzeczywistość. Sprzedawcy, stojący u bram swych handlowych księstw, zapraszają z uśmiechem — każdy do innej bajki. Wewnątrz okazuje się, że sklepikarz nie jest sam, ma kilku pomocników, którzy będą się wspinać na półki, wdrapywać pod sufit, znikać we wnękach, po czym rzucać do stóp kupującego coraz to nowe cuda — we wszystkich możliwych kolorach, haftowane, obszywane kamieniami, tkane jednostronnie i dwustronnie, zmieniające barwy pod światło.

Każde pytanie, wypowiedziane na głos pragnienie otwiera sezam. Na hasło „szal” brodaty pan Khan i siedmiu rozbójników zaczynają trzaskać szybami, za którymi czekają złożone płachty materiału. Wyrzucane w powietrze, rozwijane na ladach, rozkładane na ramionach, prezentowane pod światło i w cieniu, muskane dłońmi i ugniatane w palcach potwierdzają swą gładkość i miękkość. Kuszą drobnym haftem, wyszywaną lamówką, lekkością i delikatnością włókien.

Kamienie szlachetne w srebrnych i złotych oprawach wylegają się w witrynach, pyszniąc się nie tylko swą urodą, lecz także legendami o niezwykłym działaniu i tajemniczej astrologicznej mocy. Sprzedawcy wyjmują je chętnie, wierząc, że gdy klient spojrzy na nie z bliska, już się nie uwolni — zahipnotyzują go opalizujący blask i czerwone koralowe oko. Ważą bransolety, pierścienie i naszyjniki — najpierw w dłoniach, a gdy sprawy zajdą daleko, na wadze. Wstukują cyfry do kalkulatorów przeliczających ciężar na

rupie.

Tak trudno się oprzeć. Uwierzyć, że życie bez tych cudów jest możliwe, w ogóle coś warte. Kupujący suną targowymi alejami jak zakłęci. Ale gdy przychodzi do decydowania, odzyskują jasność umysłu i twardo stąpają po ziemi. Grube kobiety zasiadają na taboretach i ze znudzonymi twarzami, z których kupcom trudno cokolwiek wyczytać, oglądają rozkładane przed nimi zwoje sari — bawełnianych, jedwabnych, z tłoczonymi wzorami i haftowanymi bokami, zdobionych bogato albo uszlachetnionych jednym tylko motywem. Kręcą głowami, składają usta w podkowę, cmokają, syczą, narzekają, zadają dziesiątki pytań. A sprzedawcy trwają w usługowej pozie i dogadzają im aż do skutku. Podobne sceny w tym samym czasie rozgrywają się w sklepach z *salwarami*, kurtami, porcelaną, butami i bransoletkami. W każdej z kilkudziesięciu splecionych alejek oferujących spełnienie marzeń, pełnej kusicieli i magów.

Gdy się już wyjdzie na zewnątrz i stanie na ulicy, wśród klaksonów i poszturchiwań, jest się jak Alicja, która wróciła ze świata ukrytego po drugiej stronie lustra. Sama nie dowierza swym przeżyciom. Oszołomiony magią bazaru człowiek nie zauważa nawet, że wcale się z niego nie wydostał. Gdzie nie spojrzy, stoją stragany.

W drodze z bóstwami

Niewiele jest w Indiach widoków równie majestatycznych jak dalekobieżny pociąg ekspresowy wtaczający się na dworzec przeznaczenia. Kilka kilometrów wcześniej maszyna, pędząca dniem i nocą, zwolniła — wyrzekła się prędkości z przyczyn pragmatycznych i estetycznych. Dziesiątki wysłużonych zwrotnic prowadzących do peronów, ramp przeładunkowych i bocznic wymuszają ostrożność, ale też finał podróży jest zawsze wydarzeniem zwycięskim, domaga się królewskiej gracji.

Po kilkudziesięciu godzinach podróży wszystkie pociągi — Poorva, Gitanjali, Rajdhani, Mumbai Mail, Janashatabti, Sri Jagganath, Black Diamond, Azad Hind czy Lal Qila — wjeżdżając na perony, zmieniają się w rydwany roztaczające wokół zapach przebytych kilometrów, mijanych miast i wsi, skąpanych w wodzie upraw ryżu i umęczonych suszą kukurydzianych pól. Za wagonami ciągną się obrazy z podróży — drewniane pługi przytroczone do jednogarbnych byków, pochylone nad ziemią sylwetki kobiet w jaskrawych sari, krągłe gliniane chaty kryte bambusową strzechą i usiane kwiatami lotosu stawy. Niespodziewanie wyrastające z równin górskie ściany, wielkie koryta rzek, pokonywane po stalowych

wiaduktach — raz zalane po brzegi, innym razem obnażone w oczekiwaniu na deszcz.

Wraz z pociągiem na peron wjeżdża potęga i duma Indii, zrodzona z rozpiętości granic oplatających subkontynent od Oceanu Indyjskiego i wschodnich dżungli przez himalajskie szczyty na północy aż po pustynie i Morze Arabskie na zachodzie. Pociągi, niczym niezmordowani gońcy, roznoszą opowieść o świetności Indii. Z tej patriotycznej, kurierskiej misji nie zwolnią ich nowe technologiczne zdobycze — nie wyręczy żaden z tysięcy samolotów przecinających indyjskie niebo. Odrzutowce bujają w obłokach, nic nie wiedzą o codzienności. To wagony są świadkami spraw przyziemnych.

Najpierw sunie, jednostajnie mrużąc, lokomotywa o wielkich ślepiach. Za nią wagon bagażowy, najcięższy, wypchany aż po sufit. Dalej trzy wagony najniższej klasy bez rezerwacji, zwanej z angielska *general*, wiozące ludzi ubogich i wytrwałych. Wsiedli pierwsi, z najmniejszymi tobołkami i największą nadzieją, pchani jakimś niezwykłym powodem, który im — niemającym prawie nic — kazał ruszyć tak daleko. Czekali na pociąg najdłużej, stojąc na peronie w równej linii, pilnowani przez znużonych policjantów wymachujących *lathi* — bambusowymi kijami o metalowych końcach.

Blokada drzwi zostaje wyłączona, ruszają do walki. Cisną się do środka bezwzględnie, nie zważając na kobiety i starców. Miejsc zawsze brakuje, a droga jest długa. Kto nie zdoła zająć siedzenia, będzie jechał ściśnięty na podłodze. Zbyt daleko od okna, by poczuć orzeźwiający ciepły wiatr, bezustannie poszturchiwany przez

przechodzących sprzedawców i wiercących się ludzi, nie zazna snu ani spokoju. A kiedy pociąg w końcu wtacza się na stację, w zakratowanych oknach najtańszych wagonów, ukryte w mrocznym wnętrzu, tkwią gęsto ściśnięte twarze. Widać tylko połyskujące oczy — ciekawe tego, co na zewnątrz. Jednocześnie zmęczone i uważne.

Dalej kuszетки drugiej klasy — czternaście wagonów sypialnych, w każdym siedemdziesiąt pięć leżanek, za dnia zmienianych w miejsca do siedzenia. Wiozą najbarwniejszą grupę podróżnych. Tu jadą wiejskie rodziny, które stać na jedną kuszettkę, w cudowny sposób zdolną pomieścić trzy osoby, drobni przedsiębiorcy zawsze chętni rozprawiać o ostatnim skandalu korupcyjnym w rządzie, milczący studenci nabożnie wpatrzeni w swoje telefony komórkowe, bramini i imamowie, leciwe matrony i emerytowani inżynierowie w okazałych okularach, wreszcie świątobliwi gapowicze — asceci skuleni na podłodze przy drzwiach, owinięci pasami bawełny.

Między wagonami kuszettek mieści się pociągowa kuchnia, w której kilkudziesięciu mężczyzn przygotowuje posiłki roznoszone pasażerom. Teraz jest tam pusto, przez okna widać tylko potężne gary z zastygłym na ściankach brunatnym sosem, wielkie wory i paczki.

Za ostatnim sypialnym toczą się cztery wagony wiozące najbogatszych podróżnych, odseparowanych czarnymi szybami od duchoty i znojów indyjskiej prowincji. Okien nie da się otworzyć, nie można zajrzeć do środka, z wewnątrz także niewiele widać — bo czym są indyjskie pejzaże wypłukane z kolorów, wystudzone klimatyzowanym powietrzem. Odciecie od pospólstwa ma lepiej sytuowanym

gwarantować czystość i komfort w postaci smaczniejszych posiłków, poduszki, koca, firanki nad łóżkiem, a także nieco większej przestrzeni.

Klimatyzowane wagony oferują od czterech do sześciu łóżek w przedziale. Skład zamyka wagon bagażowy, wiozący tym razem mniejsze pakunki. Łącznie lokomotywa ciągnie ponad dwadzieścia platform — potężny stalowy wąż zajmuje pół kilometra.

Gdy pociąg staje, wypadki toczą się błyskawicznie. Znieruchomiali w oczekiwaniu ludzie zaczynają wyskakiwać na peron. Najszybciej, bez ceregieli i pożegnań, rozbiegają się pasażerowie najtańszych klas. Ich podróż nie jest świętem ani przygodą, najczęściej koniecznością. I wcale nie kończy się na dworcu. To tylko punkt przesiadkowy — trzeba się jeszcze dostać do odległej wioski, może miasteczka albo dzielnicy na skraju metropolii. Teraz zaczną się nowe trudy: inny, gorszy nawet ścisk w podmiejskim pociągu, w godzinach szczytu tak przepełnionym, że trzeba będzie uwiesić się u drzwi, z jedną nogą w powietrzu, albo zablokować ciało między wagonami — pośladki oprzeć o ścianę jednego, a stopy wbić w drugi. I tak, napierając jednocześnie na obie strony, pokonać kilkanaście stacji — wytrzymać i nie spaść na tory. Jeśli dalsza podróż odbywa się autobusem, trzeba się spieszyć. Tam też rozegra się walka o miejsca dla ludzi i bagaży. Im dalej od miasta, tym mniej autobusów, a chętnych nie ubywa. Kto się nie zmieści w środku, wejdzie na dach, usadowi między pakunkami, chwyci stalowej ramy albo liny i spędzi długie godziny, podskakując na wybojach. Będzie mrużyć oczy przez słońcem i wiatrem, co chwila

wypluwać ślinę gęstniejącą od pyłu albo kulić się w obronie przed zacinającym deszczem. Jeżeli autobus dotrze na przystań w porę, jeszcze przed zmrokiem uda się wsiąść na długą drewnianą łódź, napędzaną spalinowym silnikiem wyrwanym spod maski starego samochodu. Zamiast baku ma przywiązaną do rury plastikową butelkę po coca-coli, wypełnioną żółtawym paliwem sprzedawanym na nabrzeżu. Silnik kopci i smrodzi, bezwstydnie pokazując swój osmolony mechanizm, buchając gorącym na boscie stopy. Część pasażerów siedzi w kucki, przyciskając do piersi pakunki i dzieci. Niektórzy mężczyźni, chcący się popisać lub zwyczajnie spóźnieni, stoją wyprostowani, sprawnie balansując za każdym razem, gdy łódź się przechyla. Odepchnięta od brzegu bambusowym palem nabiera prędkości. Burty ledwie wystają ponad taflę wody. Drewniane cielsko sunie ociężale, ale pewnie — nieraz już pokonało tę trasę i nieraz jeszcze, wbrew wszystkiemu, dopłyne bezpiecznie do brzegu. W połowie drogi wysłużony silnik nagle rezygnuje, zwalnia i cichnie. Zwinny chłopak, pomocnik sternika, szybko do niego doskakuje, chwytając linę i szarpie — raz, drugi, trzeci. Wreszcie, niechętnie, silnik wraca do pracy — ciężko dyszy, słychać, że jest zmęczony. Chciałby odpocząć na jakimś złomowisku, milcząco powspominać tysiące kilometrów i nieprzebrane tłumy pasażerów. Ale wciąż jest potrzebny. Milknie, dopiero gdy brzuch łodzi zaryje w muliste dno. Ludzie w ciszy, i teraz już w ciemności, wskakują do wody i wdrapują się na brzeg. Niektórzy pójną do domu piechotą, inni wsiądą w riksze — motorowe lub rowerowe — i ostatnie kilometry pokonają, wypatrując w ciemności migotania naftowych lampek. Indie to siedemset tysięcy wsi i siedemset tysięcy sposobów, by się do nich dostać.

Gdy pasażerowie klasy *general* szykują się do dalszej drogi, tysiąc podróżnych z wagonów kuszetkowych wystawia bagaże na peron i zaczyna się rozglądać — za krewnymi, przyjaciółmi lub kimś, kto pomoże dźwigać. Młoda mama wysiada pierwsza, wyciąga ramiona i przenosi czekające w drzwiach wagonu dzieci — najpierw na peronie ląduje chuda dziewczynka w różowym *salwarze* i sandałach, potem jej starszy brat w żółtych dżinsach i zdobionych odblaskowymi naszywkami tenisówkach.

Kobieta zarzuca na ramię splątaną *dupattę*, sięga po walizkę i torbę — nie może jednocześnie pilnować bagaży i dzieci. Te, otoczone tłumem ludzi przelewających się w kierunku dworcowej hali, popychane i uderzane torbami, poganiane okrzykami wózkarzy i bagażowych, czekają przytulone. Ojciec wychodzi z wagonu ostatni, taszcząc torbę. Podciąga spodnie, czyści gardło, wydając przeciągłe charczenie, i chwyta bagaże. Daje żonie znak, by zajęła się dziećmi. Dołączają do ludzkiej rzeki i odpływają w kierunku hali, z której dochodzi słodki głos automatycznej informacji kolejowej.

Zanim jeszcze ostatni pasażerowie postawią stopy na peronie, do wagonów wskakują dworcowe dzieci. Kto pierwszy, ten lepszy. Małe ciemne postaci pracują szybko i zręcznie. Przez korytarze i przejścia między wagonami przemykają ich łachmany — krótkie bure nogawki, powyciągane koszulki, którymi wycierają podłogi, szczeliny i wnęki. Czarne stopy wskakują na siedzenie, zwinne ramiona podciągają ciało, ręka sięga po porzuconą na górnej leżance plastikową butelkę. Zeskok i ciało przywiera do podłogi, lustrując przestrzeń pod dolnymi kuszetkami —

zostały gazety, foliowe torby, puszki. Wszystko się przyda, pójdzie na sprzedaż. Znaleźiska lądują w wysłużonych plecionych workach, szybko pęczniejących. Umorusane głowy zaglądnają jeszcze do pociągowych latryn i pod umywalki w korytarzach. Nie ma chwili do stracenia, bo okiennice w kolejnych wagonach zamykają się z hukiem. Od ostatniego do pierwszego wagonu przechodzi mężczyzna, który od wewnątrz zatrzaskuje stalowe okienne zasłony — jedna po drugiej suną w dół, sygnalizując gotowość pociągu do odpoczynku na bocznicu.

Dzieci wyskakują i pędzą gdzieś ze swym łupem. Mają zacięte, mroczne twarze, skanują wszystko wokół. Są uważne, zawsze gotowe do ucieczki i obrony. Przypominają kruki, które obsiadły podkłady kolejowe przy sąsiednim peronie. Każdy pilnuje swojej zdobyczy — odrobiny ryżu, kawałka pleśniejącej *parathy*[27], banana. Ptaki rozglądają się z niepokojem — wiedzą, że moment nieuwagi pozbawi je cennego znaleźiska. Co chwila wybuchają konflikty, czarne dzioby atakują się zajadle, wielkie pazury rozszarpują resztki. Dworcowe dzieci bywają równie bezwzględne. Gdy podbiegają, aby prosić o pieniądze, coś w ich oczach i niepohamowanym śmiechu mówi, że nie boją się niczego i przed niczym się nie zawahają. Tą samą ręką, którą wyciągają po datek, potrafią uderzyć lub pchnąć, gdy spotkają się z odmową. To je indyjski świat potraktował najokrutniej. Nie mają domów ani rodzin, żadnego wczoraj i żadnego jutra. Są samotne, ale nie same — w pętli zależności od tych, którym oddadzą zebrane butelki i gazety. Podczas gdy czterech ośmiolatek ciągnie worki z ekspresu, dwójka młodszych chłopców maszeruje w przeciwną stronę. Idą objęci, przepychając się wesoło i

wyrywając sobie z rąk małą torebkę. Na zmianę przykładają ją do nosa i ust. Wciągają klej wprawnie, nie pierwszy raz. Objuczonych bagażami pasażerów mijają z obojętnością — nie zadają im pytań, nie są ciekawi, skąd przyjechali ani gdzie się wybierają. Żyjące wśród pociągów dzieci są najwierniejszymi obywatelami dworcowego świata. Jako jedyne donikąd stąd nie odjadą.

Najwolniej, z dostojeństwem i ceremoniałem, swoje przedziały opuszczają pasażerowie klimatyzowanych wagonów. Przy drzwiach jednego z nich widać nadzwyczajne zamieszanie — mężczyźni na zmianę znikają w środku i wynurzają się, wynosząc na peron kolejne pakunki. Cztery okazałe kartony, trzy torby i dwie staromodne walizki zamykane na kłódkę, następnie pięć mniejszych toreb, jakieś ciężkie przedmioty, szczelnie owinięte jutowymi worami — wnosząc z kształtów, to przewożone w częściach meble: skrzynie, krzesła, wieszaki. Wreszcie opatulone miękkimi szmatami i folią obrazy. Na koniec wysuwa się trzciniowy kosz obwiązany linami. Jest okrągły, więc klinuje się w drzwiach — mężczyźni szarpią się z nim przez chwilę, nim udaje im się go wyciągnąć na zewnątrz.

Zebrane wokół kobiety są do siebie podobne: w średnim wieku, otyłe, okryte sari, niecierpliwie przebierają nogami. W rękach ściskają niewielkie pudełka. Ich twarze rozjaśniają się na widok pulchnego staruszka, który ostrożnie krocząc po stopniach, wychodzi na peron. Rusza ku niemu barwny korowód. Kobiety otwierają pudełka, wyciągają z nich białoczerwone kwiatowe girlandy i przeciskając się bliżej wielmożnego gościa, składają mu

pokłony. Z czcią dotykają jego stóp, łączą dłonie w powitaniu i zarzucają mu girlandy na szyję. Starzec spokojnie przyjmuje akty uwielbienia. Kilku mężczyzn rzuca mu się do stóp — na chwilę przywierają do peronu. Powitanie trwa dobre pół godziny; następnie czcigodny podróżny zostaje odprowadzony do wygodnego samochodu, oddalonego ledwie o kilka kroków. Wszystko jak na zamówienie — ekspres wjechał na jedyny peron połączony z ulicą. Gdy kierowca rusza, nadjeżdżają trzy wozy terenowe, do których świta prędko ładuje dorobek przyjezdnego.

Całą tę scenę obserwują, cmokając z niezadowoleniem, kulisi, którzy przykucnęli obok wagonu i zwiesili nabrzmiałe dłonie. Noszenie bagaży to ich robota, ich chleb. Bogaci indyjscy podróżni są zwykle najlepszymi klientami: zabierają ze sobą mnóstwo rzeczy i hołdują starym przyzwyczajeniom. Ich poczucie wyższości i przywiązanie do świata, w którym pan był panem, a służący służył, gwarantuje przetrwanie tym z dołu społecznej drabiny, rodzącym się po to, aby dźwigać na głowach skrzynie i kosze. To jedno potrafią. Wskakują do pociągu, zanim wtoczy się na dworzec, i wyszukują podróżnych, którzy bez ich usług sobie nie poradzą.

Nie są namolnymi żebrakami, nie napraszają się. Wykonują ciężki zawód, ale robią to z godnością — mają w kolejowej hierarchii swoje miejsce, ważne i wyraźnie zaznaczone. Widać ich z daleka, bo noszą służbowe czerwone kurty, białe *dhoti*, a na ramieniu kraciaste chusty, które dwoma zwinnymi ruchami wiążą na głowie w mały turban. Jest on amortyzatorem i podkładką, pomaga

utrzymać równowagę, gdy postawią na nim ciężkie pakunki. Nawet stary kulisi potrafi dźwignąć trzy walizki, jednocześnie trzymając na ramionach dwie torby. Unosi ręce i ugina nogi — gdy sunie po peronie, wygląda jak bagażowa piramida płynąca w oceanie ludzkich głów.

Kulisi żyją u zbiegu dwóch światów, są strażnikami dawnego ładu, który — choć spychał ich nisko — zapewniał zajęcie. Krążąc po peronach jak czerwone latarnie, budzą melancholijne wspomnienia minionych podróży, gdy indyjskie koleje woziły członków książęcych rodzin i urzędniczą elitę Kompanii Wschodnioindyjskiej. Tragarze nie są jeszcze reliktem, bo wciąż — na wielkich dworcach i mniejszych stacjach — mają ręce pełne roboty. Ale przybywa podróżnych z wygodnymi walizkami na kółkach, Hindusów z klasy średniej, którzy wolą być niezależni niż obsługiwani. Także dlatego, że zawdzięczają własny awans schyłkowi klasowego porządku, wspięli się wyżej na przekór społecznym ograniczeniom. Przyzwyczajeni do samodzielności na lotniskach mijają kulisów jak staromodne dekoracje.

Ale dopóki wśród zamożnych będą ludzie chętni, by zademonstrować swą wyższość i złożyć na barki spoconego mężczyzny ładunek pogardy, którą sami od kogoś otrzymali, dworcowi kulisi mogą być spokojni o swój los. Jak powiedziała kiedyś indyjska pisarka Kiran Desai: „Hindusi specjalizują się w dystrybucji upokorzenia”.

Peron pustoszeje, zostają tylko wychudzone psy obwąchujące porzucone strzępki girland. I kilku ludzi pogrążonych we śnie. Po drugiej stronie torowiska automat powtarza, że za pół godziny odjedzie ekspres Kanyakumari,

pędzący w dół subkontynentu aż do leżącego na jego południowym krańcu przylądka Komoryn. Pasażerowie przepychają się we wszystkie strony. Przystają na chwilę przy drzwiach wagonu i na przyklejonej tam liście wypatrują swojego nazwiska, po czym szybko wsiadają. Wpychają bagaże pod kuszetkę albo, co nawet częstsze, stawiają je na siedzeniu i dopiero poganiani przez współpasażerów godzą się zestawić dobytek na podłogę. Tuż przed odjazdem w pociągu następuje chwila ciszy: ludzie z ulgą i zadowoleniem siedzą w bezruchu. Po czym, jak na sygnał, wydobywają skądś łańcuchy i kłódki, obwiązują nimi bagaże i przypinają do stalowych pętli, specjalnie dla tego celu umieszczonych pod siedzeniami.

Podróże bywają niebezpieczne, a złodzieje — brutalni i brawurowi. Najbardziej narażeni są pasażerowie drogich wagonów, podróżujący przez otoczony złą sławą Bihar, który nierzadko zmienia się w scenerię filmów z Dzikiego Zachodu. Złodzieje zatrzymują pociągi nocą, terroryzują podróżnych bronią, okradają i znikają w ciemności. Zdarzają się ofiary śmiertelne, także wśród funkcjonariuszy ochrony kolei, wyposażonych w karabiny z czasów drugiej wojny światowej.

Jedyną realną władzę sprawuje w pociągu konduktor, on też dysponuje budzącymi respekt insygniami — łopoczącymi na wietrze listami pasażerów oraz wszechmocnym długopisem pozwalającym dokonywać cudów. W wyprzedanym do cna pociągu znajdują się miejsca dla tych, którzy są skłonni hojnie podziękować, podczas gdy wielu pasażerów musi jakoś przełknąć wiadomość, że ich kuszетка została przypisana także komuś innemu.

Indyjski konduktor jest nierychliwy i bardzo nie lubi być

poganiany. Poplamiona wprawdzie, ale jednak biała koszula oraz widniejąca w klapie czarnej marynarki plakietka zapewniają mu nietykalność. W wybranym przez siebie momencie zjawi się, by poprowadzić podróżnych ku szczęśliwemu rozwiązaniu — tak czy inaczej, w tym czy innym wagonie, pod sufitem lub na podłodze, wszyscy dotrą do celu.

Władczy i gburowaci, ale skuteczni konduktorzy są desygnowanymi na konkretną trasę reprezentantami szczególnego państwa w państwie. Indyjskie koleje to jeden z największych pracodawców świata — zatrudniają ponad milion osób i codziennie przewożą około trzydziestu milionów ludzi. Jednak mimo że kursują do wszystkich zakątków kraju i są imponująco wydajnym środkiem lokomocji, mimo że to dzięki nim sprawna podróż przez Indie jest w ogóle możliwa, nie są w stanie zaspokoić potrzeb wszystkich chętnych.

Bilety trzeba kupować z dużym wyprzedzeniem, uważnie wypatrując luk w systemie rezerwacji. Jest on odzwierciedleniem społecznej struktury Indii — istnieje tak wiele klas, że gubią się w nich nawet urzędnicy. Każdy pracownik państwowy, emeryt, rencista, były członek lokalnego samorządu czy szef oddziału straży pożarnej może mieć pewność, że należy do jakiejś pasażerskiej subkategorii, która da mu pierwszeństwo w zakupie biletu, innych spychając na listę oczekujących. Figurowanie na niej gwarantuje zgodę na przejazd, ale nie miejscówkę. W każdym bowiem pociągu pewna — trzymana w tajemnicy — liczba miejsc pozostaje zarezerwowana na wypadek, gdyby nagle na podróż zdecydował się minister, zastępca sekretarza partii w regionie albo, dajmy na to, dyrektor

szpitala. Kolejowe kuszetki niczym się nie różnią od innych indyjskich zasobów — są dostępne, ale w pierwszej kolejności dla wybranych. Pozostali mają nadzieję.

Kto dostał się do pociągu i uzyskał od konduktora potwierdzenie, że jego przejazd jest legalny, może zrzucić *ćappale* i oddać się pasażerskim przyjemnościom — kołyszącej drzemce albo lepiej, rozmowie ze współpasażerami. W przeciwieństwie do Europejczyków Hindusi nie spędzają podróży, pilnując własnego nosa. Ciekawi ich życie innych. Jeszcze zanim pociąg ruszy, zaczynają się pierwsze pogawędki, które w miarę jak pojazd nabiera tempa, ożywiają się. Podróż, w szczególności daleka, zbliża i jest okazją do wymiany poglądów w sprawach drobnych i doniosłych, dowiedzenia się czegoś o świecie i okazania serdeczności.

Hindusi jadą zawsze w ważnym celu. Turystyka, choć uprawia ją coraz więcej osób, jest wciąż jedną z najrzadszych motywacji do wyjazdu. Dotyczy najzamożniejszych i intensyfikuje się według dość schematycznego terminarza — latem jeździ się do górskich miejscowości, gdzie temperatury są niższe, a powietrze mniej wilgotne. Uzdrowiska znajdują się nie tylko w Himalajach — także południowe stany mają dość górzystych terenów, by lokalna elita, wystrojona w sportowe buty i dresy, mogła tam złapać głęboki oddech.

Z reguły jednak podróż nie jest urlopem od życia, ale jego istotną częścią — wiążą się z nią duże oczekiwania i wysiłki. Hindusi jadą, gdy mają coś do zrobienia. Inaczej mówiąc — każdej podróży towarzyszy jakaś intencja. Pulchna nastolatka z zaplecionym starannie warkoczem

wsiada do pociągu z ojcem. Jej śliwkowy *salwar* kontrastuje z beżowymi spodniami i koszulą ojca. Mają trzy nowiutkie walizki i torbę z jedzeniem, zapakowaną przez mamę, która pożegnała się z nimi w domu, a nie na zatłoczonym peronie. Córka za trzy tygodnie rozpoczyna studia, a ojciec odwozi ją, bo po pierwsze młodej pannie nie wypada podróżować samej, po drugie ktoś musi się upewnić, że wynajęty pokój w bursie dla dziewcząt będzie dla niej odpowiedni. On czyta gazetę, ona patrzy przez okno — jej oczy lśnią z powodu rozstania z matką, a może z ekscytacji.

Nie są rozmowni, bo sąsiednie leżanki zajęła uboga rodzina z Bangladeszu. Wychudzony, przedwcześnie postarzały ojciec usiadł pod oknem i ciężko dyszy. Obok usadowiła się zażywna matka, której urody nie zdołał ukryć nawet czarny *nikab*[28]. Piękne oczy i pełne usta bez przerwy się uśmiechają. Ich walizki dźwiga syn, dwudziestolatek z okazałą czupryną. Upewniając się, że rodzicom niczego nie trzeba, wchodzi na górną leżankę, a w uszy wciska słuchawki telefonu komórkowego. Co chwilę jednak zerka na pokasłującego ojca.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy chłopak zarobił i wydał fortunę: wszystko poszło na łapówki. Ojciec jest chory, więc jadą do jednego z najlepszych kardiologicznych szpitali w Indiach. Ma mieć operację. Chłopak cztery tygodnie walczył o indyjskie wize i łóżko w szpitalu. Opowiada o tym jak o młodzińczej przygodzie, dumny, że swą determinacją pokonał tyle bezdusznych barier. Teraz już są w pociągu, wszystko będzie dobrze. Uśmiecha się, ale tylko na chwilę, bo ojcem znów szarpnął atak kaszlu.

Nieco dalej dwie boczne kuszетки zajęła czteroosobowa

rodzina. Milcząca i filigranowa matka o dziewczęcej twarzy zdaje się niewiele starsza od dwóch córek. Owinęła się szczelnie kolorowym sari i próbuje spać. Jej stopy zwisają z leżanki; wytarta jasna skóra kontrastuje z ciemnymi łydkami, na palcach połyskują srebrne pierścionki, na kostkach — *pajale*, bransolety z dzwoneczkami. Dziewczynki siedzą obok, jedna przy drugiej, i obserwują życie pociągu, przegryzając kupioną na peronie mieszankę orzeszków. Młodsza ma świeżo ogoloną głowę. Rodzina wraca ze świątyni, w której złożyła włosy dziewczynki w ofierze.

Ojciec przeniósł się na sąsiednie siedzenie i rozmawia z ubranym niemal identycznie — w prostą szarą koszulę, spodnie w kant i czarne *ćappale* — nowym znajomym. Mówią cicho, właściwie więcej gestykują. Inaczej niż dwaj otyli mężczyźni niemal krzyczący do siebie z dwóch kuszetek oddalonych o metr. Sądząc po oficjalnych strojach — nie zdjęli jeszcze marynarek i nie pozwolili sobie na luksus zrzućcia butów — podróżują w interesach.

Nocą, gdy zawieszona pod sufitem lampy gasną, oświetlony pozostaje tylko fragment korytarza przy cuchnących toaletach. Tam gromadzą się ci, dla których nie starczyło miejscówek. Tym razem spora grupa wyznawców Śiwy, ubrana w jaskrawe szafranowe stroje i otulona szalami. Nie mają przy sobie bagaży, tylko kilka tobołków służących jako poduszki. Ich pomarańczowe sylwetki, we śnie skurczone i kruche, kołyszą się na boki. Lśnią nienaturalnie w ostrym jarzeniowym świetle, przypominają barwnie zdobione figurki bogów.

Żaden wyznawca hinduizmu nie jest w swych

podróżnych wysiłkach osamotniony, a jeśli trudy dają mu się we znaki, zawsze może się pokrzepić myślą o tym, że z jeżdżeniem, lataniem i pływaniem kłopoty miewają nawet bogowie. Hinduski panteon nie jest statyczny: rusza się i pulsuje życiem, a mityczne bóstwa i demony ciągle się przemieszczają, by — podobnie jak współcześni ludzie — załatwić sprawy niecierpiące zwłoki. Najwcześniej wyruszają niebiańskie bliźnięta — Aświnowie, nierozłączni i prędcy. Pojawiają się na niebie o świcie. Pędzą złotym rydwanem, podobnym do słońca i szybszym niż myśli. Objeżdżają niebo i ziemię, rozprasząc mrok i przynosząc jasność. Szybując wysoko, być może widują czasem Brahmę, który na swą *wahanę* — wierzchowca przysługującego każdemu z bogów — wybrał gęś słynącą w Indiach z wysokiego i pełnego gracji lotu.

Znacznie mniej elegancko, ale za to z przewrotną fantazją, bo wbrew proporcjom, porusza się tęgi Ganeśa. Wozi go na swoich plecach zwinny szczur. Niosąca śmierć demonom Durga straszy swych wrogów z daleka — dosiada tygrysa lub lwa. Subtelniej przemieszcza się łagodna Lakszmi, którą nosi na swym karku biała sowa. Król bogów Indra, patrzący na świat z wysokości swego boskiego urzędu, z reguły porusza się górującym nad innymi zwierzętami słoniem. Ale kiedy wybiera rydwan, musi się mocno trzymać, bo będący na jego usługach Matali, najlepszy woźnica świata, kocha prędkość i ostrą jazdę. Zaczepiony na rydwanie granatowy proporzec łopocze na wietrze, a pędzącemu pojazdowi towarzyszy niebiańska orkiestra.

Kubera, bóg bogactwa — niezbyt przystojny jegomość o posturze trójnogiego karła — leczy swoje kompleksy,

ściskając w dłoni szkatułkę pełną klejnotów, zaś jego ulubionym środkiem transportu jest człowiek. Najniezwyklejszą jednak *wahanę* i towarzysza podróży zyskał Wisznu w osobie Garudy — pół człowieka, pół ptaka o czerwonych skrzydłach, białej twarzy i złotym ciele. Na jego narodziny matka musiała czekać aż pięćset lat, ale gdy już się wykluł z jaja, umiał dotrzeć wszędzie — raz poszybował aż do nieba i wykradł bogom życiodajny nektar — *amrytę*.

Symboliczną *wahaną* Indii pozostają pociągi, stalowe węże, które zwykle wyruszają punktualnie, ale rzadko docierają na czas. Pędzą w mroku i słońcu, rozbijając swym czołem monsunowe ulewy i pustynne trąby powietrzne. Pokonują najniebezpieczniejsze rejony i te przeklęte. Przed laty, gdy rodziły się niepodległe Indie, woziły śmierć. Na stacjach po indyjskiej stronie wsiadały przerażone pogromami muzułmańskie rodziny, gdzieś w drodze na pociągi napadały mordercze demony i gdy wagony — tak samo jak dziś — powoli wtaczały się na pakistańskie dworce, z ich okien nie wyglądały ciekawe twarze, ale rozłupane czaszki, zakrwawione ramiona, odcięte nogi. W drodze powrotnej tak samo bestialsko ginęli hinduscy uciekinierzy z Pakistanu.

Ale dziś indyjskie koleje wiozą życie — są arteriami wielkiego kraju, w którym setki milionów ludzi poruszają się we wszystkich kierunkach. Jadą odwiedzić rodzinę, pokłonić się bogom, poprosić o łaskę albo o pożyczkę, odzyskać zdrowie i uwolnić dusze zmarłych, spróbować życia w mieście, wrócić do życia na wsi, wydać córkę za mąż, przywieźć nową synową do domu. Indie podróżują

jednocześnie na Zachód i na Wschód, pędzą ku nowoczesności i ciągną ku tradycji, poruszają się naprzód i wrzucają wsteczny bieg. Dokąd zmierzają, wie tylko Wielki Konduktor.

Korowód nędzarzy

Bieda pierwsza rzuca się w oczy. Nie ukrywa się, leży na ulicy. Dla przyjeźdnego jest jak niespodziewany policzek, dawka goryczy na powitanie. Rozkłada się, bo jest u siebie. Ci, którzy nie mają dokąd pójść, wegetują na widoku, nie pozwalają o sobie zapomnieć. Ubóstwo odebrało im nawet możliwość cierpienia w spokoju, na osobności.

Nędza jest tak rozpowszechniona, tak trwała i uporczywa, że powieki same zaciskają się w reakcji obronnej. Ale odwracanie wzroku nic nie da — wolne od ubóstwa są jedynie skrawki indyjskiej rzeczywistości, małe wysepki oferujące iluzoryczną ucieczkę. Opływa je ocean bezsilności i strachu, prędzej czy później trzeba się w nim zanurzyć.

W oczekiwaniu na zielone światło setki pojazdów wytwarzają jednostajny huk, od którego drży rozpalony słońcem asfalt. Zniecierpliwieni kierowcy pokrzykują, jakby mogli w ten sposób nakłonić sygnalizację świetlną do zmiany rytmu, klaksony wtórują naciskanym nerwowo pedałem gazu. Mimo to słychać wyraźnie, że się zbliżają. Stwardniałe stopy biegną po asfalcie. Przeciskają się wśród samochodów, motorów i riksów, omijają autobusy i ciężarówki. Okna pojazdów są za wysoko, nie da się zajrzeć

ludziom w oczy. A nie wystarczy wyciągnąć rękę, trzeba spojrzeć — przenikliwie i boleśnie, może wtedy dadzą jakieś pieniądze. Najlepiej podchodzić wprost do taksówek — ich okna zwykle pozostają otwarte — albo do riksz, bo osłania je tylko dach — pasażerowie są dostępni, nie tak jak ci w prywatnych samochodach z przyciemnionymi szybami. Można ich szturchnąć palcem, pociągnąć za ubranie, chwycić za kolano, wziąć za rękę. Skuteczniej błagać i osaczać.

Najstarsza dziewczynka podeszła z lewej strony, młodsza i chłopiec stanęli z prawej. Ona w poczerniałej sukience z bufkami, ma na głowie dwa splątane kucyki. Oni w podartych spodenkach i podziurawionych podkoszulkach, ze zmierzwionymi kołtunami. Zjawili się w ułamku sekundy i równocześnie rozpoczęli prośby. Zawodzą, wyciągając ręce. Chcą dotknąć i w ten sposób odcisnąć piętno, które poruszy, urazi lub przestraszy — wszystko jedno, byle zdobyć datek. Będą poklepywać, głaskać, ścisnąć do skutku, wiedzą, że najważniejsza jest wytrwałość.

Rzadko kto dzieli się pieniędzmi w odruchu serca, większość ludzi nie wytrzymuje napięcia, bliskości biedy, gnębiącego poczucia winy. Uwalniają się jedną monetą. Wielu żebraków nauczyło się używać swej niedoli jak broni — obracają ostrze przeciw zamożniejszym od siebie, wbijają je głęboko i przytrzymują, czekając, aż ofiara skapitułuje.

Trójka malców pracuje na tym skrzyżowaniu na stałe — ruchliwa ulica bez przerwy się korkuje, zwiększając szansę na zarobek. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że żebrzą

wspólnie. Podchodzą do pojazdów razem, potrając presję, albo szybko rozbiegają się w różnych kierunkach, by powtarzając błagalną mantrę, kruszyć opór wielu kierowców. Muszą się spieszyć, mają kilka minut, nim kawalkada pojazdów znów ruszy. Schodzą z jezdni niespiesznie i niechętnie.

Gdy czerwone światło znów się zapala, zeskakują z wysokiego krawężnika i zaczynają krążyć między rozgrzаныmi maskami samochodów, kłębami spalin i smrodem gorących opon. Tym razem się rozdzielili. Chłopiec miał wyjątkowe szczęście, dostał nie monetę, ale dziesięciorupiowy banknot. Ściska zdobycz w dłoni, ale jest już przy nim starsza dziewczynka. Zaczyna go szarpać i bić. Chłopak — dużo mniejszy, słabszy i przestraszony — nie ma szans. Jedno silne pchnięcie i leży na asfalcie. Broni się wrzaskiem, pięściami, kopniakami.

Przegrywają oboje — w jego dłoni zostaje połowa zmiętoszonego banknotu. Drugą rozwścieczona dziewczyna ciska na ziemię. Chłopiec wyje, łzy zalewają brudne policzki, lśnią przez chwilę i szybko zasychają, zostawiając brudne ślady. Zaciśnięte pięści uderzają w asfalt, ale nikt nie przychodzi z pomocą.

Rozzłoszczeni zamieszaniem rikszarze groźnie pokrzykują, pasażerowie gapią się z niezmienną obojętnością. I nagle nad małą ofiarą miejskiej nędzy rozlega się złośliwy śmiech, głośny i nieludzki, przypominający chichot hieny. Bardziej bezlitosny niż scena, która się przed chwilą rozegrała. To siedząca w jednej z riks *hidźra*[29], rozbawiona dziecięcą wojną. Korzysta z okazji, by upodlić płótkę żebraczego biznesu, w którym ona i jej podobne zajmują dużo wyższą pozycję.

Wykpiwa uczucia, jakie w niej już umarły — żyła wśród wyrzutków dość długo, aby się ich wyzbyć. Patrzy nienawistnie na dziecko, które jeszcze wierzy, że ma prawo do okazywania bólu i wołania o pomoc. Jej chichot jest bezduszną puentą: nie ma nadziei.

Zebrzące dzieci nie są rodziną ani nawet sojusznikami, najpewniej cała trójka pracuje dla gangu. Cokolwiek wydobędą od ludzi, oddadzą swoim patronom. Nie są samodzielne, ich ubóstwem ktoś zarządza, ktoś je wykorzystuje i umacnia. Jednym z powodów, dla których indyjska bieda nie maleje, jest to, że wielu na niej zarabia. Faktyczne ubóstwo jest poddawane perwersyjnej obróbce, prawdziwie dramatyczne życiorysy są pisane na nowo, by w melodramatycznej formie skuteczniej wyciskać łzy i pieniądze z naiwnych.

Zręcznie zaplanowane sytuacje rozgrywają się jak filmowe epizody, reżyserzy zebraczej telenoweli rozstawiają wnyki w różnych częściach miasta, wypuszczają nagonkę w teren i czekają na łupy. Sympatyczna gromadka dzieci namawia wzruszonego turystę, by im kupił paczkę chipsów. Z radością chwytają podarunek i pędzą za róg, wprost do sklepu spożywczego, gdzie odsprzedają chipsy i dzielą się dochodem ze sklepikarzami, którzy na tej samej paczce zarabiają kilka razy.

Młoda matka z noworodkiem śpiącym na ramieniu prosi o pomoc. Nie, nie o pieniądze. O puszkę mleka w proszku, bo dziecko jest chore i nie przyjmuje naturalnego pokarmu. Ta puszka także ponownie znajdzie się w obrocie handlowym. Wszystkie turystyczne zagłębienia w Indiach to

dla zebrzących eldorado, ale także pole zacieklej rywalizacji.

Obcokrajowców tym łatwiej oszukać lub nakłonić do datków, że wielu z nich cierpi na syndrom byłego kolonizatora, który — przekonany o historycznej odpowiedzialności białego człowieka za ogrom azjatyckiej biedy — chętniej sięga po portfel. Jeśli znalazł się w tym świecie niedawno, jest zbyt przytłoczony, aby zwrócić uwagę na precyzyjną aranżację scen błagania, na regularność, z jaką te same postaci pojawiają się na posterunkach i ponawiają prośby. Nie zauważa ich profesjonalizmu, błysku wyrachowania w oku.

Przy wejściu na Main Bazaar, długą aleję wypełnioną sklepami i hotelikami, sąsiadującą z dworcem kolejowym New Delhi, pojawiał się co rano kaleka zdeformowany tak potwornie, że trudno było określić jego wiek. Poczerniała, wykrzywiona bólem twarz mogła należeć do starca lub młodzieńca. Nie miał rąk ani nóg. Promienie z każdą godziną rozgrzewały asfalt, zmuszając go do makabrycznego tańca — przewracania się z boku na plecy i z powrotem, ratowania palonej gorącym skóry. Konwulsyjne poszukiwanie ulgi trwało do wieczora. Leżące obok srebrne monety lśniły w słońcu, dopełniając obrazu rozpacz. Trzeba było zatrzymać wzrok, pokonać pierwszy szok, bezradność i odrazę, żeby dostrzec najgorsze: ten człowiek nie mógł sam zebrać rozsypanych rupii, nie dostał się tu o własnych siłach. Ktoś go przyniósł i ktoś zabierze jego zarobek. Kaleka został wystawiony na ludzkie spojrzenia jak budząca trwogę i litość cyrkowa atrakcja — doznanie warte rupię lub dwie.

Kalectwo, upośledzenie, choroba — to przekleństwa, które skazują tysiące ludzi na żebraczą tułaczkę, a jednocześnie stają się ich orężem w walce o współczucie i jałmużnę. Ubóstwu towarzyszą wszelkie nieszczęścia, odciskające ślady na ludzkich ciałach. Brud, niedożywienie i brak opieki medycznej potęgują choroby. Można odnieść wrażenie, że wszystkie ciemne moce sprzysięły się, by w Indiach przybrać najpotworniejsze formy i wcielić się w ludzi pozbawionych kończyn, skurczonych i splątanych, tracących skórę, oszpeconych.

Wybiegiem, na który muszą co dzień wychodzić, by pokazywać swój ból, są nie tylko ulice. Nieszczęśnicy z małych miasteczek i wsi szukają szansy w pociągach — przez wagony nieprzerwanie ciągnie korowód nędzarzy dotkniętych wszystkimi znanymi plagami.

Stukot drewnianego kija zapowiada nadejście ślepcy. Staruszek w zeszmaczonej kurcie i podwiniętym wysoko *dhoti* jest prowadzony przez młodą kobietę, która podtrzymuje go za ramię, gdy przechodzą wąskim korytarzem, zatrzymując się co kilka kroków. Starzec nie przestaje śpiewać, drżącym głosem próbuje odtworzyć popularną piosenkę. Melodia ginie gdzieś w głębi jego wyschniętego gardła, łamie się, potem wraca na wers lub dwa. Ślepiec stara się wykonać swą pracę do końca, choć pogodna piosenka w jego wykonaniu zmienia się w żałosny lament. Puste oczodoły zabiły się i pociemniały już dawno, spalona i spękana skóra lśni niczym rybie łuski. Wychudzone nogi szurają ciężko, smętnie akompaniując żebraczej pieśni. Starzec odchodzi.

Zaraz przyjdą inni. Fotoplastikon prezentuje kolejne przeźrocza, zmienia portrety cierpienia. Między bagaże i

stopy wciskają się końce drewnianych kul — młody mężczyzna przenosi ciężar ciała, kołysany rytmem pociągu. Powtarza prośby, wskazując na kikut obciętej nad kolanem nogi. Postoi chwilę, zmęczony, zrezygnowany, nawykły do rozczarowań, po czym ruszy dalej.

Wychudzona staruszka owinęła się sari — tak znoszonym i spranym, że wszystkie zdobiące je wzory zniknęły, została tylko zielonkawa lamówka. Kobieta składa pooraną dłoń w kubeczek, nachyla się nad pasażerami, przybliży wypaloną słońcem twarz. Głębokie i gęste zmarszczki szatkują zwiotczałą skórę, biegną wzdłuż zapadniętych z głodu policzków. Mówią o życiu pełnym trudu, o pracy w polu, kilku porodach, chorobach, dzieciach, które odeszły, i mężu, który zmarł.

Bezzębne usta zapadły się do wewnątrz, zmęczone powtarzaniem próśb. Rozchylają się lekko w błagalnym grymasie, zastygającym na granicy uśmiechu i płaczu. Ruchliwe i czujne pozostają tylko oczy — lśnią niczym ogniki. One jedne mają jeszcze siłę, mogą wybłagać ratunek. Staruszka nie śpiewa, jej jedynym tytułem do zebrania są starość i osamotnienie, które przyciskają ją do ziemi. Skulony kręgosłup dźwiga jakiś niewidzialny ciężar, sprawiając, że kobieta maleje. Życie uchodzi z niej stopniowo, cielesne rusztowanie zaczyna się walić. Kilka monet pomoże przetrwać do jutra.

W głębi wagonu słychać szuranie: to jeden z kalekich chłopców, którzy już wiedzą, że obcięta noga lub ręka nie wystarczy, aby zapewnić przeżycie. Takie nieszczęście jest zbyt powszechne i banalne, by kogoś przekonać. Dlatego w sprawną dłoń lub stopę chwyta szmatę i sunie nią po

podłodze. Wciska się między pasażerów, nurkuje pod leżanki, wymiata śmieci. Unosząc się na kikutach, przesuwa przed sobą rosnącą kupę nieczystości.

Nie zatrzymuje się, aż dotrze do końca wagonu, którego drzwi są zamykane tylko w nocy. Jednym pociągnięciem szmaty wypycha śmieci na zewnątrz, a pęd powietrza rozrzuca je wzdłuż nasypu. I wtedy znów słysząc szuranie — sprzątaczkę wraca po zapłatę. Teraz przesuwa się wolniej, uważnie patrząc w górę, na twarze podróżnych. Nic nie mówi, czasem tylko trąci kogoś w kolano, dając znać, że czeka.

Wypatruje zamożniejszych i przy nich siedzi dłużej, ale jego starania zwykle są ignorowane. Wykonał pracę, o którą nikt go nie prosił i która nic nie zmieniła w komforcie jazdy brudnym pociągiem. Jak inne zmuszone do żebraczej pracy dzieci ma twarz dorosłego człowieka. Poważnego, zajętego przetrwaniem.

Ubogie indyjskie dzieci rzadko płaczą i nie domagają się uwagi. Im biedniejsze się rodzą, tym więcej w nich uległości i cichej zgody, jakby instynktownie rozumiały swoje położenie. Te mieszkające na chodnikach same zajmują się sobą, gdy zmęczona upałem matka śpi. Nie krzyczą, nie tarmoszą jej za rękaw. Są przyzwyczajone do braku opieki i samodzielności. Ich dzieciństwo kończy się, gdy podrosną na tyle, by móc pomagać i zarabiać.

Cokolwiek robią — sprzątają, sortują śmieci, noszą wodę, zbierają drewno, rozpalają ogień, pomagają w jadłodajniach, roznoszą herbatę, sprzedają owoce — wykonują zadania bez taryfy ulgowej. Traktują pracę serio, z poczuciem odpowiedzialności, ze świadomością, że

powierzono im ważne zajęcie. Kilkuletni chłopcy prowadzą małe, ale dochodowe uliczne biznesy. Noszą spodnie w kant i podkoszulki, jak ich ojcowie. Nie uśmiechają się do klientów z dziecięcym urokiem i ciekawością — liczą pieniądze, śpieszą się, targują, naganiają następnych. Wszystko z determinacją i surową miną ludzi doświadczonych.

Ten wyraz twarzy już z nimi zostanie i zawsze będzie ich odróżniał od pryszczatych chłopaków wracających ze szkoły w mundurkach, rozchylających w uśmiechu pulchne policzki. Nadopiekuńcza matka już czeka z jedzeniem, którym własnoręcznie będzie karmić nastolatka. W zamożnych indyjskich rodzinach syn jest bogiem, w ubogich — jedyną nadzieją.

Okaleczeni pociągowi sprzątacze mają twarze pozbawione wyrazu. Nie widać zniecierpliwienia, chęci ucieczki ani buntu. Odchodzą z pieniędzmi lub bez, zawsze z tą samą pustką w oczach. Brzęk monety nie ulży cierpieniom, nie uwolni od egzystencji między wagonami. Niczego nie zmieni. Pozwoli tylko przetrwać, a tym samym przedłuży cierpienie i nada sens tułaczce, potwierdzi jej celowość, jeszcze dobitniej na nią skazując.

Zebraczych twarzy nie rozjaśnia wdzięczność, pozostają zasnute beznadzieją i znużone. Chłopiec, który na ulicy w Kalkucie podskakiwał z radości i chwalił się głośno, gdy dostał pięć rupii, był wyjątkiem. Umęczonym pielgrzymom ubóstwa, przemierzającym tę samą drogę od zawsze i na zawsze, tylko czasem wystarcza sił, by unieść dłoń do czoła w geście łączącym podziękowanie i błogosławieństwo — niech ci sami bogowie, którzy mnie skazali na cierpienie,

tobie sprzyjają.

Po sprzątaczu pojawia się mężczyzna bez nóg, jeżdżący w małym drewnianym wózku. Odpycha się od ziemi dłońmi, na które — jako że zastępują mu stopy — włożył buty. Dalej dwójka ślepców trzymających się za ręce, błyskających niewidzącymi białkami. I domorośli cyrkowcy, chłopiec i dziewczynka, z kasty słynącej z efektownych sztuczek. Repertuar dostosowują do okoliczności: na ulicach, gdzie mają więcej miejsca, przy akompaniamencie bębnów wykonują salta, gwiazdy i wyskoki. W wąskim pociągowym korytarzu prezentują numer z dwoma stalowymi obręczami, przez które przeciskają się oboje jednocześnie, wciągając brzuchy i zakładając pięty za ucho. Spleceni nogami i ramionami zamieniają się w pędzącą kulę — turlają się z jednego końca wagonu na drugi. Po występie, którego nigdy nie nagradzają brawa, prędko obciągają podwinięte ubrania i zbierają pieniądze. Chłopcu teatralnej powagi dodają wymalowane pod nosem wąsy.

Solowy program artystyczny prezentuje nieco starszy chłopak: wszedł do wagonu bez koszuli, na biodrach ma tylko *lungi*. Obie ręce amputowane w łokciach. Zaczyna śpiewać bollywoodzki szlagier — ładnie i głośno. Uderzając kikutami o żebra, wystukuje rytm piosenki. Repertuar ma bogaty, w rękach dużo siły. Żebraczy marazm i rutynę pokonuje talentem i fantazją.

Po nim przyjdą jeszcze nastoletnia dziewczyna z dzieckiem na ręku oraz trędowaci pozbawieni palców, stóp, nosów. Będą pobrzękiwać monetami w aluminiowych kubkach, wznosić okrzyki, błagać i zawodzić. Aż wreszcie, w zupełnej ciszy, zjawi się człowiek z obrazu Muncha,

wcielenie trwogi i niemego krzyku. Lewa strona jego twarzy jest ściągnięta w dół, skóra z policzka i brody przywiera do klatki piersiowej jak zastygła lawa.

Młody chłopak — zdrowa połowa przystojnej i kształtnej buzi liczy nie więcej niż kilkanaście lat — stoi skulony, z głową trwale już pochyloną, jakby próbował ją ukryć w ramionach, przerażony i zawstydzony spojrzeniami. Trwa nieruchomo, obserwując podróżnych z bezgranicznym smutkiem i oczekiwaniem. Uwięziony w swym okaleczeniu stał się żywą raną. Już zawsze będzie się tułał, budząc strach i odrazę. Obraca się powoli w prawo i w lewo, prezentując swą tragedię w całej straszliwości. Otacza go paralizująca cisza.

Pociąg wjeżdża na stację, przez kraty do wagonów wsuwają się chude dłonie. Korowód proszących przesuwają się teraz i w środku, i wzdłuż wagonów. Kolejne znużone twarze, kolejne błagalne gesty, palce przytykane do ust na znak głodu. Niekończąca się parada ludzkiej nędzy.

Afgański mistyk Haji Ali został pochowany w Morzu Arabskim. Muzułmanie z Bombaju wybudowali mu okazały grobowiec na wodzie. Biały marmurowy kompleks ze strzelistymi minaretami stoi w południowej części miasta, prowadzi do niego wąski nasyp. W czasie silnych przyływów Haji Ali jest sam, otoczony przez fale, odcięty od lądu i niedostępny. Nocami towarzyszy mu księżyc, wielki i nisko zwieszony. W czarnej wodzie odbijają się światła jednego z najwspanialszych indyjskich miast, pysznącego się swym szykiem i pięknem.

Muzułmańska budowla majaczy w morzu jak cudowne przywidzenie. Ale kiedy woda cofa się i opada, odsłania

szpetne dno oraz poczerniałe nabrzeże. Grobowiec już nie hipnotyzuje — wygląda jak okręt wyrzucony na brzeg. Do jego bram ciągnie karawana wiernych, którzy chcą się pomodlić i złożyć na grobie chustę lub girlandę z kwiatów.

Jednak zanim dojdą na miejsce, odbędą pokutę — snu Haji Alego pilnuje żebracza armia, rozstawiona po obu stronach nasypu. Tworzy szpaler, którego nie da się ominąć. Ze wszystkich stron dochodzi wołanie: „O, Boże!”. Okrzyki, wersety Koranu i błagania łączą się w dręczącą pieśń. Metalowe miski i drewniane kule uderzają o ziemię, nerwowo podrygują obcięte kikuty.

Droga nie ma końca, wąska alejka jest zatłoczona, ludzie przeciskają się z trudem w rytm pobrzękujących monet. Żebracy skryli się w pobliżu świętego, szukając boskiej ochrony i współczucia wiernych, których religijnym obowiązkiem jest dawanie jałmużny. Tu, wśród bogobojnych przybyszów, kalecy są wysłannikami Najwyższego, czytelnym znakiem jego woli, która może zmienić życie w koszmar. Ich cierpienie nabiera wyższego duchowego wymiaru, staje się przestrogą i ofiarą. Póki tu są, nie grożą im bezduszne gesty. Nie błądzą sami po ulicach — tworzą chór, którego przechodnie słuchają z pochylonymi głowami. Tylko tu, bliżej Boga, mogą liczyć na odrobinę szacunku.

Indyjscy żebracy muszą radzić sobie z ludzką obojętnością, ale rzadko spotykają się z pogardą. Potrzebujących pomocy jest zbyt wielu, by zepchnąć ich na margines, skutecznie wykluczyć. Żebracy opanowują najruchliwsze skrzyżowania, witryny ekskluzywnych sklepów, dworcowe hale, przejścia dla pieszych i parkowe

bramy. Chwytają za rękę w tłumie, czekają przed sklepem i cukiernią, krążą wokół kin, przesiadują na schodach banków i na poczcie. Hindusi przyjmują ich obecność jak coś oczywistego. Są uciążliwi, ale nieusuwalni.

Bieda i nieszczęścia są wpisane w hierarchiczny ład społeczny — skomplikowana kastowa i klasowa piramida jak niepowstrzymany wodospad przesuwając upokorzenie, głód i cierpienie w dół, tam, gdzie ich miejsce. Hindusi uznają, że każdy człowiek przychodzi na świat we wcieleniu, na które zasłużył w poprzednich żywotach. Jakikolwiek nieszczęście go dotyka, nie zostało mu zesłane przez ślepy los; jest konsekwencją jego czynów.

Uznanie istnienia wyższego porządku paraliżuje ubogich, bo umacnia stan faktyczny, uniemożliwia tworzenie nowych norm. Wciąż prawomocny jest ład klasowy, sprzyjający interesom najwyższej urodzonych. Starszy i trwalszy niż prawa i wolności zapisane w najdłuższej konstytucji świata. Służy nie wspólnotowości i wyrównywaniu szans, przeciwnie — został skonstruowany, by zachować wyraźne granice, dokładnie odseparować grupy społeczne. Każdy hindus, rodząc się, nabywa precyzyjnie zdefiniowany status, który określa jego rolę, możliwości, a przede wszystkim zakazy.

Wiara w reinkarnację, nagrody i kary wymierzane przez bogów długo zapewniały indyjskiej demokracji relatywną stabilność i spokój, bo jej najubożsi i najbardziej zdesperowani obywatele akceptowali boskie wyroki. Rolnicy, których uprawy niszczą susze, nie wygrażają bogom i nie pikietują biur lokalnych władz, domagając się pomocy. Popełniają samobójstwa. W wywiadach dla gazet

ich krewni mówią: „Taki nasz los, przyszliśmy na ten świat, by cierpieć”.

Wielkomięscy żebracy nie wyszarpują portfeli z rąk biznesmenów; większości z nich nawet skrajna bieda nie skłania do przestępstw. Czasem uwieszają się u ramienia albo przytrzymują za nogę, ale w końcu odchodzą. Choć głód i niedożywienie dotyczą jedną trzecią społeczeństwa, indyjskie rządy nie muszą tłumić zamieszek ani wybuchów społecznego buntu. A zamożni mieszkańcy Delhi czy Bangaluru nie żyją sterroryzowani wściekłością wykluczonych, jak elity Rio de Janeiro. Nie muszą chodzić do pracy z bronią ani ogradzać swych posiadłości drutem kolczastym. Kupują mieszkania w zamkniętych osiedlach nie ze strachu, ale dlatego że mają dość patrzenia na biedę. Ubóstwo nie czyha, by ich napaść za rogiem, co najwyżej psuje widok z okna.

Ale im szybciej pogłębia się rozdzźwięk między bogatymi a biednymi, tym bardziej Hindusi przybliżają się do latynoskiego scenariusza.

Rozrastająca się szybko klasa średnia jest agresywna i niepohamowana w swych żądaniach — potrzebuje więcej przestrzeni, elektryczności, wody, szerszych dróg i większych lotnisk. Hipermarketów, równych chodników, zadbanych parków, basenów, siłowni i klimatyzowanych biur. Chce nowego, wspaniałego świata. I buduje go na plecach biedoty — slumsy znikają, a na ich miejscu wyrastają nowe osiedla.

Wielkie sklepy spożywcze wykańczają handlarzy i rolników utrzymujących się dzięki targowiskom. Bezrobotni riksarze patrzą, jak młodzi biznesmeni suną do firm

własnymi samochodami. A po pracy nie mogą nawet pójść do kina, bo te stare, z tanimi biletami, upadły. Rozkwitają natomiast pięciokrotnie droższe multipleksy. Rośnie przepaść i złość. Metropolie są pełne zdesperowanych wieśniaków, którzy porzucili dotychczasowe życie. Budzą się na chodniku, patrzą na bogactwo, a sami nie mają nic. Nic do stracenia. I coraz częściej rezygnują z bierności, decydują się na cios. Policja informuje o niespotykanych wcześniej aktach przemocy, kradzieżach i morderstwach dokonanych z wyjątkową brutalnością, zabójstwach za drobne kwoty i nienawistnym torturowaniu ofiar. W mieście pojawiła się nowa zaraza.

Hindusi z klasy średniej mają jedno wspólne marzenie: oddzielić się od biedy. Otacza ich na co dzień, ciąży na sumieniu, komplikuje interesy. Wielu ucieka od niej faktycznie: emigrują, by dorabiać się w spokoju, a przy każdej wizycie w ojczyźnie wzdychać, krytykować i narzekać. Inni emigrują do lepszych dzielnic i droższych restauracji. Chowają się w bollywoodzkich fabułach, których akcja toczy się za granicą.

Jednak bieda, ta cicha i wytrwała zjawia, drepcze tuż za nimi.

Rozkłada się wprost na ścieżce sukcesu, w przejściach między nowymi rezydencjami. Przenika wszelkie sfery życia i nie poddaje się kontroli, a im bardziej jest przez władzę i elity ignorowana, tym szybciej uczy się samoorganizacji.

Ci, którym państwo nie zapewnia pracy ani dachu nad głową, budują alternatywny świat — republikę samorządnej i niezależnej biedoty. Anektują publiczne

budowie, a do nowych siedlisk podciągają prąd i wodę. Wyciągają ze śmietnika wszystko, czego bogaci chcą się pozbyć. I z tych odpadków budują im przed nosem swój brzydki, cuchnący świat.

Wypędzani wracają. Co dzień rano są z powrotem na ulicy, rozstawiają garnki, rozciągają szmaty, stawiają wielki transparent: „Nigdy stąd nie odejdziemy”. A elity — ekonomiści, biznesmeni i aktorzy — opowiadają sobie nawzajem baśń o tym, jak ich bogactwo w wyniku nieubłaganej logiki rynku potoczy się w dół społecznej drabiny, by napęlić żołądki biednych. Mówią o tym na przyjęciach i konferencjach, dla pewności powtarzają w telewizji i w gazetach, przede wszystkim po angielsku, czyli w języku, którego najbiedniejsi nie rozumieją.

Rozumieli, gdy w latach siedemdziesiątych XX wieku Indira Gandhi obiecała im, że „usunie biedę”. Dwa słowa w hindi — *Garibi Hatao!* — wyniosły ją na szczyt władzy. Uwielbiana i czczona jako ucieleśnienie Matki Indii miała roztoczyć opiekę nad masami, które cierpiały nędzę i głód bardziej dotkliwy i rozpowszechniony niż współcześnie. Stworzyła harmonogram historycznych zmian. Jednak zamiast pomocy biedacy zobaczyli buldożery niszczące ich prowizoryczne domy. Usuwanie biedy dokonywało się dosłownie — przez likwidację slumsów.

Opiekuńcze ramiona pani premier wkrótce zacisnęły się w żelaznym uścisku — ustała walka z nędzą, zaczęła się bitwa z opozycją. Od uzyskania niepodległości w 1947 roku kolejne obietnice umierają na ustach polityków, jednak wizja błyszczących Indii pozostaje żywa i wynosi do władzy kolejne reinkarnacje wybawicieli. Ostatnio pojawili się

nowi liderzy, wywodzący się z biedoty, z rodzin niedotykalnych — dalitów. Nie występują w telewizji, bo wiedzą, że ich wyborcy nie mają telewizorów. Zwołują wiece, nakłaniają do walki. Wypchnęli potężny Indyjski Kongres Narodowy z uznawanego za serce Indii stanu Uttar Pradeś, wygnali z bengalskich wsi wielkie przemysłowe inwestycje. Trybuni ludowi mobilizują oddziały bosonogich, wypowiadają wojnę losowi. Żarłoczny demon klasy średniej ma w nich groźnego rywala.

Jednak najwspanialszą walkę Hindusi toczą na co dzień, bez politycznych przywódców — przewyciężając biedę pomysłowością, zaradnością i fantazją. Z niczego budują coś — dom na lata. Albo pojazd — skrzyżowanie czołgu, traktora i rikszy — który będzie kopcił, włókł się i dymił, ale dojedzie na miejsce. Ze zwykłej rowerowej rikszy robią dzieło sztuki, ze starej poszewki na poduszkę — kwiecistą sukienkę.

Najbiedniejsi Hindusi chętnie otaczają się barwami, z większą troską traktują przedmioty. Niczego nie marnują: przeczytane gazety zmieniają się w torby na owoce i warzywa, stara samochodowa rura staje się pompą. Dopisują rzeczom nowe znaczenia, przedłużają ich życie, wzbogacając własne. Znajdują trwałość w tym, co wydaje się jednorazowe. Im surowsza rzeczywistość, tym bardziej ją ozdabiają.

Indyjska bieda nie jest bierna — pokonuje przeszkody, odpycha ostateczność. Obraz ubóstwa pozostanie niepełny, jeśli się nie dostrzeże wysiłku, z jakim Hindusi przewyciężają niedolę.

Największym paradoksem indyjskiej biedy jest to, że towarzyszy jej obfitość. Nie brak, ale nadmiar. Półki sklepowe nie świecą pustkami, przeciwnie — uginają się od różnorodności, a w małych sklepikach we wnękach budynków jest wszystko. Produkcja rolna jest wystarczająca, by wykarmić ogromną populację, ziemia — bogata w surowce, a Hindusi są w posiadaniu wszystkich technologii kluczowych dla rozwoju kraju, z atomową włącznie.

Indie wciąż są tą bogatą krainą, do której zawijały holenderskie, francuskie i brytyjskie statki, by odpływać załadowane po brzegi jedwabiami, kamieniami szlachetnymi, indygo i herbatą. Gdzie nie spojrzeć, wszystkiego jest w bród: każdy chce coś sprzedać, każdy coś dźwiga na głowie, coś produkuje. W galimatiasie trudno rozstrzygnąć, kto jest biedny naprawdę, kto potrzebuje pomocy. Rikszarz, który biega boso po gorącym asfalcie, ciągnąc za sobą drewniany wózek z pasażerami? Kilkuletni chłopiec pomagający od rana do nocy w restauracji? Czy jego równolatka ze wsi, co dzień pokonująca piętnaście kilometrów z dziesięciolitrowym dzbanem wody?

Może w gorszej sytuacji są tysiące wdów wygnanych przez swe rodziny do świętego miasta Waranasi i tam zebrzących o kolejny dzień życia? Czy mieszkanie w murowanym domku przy torach, bez prądu i wody, gdzie dzieci biegają nago, a kobiety wzajemnie iskają sobie wszy, to najgorsze, co może się zdarzyć? Czy chłopak, który za dnia pracuje w biurze, a potem wraca do zatłoczonej chatki w slumsach, to biedak czy szczęściarz?

Wszystkiego w Indiach jest dużo, nawet odmian

cierpienia i powodów do współczucia.

Cmentarzysko książek

W maleńkim miasteczku Koczin panuje cisza. Jest niedzielny poranek. Puste uliczki, zatrzaśnięte drewniane okiennice i ciężkie kłódki u drzwi zawiadamiają, że stary portugalski port oddaje się świątecznemu odpoczynkowi. Tylko słońce zjawilo się punktualnie. Sunie po ścianach, załamuje na gzymsach i spływa na ulice. Raz w tygodniu ma miasto dla siebie, bo na co dzień trudno o kawałek wolnej płaszczyzny: frontony budynków stają się przedłużeniem witryn sklepowych, zasłaniają je szale, maski, torby i obrazki. Handel wylazi ze sklepików i straganów, rozpycha się, zwężając ulice do niewielkich przesmyków.

Ale w niedzielę bogactwa Kerali śpią za zamkniętymi drzwiami, nie wydostaje się nawet zapach przypraw. Zaryglowane drewniane bramy starych magazynów ani drgną. W zwykły dzień można wetknąć głowę do środka i popatrzeć, jak dziesiątki ciasno ułożonych worków z ryżem czekają cierpliwie na kupca. Góry korzeni imbiru wyrastają jedna obok drugiej. Nie uwalniają silnego aromatu, dopóki się ich nie rozkroi i nie rozetrze. Wielkie płócienne torby niechcący zdradzają swą zawartość — przez przetarte rogi wysypuje się trochę ziaren kawy i kardamonu. Towary przebyły już długą drogę, a są gotowe jechać dużo dalej.

Niech tylko ktoś się zjawi i je zabierze.

Niewiele się zmieniło od czasów, gdy u schyłku XV wieku zawinęły tu portugalskie statki. Europejczycy — niewielka flota dowodzona przez Vasco da Gamę — przyплыnęli do Indii przez Przylądek Dobrej Nadziei i Morze Arabskie. Zeszli na ląd w mieście Kalikat. Chrześcijańscy i żydowscy kupcy zmienili ten skromny przyczółek w centralę morskiego handlu; po Portugalczykach zjawili się Holendrzy i Francuzi, wreszcie — Brytyjczycy z Kompanii Wschodnioindyjskiej. Dziś ich następcy tak samo siadają w drzwiach, kogoś wypatrują, gryzmolą w notesach. Nie niecierpliwiają się jak sprzedawcy na straganach, którzy muszą się dwoić i troić, łapać okazję. To płotki, a w magazynach handluje się na dużą skalę. Towar i klienci zjawiają się o określonych porach.

W niedzielę nie przychodzi nikt. Zamkniętego interesu doglądają tylko zaspane psy, wszystkie do siebie podobne, jakby pochodziły z jednej rodziny. Mają pokiereszowane mordy i czujnie podkulone ogony — znak, że spodziewają się kłopotów. Dziś martwią się mniej: bez tłoku, pędzących motorów i ludzi ciskających w nie kamieniami, mogą się wyspać. Przeczekują święto, dzień cichy, ale trudny, bo skoro nie ma ludzi i handlu, w psich brzuchach gości głód.

W murowanym kościele pod wezwaniem świętego Franciszka, w głębi miasteczka — pierwszym katolickim przybytku wybudowanym na indyjskiej ziemi[30] — właśnie zaczęła się msza. Pogrążeni w modlitwie miejscowi nie zwracają uwagi na murowaną tablicę informującą, że pochowano tutaj Vasco da Gamę. Zmarł udręczony malarią w Wigilię 1524 roku. Kilkanaście lat później jego ciało

przewieziono do Portugalii.

Wokół kościoła — pusto. Na targu rybnym, w uliczce biegnącej od kanału do fortu, zebrało się trochę ludzi. Ale ani z jednej, ani z drugiej strony nie dochodzą żadne odgłosy. Ciszę przerywa od czasu do czasu szelest gazety, odgłos niespiesznego przekładania stron. Czterech staruszków usadowiło się wygodnie — dwóch na kamiennym podeście, z nogami spuszczoneymi na ulicę, dwóch nieco wyżej, we wnęce budynku, dość głębokiej, by pomieścić biurko i półki.

Tkwią bez ruchu, każdy zwieszony nad płachtą zadrukowanego papieru, jak kukły w muzeum lektur. Nie rozmawiają ze sobą, nie odwracają wzroku od stron zapisanych krągłym i ozdobnym pismem malajalam. Uzbrojeni w okulary z grubymi oprawkami — znak rozpoznawczy starej indyjskiej inteligencji — niemal niezauważalnie przesuwają spojrzenie w dół płachty. Czytają nabożnie i cierpliwie, jak mnisi studiujący święte teksty. Bez wybrzydzenia, wszystko po kolei. I bez nonszalancji, z jaką gazety przegląda się w Europie — tam wzrok niedbale ogarnia stronę, zniechęcony przechodzi na następną i następną, aż zatrzyma się na dłużej. Potem znów obiegnie nagłówki i tytuły, tu i ówdzie muśnie odrobinę tekstu, pomknie dalej, pospiesznie i beztrosko.

W Londynie, Rzymie, Paryżu i Berlinie gazety przeczytane to gazety zużyte: pogniecione, złożone byle jak, porzucone w metrze, na przystanku autobusowym, walające się po ulicy. Szybko tracą aktualność, stają się zmaterializowanym czasem przeszłym.

W sennej uliczce na południu Indii staruszkowie

przekładają strony ostrożnie, bo trzymają w dłoniach drogocenną wiedzę, która objawia się nie więcej niż raz dziennie i nie jest ich własnością. Wszyscy czterej są gośćmi publicznej czytelnicy, otwartej nieodpłatnie, także w niedzielę, bo gazety wychodzą siedem dni w tygodniu.

Prenumerowane są najważniejsze tytuły, nie te krajowe, ale lokalne, opisujące najbliższy świat.

Próżno szukać takiej czytelnicy w innych stanach — Kerala jest wyjątkowa. Tu, nad brzegami Morza Arabskiego, marksistowska ideologia harmonijnie łączy się z chrześcijańskim dziedzictwem Portugalczyków oraz biznesem. Kwitnie handel z Bliskim Wschodem, tutejsze żółte złoto rozjeżdża się po całych Indiach, dzieci chodzą do najlepszych katolickich szkół, a emeryci niczym się nie martwią.

Przez kilkadziesiąt lat decydującą siłą polityczną w Kerali była parta komunistyczna, szczytująca się cywilizacyjnym postępem. Największym osiągnięciem jest zwalczenie analfabetyzmu — Kerala to jedyny stan, w którym aż dziewięćdziesiąt pięć procent ludzi potrafi czytać i pisać. Czterej starszacy siedzący w scenerii ozdobionej krwistoczerwonym sierpem i młotem, motywem malowanym na wszystkich ścianach, murach, plakatach, flagach i pomnikach, oddają się lekturze z misyjnym zaangażowaniem. Świadomi, że reprezentują w Indiach uprzywilejowaną mniejszość, śledzą litery uważnie i ostrożnie, jakby trzymali w rękach płomyk, który może zgasnąć.

Przypominają sikhijskich duchownych, od świtu zmieniających się przy świętej księdze *Guru Granth Sahib* — sumie mądrości dziesięciu guru — czczony i nieustannie

czytanej. O zmroku jest odnoszona na spoczynek — kołysana śpiewem i modlitwami zasypia na specjalnie przygotowanym łożu, przykryta ozdobnymi kapami. W keralskiej czytelnicy odbywa się podobny rytuał. Pisma są codziennie odczytywane, leciwi depozytariusze kumulują zawartą w nich wiedzę, a potem — podczas rozmów nad szklanką słodkiej mlecznej herbaty — rozpowiadają ją innym.

Gazeta zachowała wszelkie cechy wyjątkowości — jest dobrem rzadkim i trudno dostępnym, mimo że nad Gangesem powstał jeden z największych na świecie rynków prasy, wbrew globalnym tendencjom — wciąż rosnący. Dzienniki są drukowane w kilkudziesięciu językach, nawet te ogólnokrajowe mają wiele lokalnych mutacji. A jednak cała ta prasowa produkcja jest zaledwie kroplą w oceanie.

Największy anglojęzyczny dziennik, „Times of India”, ukazuje się w nakładzie odpowiadającym zaledwie dwóm setnym procent indyjskiej populacji. Nawet w takich miastach jak Delhi czy Kalkuta trzeba wiedzieć, gdzie i kiedy można spotkać gazeciarzy — to oni, jak ruchome punkty, tworzą ciągle zmieniającą się sieć dystrybucji. Rankiem mkną ulicami na rowerach, wioząc na ramie pęk pachnących jeszcze gazet, nie więcej niż kilkadziesiąt sztuk. Zwykle rozkładają się z nimi w sprawdzonych miejscach, ale stragan prasowy, który zadomowił się u zbiegu dwóch ruchliwych ulic, jest bytem mobilnym — jutro może się przenieść gdzie indziej.

Całe dzielnice i potężne osiedla metropolii, nie mówiąc o miasteczkach i wsiach, obywają się bez dostaw prasy. W starszych częściach miast można spotkać roznosicieli

wędrujących od drzwi do drzwi z paczką dzienników pod pachą. Ale jedynymi pewnymi adresami są dworce kolejowe — tam w przejściach i halach biletowych o gazetę najłatwiej. Nawet jeśli kosztuje niewiele, to w rękach nabywcy zmienia się w towar luksusowy.

Mężczyzna z dziennikiem — bo gazeta jest tu atrybutem męskim — ma powody, by czuć się wyjątkowo. Jeśli zasiądzie, dajmy na to, w kolejowym przedziale i pograży się w lekturze, stanie się obiektem ciekawskich spojrzeń — pełnych zazdrości i podziwu. Nic więc dziwnego, że będzie się raz po raz rozglądał, spragniony objawów uznania. Czasem poklepie się po kieszonce koszuli, w której zatknął długopis na znak, że potrafi się nim posługiwać. Może się nawet zdarzyć, że pokona całą drogę, trzymając gazetę do góry nogami, bo jako pragnący zaimponować otoczeniu analfabeta, pozostanie tego nieświadomy.

Umiejętność czytania jest dla wielu Hindusów nieosiągalna, dlatego czasami próbują wkroczyć do literackiej galaktyki choćby na chwilę, na gapę. Odłożona na siedzenie w pociągu gazeta natychmiast zostanie pochwycona przez innych pasażerów — nawet jeśli mogą się cieszyć tylko fotografiami, są ciekawi jej zawartości. I uczucia, jakie towarzyszy czytającym. Imitują podpatrzoną powagę, ale błędzą wzrokiem po stronach niewprawnie, bez rutynowej pewności. I choć już po chwili czują się zawiedzeni, to wytrzymują do końca, przerzucając kolejne strony w tym samym tempie, żeby się nie zdradzić. Odkładają gazetę na miejsce z ledwo zauważalną przykrością. Oddają przedmiot, który nie pozwolił się oswoić, pozostał obcy.

Czytających w miejscach publicznych widuje się rzadko, także dlatego, że okoliczności są niesprzyjające: tłok, zgiełk i pośpiech sprawiają, że nie ma gdzie ani jak czytać. W autobusach i metrze ścisk, w miastach brakuje ławek. Kawiarnie, w których przesiaduje się godzinami nad kubkiem mrożonej herbaty, to implant z Zachodu — chętnie podchwytywany przez klasę średnią, spragnioną zagranicznych nowinek, ale zupełnie nieatrakcyjny i zbyt drogi dla przytłaczającej większości Hindusów, pijących tanią herbatę i kawę przy ulicznych straganach, na stojąco.

Uliczne pogaduszki to wciąż dominujący i najlepiej sprawdzający się w Indiach kanał informacyjny. Żadna gazeta nie da tego, co kwadrans z parzącym palce glinianym kubeczkiem, wśród ludzi rozprawiających o wszystkim, co ważne: inflacji — bo ryż i ropa znowu podrożały, zacofaniu — bo wczoraj w centrum miasta zapadł się kawał ulicy, o polityce — bo dziś wieczorem za rogiem będzie wiec. Tu się nie tylko otrzymuje wiadomości, ale je współtworzy i komentuje. Małe uliczne konwersacje urastają czasem do literackiej rangi — rodzą się błyskotliwe dialogi, w których mówcy popisują się poczuciem humoru i refleksem. Nieobecność książek i gazet w codziennym pejzażu może być myląca, bo nie oznacza pustki — ich miejsce wypełnia słowo mówione. Gdy Europa czyta, Indie rozmawiają.

Już na ulicy słyszeć gwar wydostający się ze środka przez okna na pierwszym piętrze — jakby wewnątrz kłębił się jakiś niespokojny stwór. Ale wejście jest niepozorne, nawet zniechęcające — z ciemnej od brudu klatki schodowej raz po raz ktoś wybiega, przeciskając się w

drzwiach. Stragan barykaduje połowę przejścia. Nikt nie ma sklepikarzowi tego za złe, bo oprócz czekoladek, cukierków na sztuki i tanich odświeżaczy do ust sprzedaje wielce tu pożądane papierosy.

Ladę otacza kilku chłopaków; wszyscy naraz wyciągają pieniądze i domagają się małych paczuszek gold flake'ów, four square'ów i goździkowych garamów. Rozpakowują je w pośpiechu i wbiegają na górę, zatrzymując się na moment przy ścianie obwieszonej licznikami prądu, zawieszonymi tam długo przed dniem, w którym brytyjski majestat w osobie lorda Mountbattena na dobre opuścił Indie. Na jednym z tych dinozaurów elektryki wisi zapalniczka — kawałek tłącego się sznura. Podekscytowani palacze przytykają papierosy do rozżarzonej końcówki, wciągają powietrze i dymiąc obficie, pędzą po schodach. Z klatki schodowej wpadają prosto do rozległej sali — mekki kalkuckich intelektualistów, gdzie miłość, poezja i polityka unoszą się w powietrzu wraz z zapachem pleśni i taniego tytoniu. Wszystkie stoły zajęte, to pewne. Kalkutę, stolicę Bengalu Zachodniego, łączą z Keralą dwie pasje — komunizm i lektury.

Indian Coffee House, restauracja należąca do państwowej sieci, jest zawsze oblegana — nie ze względu na ofertę kulinarną, ale swą legendę. To chyba jedyny lokal gastronomiczny w Indiach, w którym jedzenie jest zaledwie pretekstem — przepustką do intelektualnych i uczuciowych uniesień. W innych restauracjach Hindusi jedzą szybko i mówią mało, tu dzieje się odwrotnie. Przy kilkudziesięciu prostych drewnianych stolikach, na wysłużonych plecionych krzesłach z wolna wypieranych przez

plastikowych następców siedzi uniwersytecka śmietanka. Siedzi to źle powiedziane — wierci się i kręci, odchyła w geście oburzenia i pochyła, wyrażając aprobatę, wstaje w czasie co ważniejszych kwestii i opada na siedzenie powalona kontrargumentem.

Parami i w grupach rozmawia się nad talerzami wegetariańskich kotletów, kanapek z kurczakiem i smażonych klusek polanych imitacją keczupu, popijając najpopularniejszą tu zimną kawę, podawaną w małej szklance ze słomką. Gwar rozmów odbija się od gładkich ścian, biegnie kilkanaście metrów w górę, pod sufit, a tam łączy się z głosami z galerii — także wypełnionej stolikami i zatłoczonej.

Hałas rozmów potęgują szumiące wiatraki, rozwieszone w kilku równych rzędach. Wirują z zapalem, mieszając dziesiątki słów z wilgotnym bengalskim powietrzem. Temu chaotycznemu, pogrążonemu w dyskusjach zgromadzeniu patronuje Rabindranath Tagore[31], na zdobiącym ścianę portrecie jeszcze młody, z krótką brodą — niewiele starszy od okupujących stoliki studentów. Geniusz poezji i pieśni, literacki noblista, wcielenie wszelkich talentów i mądrości, obserwuje zamieszanie z filozoficznym spokojem, jak przystało na znawcę ludzkiej natury.

Brak innych ozdób jest symboliczny — w bengalskiej myśli, sztuce i literaturze nie ma nikogo nad niego. On sprawuje rząd dusz, natomiast władza oficjalna — reprezentowana przez metalową tablicę z zakazem palenia — sięga tu tylko formalnie. Co chwila pojawia się nowa chmura dymu — kolejny student odetchnął wolnością.

Jeśli ktokolwiek może rywalizować z wielkim noblistą, to

tylko Karol Marks — jego wyznawcy rządili Bengalem Zachodnim przez ponad trzydzieści lat, wygrywając kolejne — mniej lub bardziej uczciwie przeprowadzane — wybory. Popierały ich miejskie elity, wciąż zakochane w rewolucji, którą przeprowadzali co dzień od nowa — w słowach. Powietrze aż gotuje się od nadziei, planów i wielkich zamiarów, a Kalkuta stoi, jak stała — niewzruszona. Przy stolikach trwają dyskusje i kłótnie, infantylne przekomarzenia i prowadzone na serio dysputy. Ręce wirują w powietrzu, głowy obracają się z oburzeniem lub uznaniem, ktoś się krzywi sceptycznie, ktoś inny robi z zachwyty maślane oczy.

Obok chwalących się świeżym zarostem studentów pierwszego roku siedzą zaprawieni w intelektualnych bojach starsi koledzy, mniej krzykliwi — oszczędni w słowach i gestach. Opanowaniem starają się zaznaczyć granicę między sobą a nowicjuszami. Są też wykładowcy, którzy między tymi stolikami spędzili kilkadziesiąt lat — wciąż noszą się i czeszą jak w latach sześćdziesiątych. Mają te same studenckie torby na długim pasku — bawełniane worki z ozdobnym haftem, znak rozpoznawczy bengalskich akademików, przywożony z obowiązkowych wycieczek do Śanti Niketan[32]. Posiwili, ale wciąż z zapalem dyskutują, jakby w ich życiu — i w ogóle na świecie — nie było nic ważniejszego niż te filozoficzne dociekania, ideały odmieniane przez wszystkie przypadki. Wokół szklanek ze zmrożoną wodą tworzą się kałuże, mijają godziny, przychodzą i przechodzą deszcze, a tempo i temperatura rozmów nie spadają.

W morzu dyskutujących łatwo wypatrzeć zakochane pary — siedzą spokojnie, zbyt skrępowane, by się poruszyć,

nachylają się lekko i ściszonymi głosami szepczą sobie miłosne zaklęcia. Są spłoszone uśmiechy i spojrzenia utkwione w pustych talerzach, wszystko, czego trzeba, aby wytworzyć magię intymności w sali pełnej ludzi, w kraju, który zabrania przedmałżeńskiej miłości, w mieście przesyconym atmosferą sentymentalnego romansu.

Na chwilę proporcje się odwracają — hałas z ulicy wpada do środka. W uliczce, tuż pod oknami, zatrzymał się wóz agitatorów Indyjskiego Kongresu Narodowego. Przystrojony girlandami z nagietków i flagą państwową wiezie dwóch mężczyzn: stary wykrzykuje do trzeszczącego mikrofonu: „Rajiv Gandhi Zindabad! Niech żyje!”, posyłając zaciśniętą pięść pod niebo, młody ani drgnie — trzyma w dłoniach plakat ze zdjęciem zmarłego w 1991 roku premiera. Tak się świętuje urodziny ukochanych polityków. Zmarli czy nie — są wciąż obecni i czczeni, niewiele ich różni od bogów.

Polityczny cyrk powoli znika za rogiem, a sprzedawcy książek, którzy obserwowali jego przejazd w bezmyślnym zawieszeniu, wracają do pracy. Z okna Indian Coffee House widać tylko kilkanaście straganów, ale budynek stoi w samym centrum rozległej księgarskiej dzielnicy, zwanej College Street — od największej ulicy, wzdłuż której skupiają się uczelnie i sklepy z książkami. Odchodzą od niej mniejsze alejki, wszystkie szczelnie wypełnione straganami. Tego miejsca nie da się z niczym porównać: przez okrągły rok trwają tutaj wielkie targi książki i wiedzy. Kupić można wszystko, właściwie nigdy nie pada odpowiedź odmowna, bo dla księgarzy z Kalkuty nie ma rzeczy niemożliwych. Trzeba poczekać kwadrans, godzinę,

dzień lub dwa, ale tytuł się znajdzie. I to ze zniżką.

Na każdym straganie co najmniej tysiąc pozycji, ułożonych w słupy sięgające od podłogi do sufitu. Książki są poukładane według rozmiaru, grzbiety zwrócone w tę samą stronę, wszystko po to, by małą przestrzeń wykorzystać jak najlepiej. Na skrawku wolnej podłogi stoi drewniany taboret, a na nim siedzi sprzedawca. Dziesiątki, setki księgarzy. Trwają w gotowości, wyciągają wysoko podbródki w niemym pytaniu: „Czego potrzeba?”. Prędcy jak psy gończe, czekają tylko na wystrzał — wystarczy podać tytuł, a zrzucają buty, wskakują na jakąś półkę, sięgają głęboko i z literackiego tłumu wyciągają tę jedną potrzebną książkę. Zeskakują na ziemię i uderzają otwartą dłonią w okładkę: oto ona! Klapnięcie uwalnia chmurę kurzu, ale tylko zewnętrzną warstwę — tej, która wżarła się głęboko w zawilgotniałe kartki, nic już nie usunie.

Wobec obfitości tych kilku ulic reszta kraju wydaje się literacką pustynią — w innych miastach księgarnie są samotnymi wysepkami, rozrzuconymi w różnych dzielnicach i wybiórczo zaopatrzonymi. Ale tu można spędzić życie, błądząc wśród tomów z różnych światów, kultur i czasów — College Street jest jak paszcza wieloryba, który przez dwa stulecia opływał kulę ziemską, połykając po drodze książki. Leżą tu teraz wymieszane, w najdziwniejszej bibliotece świata, wszystkie na równych prawach, wszystkie narażone na to samo niebezpieczeństwo: czającą się wokół pleśń. Ta zakrada się szczególnie latem, gdy monsunowe deszcze potęgują wilgoć — wystarczy kilka godzin, by okładka pokryła się białym nalotem, z początku niepozornym, ale zabójczym.

Z czasem strony zrobią się zielonkawe, wreszcie

pociemnieją — litery bezpowrotnie znikną. Stłoczone tomy trzymają się więc razem, trwają w solidarnym uścisku, wzajemnie się chroniąc. Z konieczności tworzą demokratyczną literacką republikę, gdzie nie liczą się nazwisko autora, jego dorobek, popularność ani nawet nagrody. Ważne jest przetrwanie.

Zwiezione tu dziedzictwo ludzkości prowadzi walkę z czasem. Pachnące stęchlizną tomy wydają się jednocześnie majestatyczne i kruche: są dumnymi świadkami historii i zmieniających się czasów, ale nie wiadomo, ile jeszcze życia przed nimi. Trafiają na College Street jak porzucone, niechciane dzieci — kiedyś kochane, eksponowane na półkach z dumą, czytane z wypiekami na twarzy, trzymane pod poduszką, namiętnie cytowane, kupowane za uciulane oszczędności, utracone w czasie nagłej przeprowadzki, darowane z dedykacją, pożyczane z trwogą, że nigdy już nie wrócą do właściciela. Niektóre w nienagannym stanie, inne poryte przez mole, zabrudzone, z osmoloną okładką, pokiereszowanym grzbietem albo wyrwanymi stronami.

Każda po przejściach, każda z inną historią — są zwożone na College Street hurtowo, jak do przytułku, będącego ich wybawieniem albo cmentarzyskiem. Ich jedyną szansą jest spryt księgarza, który ułoży je tak, by wszystkie były widoczne, a kiedy trafi się klient, nie wypuści go z pustymi rękami. Sprzedawcy z Kalkuty to pielęgniarze — przy odrobinie zapału i handlowego talentu mogą przekazać wspaniałe literackie okazy w dobre ręce. Ale konkurencja jest ogromna: stragan przy straganie, grzbiet przy grzbiecie, trudno coś wybrać, łatwo przegapić.

Nie ma żadnej hierarchii: Simone Weil musi jakoś znieść

sąsiedztwo *Małej encyklopedii czekolady*, a Harold Pinter — pogodzić się z towarzyszącym mu zbiorem erotycznych esejów *Lesbian Sex Works*. Wydane tuż po II wojnie światowej dzieła zebrane George'a Bernarda Shawa w skórzanej oprawie powinny się cieszyć z towarzystwa bestsellerowego pisarza Dana Browna — przy tak modnym nazwisku mają szansę być zauważone. *Wieczór trzech króli* Williama Szekspira, oprawiony w twardą okładkę zdobioną złotymi literami, stoi bok w bok z biografią filipińskiego dyktatora Marcosa, wydaną tanio i bez polotu. Trzy egzemplarze *Lorda Jima* — każda wydrukowana w innym miejscu i czasie — znalazły się razem w kącie, ale mimo pokrewieństwa są dla siebie kłopotliwym towarzystwem: sukces jednego będzie porażką pozostałych.

Winston Churchill pewnie zmarszczyłby czoło na myśl, że jego biografia stanęła tuż przy fabularyzowanej historii Kuby Rozpruwacza. Może jednak lepiej mieć za sąsiada Brytyjczyka niż radziecką kolekcję *Soviet Short Stories* albo *Mein Kampf* z twarzą Hitlera na okładce. Zakazana w Europie lektura tu jest bestsellerem, zawsze prezentowanym na honorowym miejscu, wciąż wznawianym i sprzedawanym nawet w najbardziej renomowanych księgarniach. Stalin nie może liczyć na tak honorową prezentację — tomiska opisujące jego życie stoją w tym samym rzędzie co poradnik dla uprawiających jogę i pochodzące z lat sześćdziesiątych XX wieku podręczniki inżynierii morskiej.

Platon i Sofokles są w tej szczęśliwej sytuacji, że ustawiono ich po sąsiedzku — może przez podobieństwo okładek: ich dzieła pochodzą z tej samej serii Everyman's Library, wydawanej w Londynie i Nowym Jorku w latach

trzydziestych XX wieku. Razem z powieściami Jane Austen i wydrukowanymi w 1942 roku przez Oxford Press na cienkim pergaminie pracami Chaucera tworzą elitarne towarzystwo. Rozrzuceni gdzie popadnie Orwell, Kundera, Sartre i García Márquez mogą im tylko zazdrościć. I zżymać się, że są wciśnięci pod półkę, podczas gdy wątpliwej jakości romanse stoją w pierwszym rzędzie, lepiej widoczne.

Autorzy nieznani, stłoczeni między geniuszami pióra, mają własne zmartwienia — w morzu nazwisk i tytułów oczy najpierw wychwytyją te sławne. Wydania anglojęzyczne to tylko ułamek oferty — otaczają je dzieła autorów tworzących po bengalsku, w hindi czy urdu. Wielkie indyjskie eposy, zbiory poezji i pieśni, współczesne opowiadania i klasyczne powieści, teksty religijne i poradniki duchowe. Zakodowane w tajemnych znakach, kuszące i niedostępne, wywołują ukłucie zazdrości — można znać Szekspira i Platona, a poczuć się jak analfabeta. Świat poznał i docenił ledwie skrawek indyjskiej literatury, większość pozostaje tajemnicą.

Tu i ówdzie stoją jeszcze książki włoskie, francuskie, hiszpańskie i niemieckie — jedne z trudem sprowadzone, inne zostawione przez turystów. Wszyscy autorzy — znakomici i marni — toczą tu nierówną walkę, a ich dzieła przechodzą próbę czasu. Tylko tym najwspanialszym się nie spieszy, mogą poczekać, aż wypatrzy je wytrawny czytelnik. Ich treść nie traci na wartości, a pachnąca oprawa prędzej czy później skusi amatora starzyzny. Ale wiele tytułów leży tu jak stare maszyny na złomowisku — nikomu już nie mogą się przydać, czekają na cud, na litość.

Encyklopedie sprzed pół wieku, zadrukowane gęsto definicjami, które straciły znaczenie, bo w ich miejsce powstały już nowe, trafniejsze. Podręczniki do chemii i fizyki, pożółkłe z żalu, że dźwigają między okładkami przestarzałe informacje. Atlasy z mapami świata, który przeminął i zmienił swe kształty. Słowniki włoskie, portugalskie i japońskie, pozbawione terminów opisujących współczesność. Polityczne broszury i analizy, wielkie idee przeszłości — skompromitowane i przebrzmiałe, sprzedawane dziś tanio, taniej niż poradniki dla miłośniczek fitnessu.

Wszystkie te dzieła przeszłości mają tu swoją ostatnią szansę, chciałyby jeszcze jakoś przysłużyć się światu. Ale z innych straganów napierają już nowe podręczniki nowoczesnego zarządzania personelem, zaawansowanej księgowości i genetyki. Teraz one mają swoje pięć minut, drukowane w masowych ilościach zajmują najwięcej miejsca. Duże i ciężkie tomy mają obietnicami: reklamują się jako „pełne kompendium”, „wyczerpujący zbiór”, „niezbędne zestawienie”. Wkrótce podzielą los poprzedników.

Stragan straganowi nierówny, na niektórych czekają perły, na innych tłoczy się chłam. Najwspanialszym bogactwem tytułów dysponują najstarsze księgarnie — te z prawdziwego zdarzenia, mieszczące się na parterze kamienic College Street, oddzielone od ulicy potężnymi drewnianymi ladami. Za kontuarem zawsze kilku mężczyzn. Z początku trudno się rozeznać, który za co odpowiada, a podział ról jest dokładny i detaliczny, jak w indyjskim społeczeństwie.

Trzej ekspedienci przyjmują zamówienia i od razu

mówią, czy pozycja jest dostępna, jakby mieli w głowie wielotysięczny księgozbiór. Nie zagląдают do komputera, bo go nie mają i nie potrzebują. Wykrzykują tytuł albo podają kartkę do tyłu. Za ich plecami czekają zwinni pomocnicy, którzy szybko i bez słowa znikają między regałami lub wskakują po drabinie na antresolę, pełniąc funkcję przepastnego magazynu. Po chwili książki — jedna po drugiej — spadają z hukiem na blat, pod nos klienta. Jeśli tytułu zabraknie, księgarz daje znak jednemu z chłopców, a ten wybiega i po kilku minutach zjawia się z książką.

Indyjskich sprzedawców wiąże niewidoczna, tylko im znana sieć sojuszy i współzależności. Kto inny pakuje wybrane tomy w papierowe torby i gazety, kto inny przewiązuje je sznurkiem, kto inny wreszcie wypisuje rachunki, kaligrafując każdy z tytułów. Księgarze poczytują sobie za punkt honoru, aby zaoferować dziesięć procent upustu — wypisane starannie kwoty są sumowane, a pod grubą kreską jest notowana, z ceremonialną ostrożnością, wysokość zniżki. Rachunek trafia do rąk klienta, który wędruje do kasjera. Ten przepisuje numer rachunku i kwotę do wielkiej księgi, wydaje resztę i stempluje kwit. Dopiero wtedy można odebrać książki i przebijając się przez napierający na ladę tłum, wyskoczyć na ulicę.

Miejsce tak fenomenalne jak College Street mogło powstać tylko w kraju, w którym książka pozostaje świętością, talizmanem. Całowanym, jeśli upadnie na podłogę. Zawieszane nad straganami szyldy zawierają bajeczne nazwy. Sklepiki anonsują się jako książkowy „syndykat”, „muzeum”, „skrzyżowanie” czy „raj”. Ta

wybujała, odświętna tytulatura bierze się z poczucia wyjątkowości, z dumy przynależących do elitarnego czytelniczego świata.

Ponad jedna trzecia Hindusów nie umie pisać i czytać, a wielu spośród tych, którzy się kiedyś nauczyli, nie dotknęło książki od dnia, gdy opuścili szkołę. Nieużywane litery kurzą się w ich głowach i osuwają w niepamięć. Dopiero sześćdziesiąt lat po uzyskaniu niepodległości indyjski parlament uchwalił ustawę o prawie i obowiązku powszechnej edukacji. Ale litera prawa przegrywa z obyczajowością, zakodowaną nie w słowach, ale w tej niewidzialnej tkance tradycji, którą potrafią odczytać wszyscy Hindusi. Krajem rządzą reguły niepisane, nawet niewypowiedziane, ale namacalne i trwałe. Zgodnie z nimi dzieci na wsiach chodzą do szkół tylko wtedy, gdy nie są potrzebne w polu albo gdy szkoła zapewnia im posiłek, na który rodziców nie stać. Dziewczynki, jeśli w ogóle się uczą, to tylko przez kilka lat. Dzieci miejskiej biedoty, nawet te, które mieszkają dwa kroki od szkoły, patrzą zazdrośnie na rówieśników, jak z samego rana, wystrojeni w mundurki, spódniczki, krawaty, białe podkolanówki i trzewiki, maszerują na lekcje z plecakami ciężkimi od książek. Uniformy dodają im powagi, w takim stroju załatwia się sprawy wyjątkowe. Mali uczniowie wskakują do szkolnych autobusów, tłoczą się w rikszach i miniaturowych busach — ruszają do krainy liter i cyfr. Na szyjach kołyszą im się plastikowe bidony, w rękach dyndają aluminiowe puszki wypełnione jedzeniem. Za kilka godzin mamy, kierowcy i służący będą czekać pod szkołą, by bezpiecznie przewieźć je przez monstrualne korki.

Na wsiach podobnie wystrojone maluchy — z wyjątkiem

butów, których często nie mają — idą do szkół kilometrami. W upale i deszczu same dźwigają napęczniałe wiedzę tornistry. Mimo wszystko te małe postaci, wędrując przez wąskie groble między polami ryżu, wspinając się po górskich ścieżkach i szurając nogami po pylistych drogach, maszerują różnie. Wiedzą, że nie każdemu trafia się taka szansa.

Tragarze na moście

Cichy poranek w Old Delhi. Na ulicy pusto. Ani śladu po wieczornym tumultcie, gdy odchodzące od Meczetu Piątkowego uliczki są tak zatłoczone, że trudno się ruszyć. Teraz prawie nikogo nie ma; w wygaszonych rusztach wystygł popiół po wczorajszych szaszłykach. Sklepy i restauracje jeszcze pozamykane. Właściciele niedawno położyli się spać. Pod nieobecność ludzi na pierwszy plan wychodzą śmieci — na wpół przegniłe walają się wszędzie. Krowy spokojnie w nich przebierają, wyjadając resztki. Jedna uniosła ogon i obsikuje stare gazety.

Na wyplatanym łóżku pod plandeką leży starzec, sądząc z nagromadzonych przedmiotów, mieszka tu dość długo. Teraz śpi. Kilka metrów nad jego głową zawisł elektryk. Ubrany w brudną koszulę i spodnie w kant wdrapał się na drewniany słup, przywiązał do niego kawałkiem liny i pracuje wśród plątaniny kabli. Przewody owinięte wokół porcelanowych bezpieczników tworzą kłębowisko. Jakimś cudem łącza najnowszej generacji dogadują się ze stuletnią instalacją. Biegają we wszystkich kierunkach — po zewnętrznych ścianach budynków i dachach, marnie izolowane. Dziwaczna kombinacja często ulega awarii, ale wywiązuje się ze swoich zadań. Za sprawą niepozornych mężczyzn o wybitnych umiejętnościach z dziedziny

elektryki i sztuki cyrkowej.

Ciche syczenie to jedyne, co przerywa ciszę. Elektryk stara się okiełznać iskrzący kawałek kabla, zerwany przez wiatr. Zza rogu wyłania się rowerowa riksza wioząca muzułmankę z dwojgiem dzieci. Malcy przysypiają oparci o siebie główkami, a matka uważnie się rozgląda. Twarz ma osłoniętą czarnym materiałem ze zdobioną na złoto lamówką. Oczy ciemne i ogromne. Wychudzony rikszarz z trudem pedałuje, ona siedzi wyprostowana — niespokojna, dumna, pomnikowa. Przejeżdżają. Skrzypienie pedałów cichnie. Znów robi się pusto.

I nagle to. Duża ciężarówka bez plandeki, ledwo mieszcząca się na zakręcie. Silnik wyje, a koła kręcą się w miejscu. Wreszcie wydostaje się z potrzasku, rusza. Przejeżdża tuż pod elektrykiem i mija śpiącego starca. Gdyby w tej chwili otworzył oczy, ujrzałby górę krowich łbów. Odarte ze skóry, skrwawione czaszki rzucone na kupę. Setki trupów w drodze z ubojni na wysypisko.

W sprawach przewozu dóbr i osób Hindusi są nieustraszeni. Transportują wszystko — od kostek masła po wielkie idee — do najbardziej niedostępnych miejsc, z pomocą samodzielnie konstruowanych pojazdów i siły ludzkich mięśni, na przekór przeszkodom i wbrew rozsądkowi. Ich pomysłowość i wyobraźnia pozostaną rozbudzone dopóty, dopóki nie zastąpi ich wyrafinowana technologia importowana z tak zwanych cywilizowanych rejonów świata. Na razie Hindusi wciąż działają na własną rękę, stosując proste i praktyczne metody. Są zaradni i wytrwali. Mając do dyspozycji niewiele ponad rozum i umięśnione ramiona, potrafią bez szwanku

przetransportować na drugi koniec kraju i słońca, i delikatny szafran.

Obrazy ludzi dźwigających, pchających wypchane wozy, wciągających pakunki na linach, wspinających się z ładunkami na głowach i ramionach, przenoszących ciężkie kosze i wory, układających paczki i ciągnących załadowane platformy — wszechobecne slajdy codziennego wysiłku — budzą w przyjezdnych litość. A przecież nic nie świadczy dobitniej o sile i potencjale Hindusów. Miliony niezmordowanych tragarzy udowadniają, że nie ma rzeczy niemożliwych.

Na trójkołowym pojeździe zbudowanym z części traktora i samochodu można dokonać rewolucji — tak przynajmniej uważa czterdziestu działaczy marksistowskiej młodzieżówki, którzy z czerwonymi opaskami na czole i trójkątnymi flagami w dłoniach upchnęli się na maleńkiej pace. O dziwo, zmieściły się tam również głośniki i wielki transparent z wykaligrafowanym zapewnieniem o bliskim triumfie robotników z Bengalu Zachodniego. Tak się w Indiach rozwozi obietnice.

Żeby polityczne przesłanie dojechało do celu, potrzebne są słońce, wielbłądy, śmigłowce, pociągi, ciężarówki i łodzie. Elektroniczne maszyny do głosowania, zamknięte w niewielkich walizkach i dowożone do najodleglejszych okręgów wyborczych, muszą prędko wrócić do centralnej komisji, gdzie wola najludniejszej demokracji świata zostanie przeliczona na mandaty do parlamentu.

Zaplombowane walizki jadą na grzbietach słońca przez gąszcz dżungli i górskie przesmyki w północno-wschodnich częściach kraju — żaden samochód nie pokona takiej drogi.

W Ladakhu tylko część drogi można pokonać dżipem, dalej konieczna jest wspinaczka. W Radżasthanie po piaskach pędzą wielbłądy, a w Kerali i Sundarbanach państwowe procedury podróżują łodziami. U podnóży Himalajów na co dzień pracują gońcy pocztowi — porośnięte gęsto przesmyki pokonują pieszo, roznosząc listy, renty i emerytury do maleńkich wiosek, których nie odwiedza nikt inny.

Na przystani zaparkowała ciężarówka. Tragarze stoją przy naczepie, dopalając kupione właśnie *biri*. Obok kwitnie papierosowy biznes: kilka kobiet zawija tytoń w liście hurmy i przewiązuje je czerwoną nitką. Gotowe, już wysuszone ruloniki leżą w pudełkach. Czekają na klientów — najtańsze i najpodlejsze skręty świata.

Jest wcześnie, nad rzeką ruch. Kulisi roznoszą na głowach okrągłe kosze z rybami i krewetkami złowionymi przez rybaków z bengalskich wysepek. Dalej pojedą pociągiem, w stronę Kalkuty. Nie czuć smrodu, bo są przykryte kruszonym lodem.

Ciężarówka przywiozła właśnie nową porcję zmrożonych bloków. Młody mężczyzna zrzuca plandekę i chwytając żeliwny pręt z jednej strony zakończony hakiem. Wbija go w pierwszą z brzegu lodową ścianę i przewraca ją na bok. Teraz obraca pręt do góry nogami i drugim, ostrym końcem rysuje w połowie bloku kreskę. Delikatnie, jakby szkicował. Dźga ostrzem trzy razy wzdłuż linii, bez wysiłku, a blok pęka na pół. Operacja się powtarza, powstają ćwiartki, a tragarze kładą je sobie na głowach i zanoszą na kuter. Tam lodowe kłocę przejmują ich koledzy i ostrożnie znoszą pod pokład. Mężczyzna na pace pracuje sam; cały lód kroi w ciągu godziny. Nie zostaje nawet kałuża, tylko

on jest zlany potem.

Hindusi noszą na głowach miliard spraw. To naród baletmistrzów, którzy — jeśli będzie trzeba — poniosą cały świat.

Różowe płatki sypią się na asfalt. Drżą przez chwilę, zanim zginą pod gumowymi podeszwami. Stopa przy stopie, ciasno, nikt nie patrzy pod nogi, bo nie można schylić głowy. Trzeba spoglądać do przodu, żeby w porę ominąć przeszkodę. Byle nie przystawać, wtedy ciężar stanie się dotkliwy. Póki ugięte w kolanach nogi utrzymują szybkie tempo, a kręgosłup i kark pozostają napięte, ładunek i tragarz są bezpieczni.

Na wyprężonych plecach stara koszulka koloru cegły, podziurawiona, znaczone zaciekami. Na głowie wielka paka. Bura juta, związana w czterech rogach, pęcznieje od upchanych w niej kwiatów. Umieśniony mężczyzna porusza się truchtem — zawodowiec. Zręcznie balansuje, nigdy nie usztywnia kolan. Jest sam, ale wokół widać setki takich maratończyków. Pokonują most na Howrah, największy w Kalkucie. Zawsze zatłoczony, ugina się pod ciężarem ludzi i pojazdów, bez przerwy drży. Policjanci nie pozwalają robić mu zdjęć, taki jest ważny. A fotografia się należy: to najpiękniejsza i najbardziej pracowita budowla w mieście.

Przerzucony nad Hugli łączy dworzec z centralną częścią Kalkuty. Pod stalową pajęczyną płyną samochody, wypchane ciężarówki i autobusy. Mechaniczna masa wlewa się na most dwoma wąskimi wjazdami: zgiełk i ciasnota, wycie silników, ciemno od spalin. Spod dworca na most jest kilkaset metrów, a w korku przejazd trwa nawet godzinę. Pojazdy posuwają się krótkimi czknięciami. Gdy

już dotrą na most, wyrywają do przodu. Pędzą przez kilka minut, pod wiatr, niosący nieświeży zapach wody, pobliskich *ghatów*, przeładowni i hurtowni, ich przegniłych dachów, które od lat straszą, że zawałą się lada dzień. Szalona jazda pozwala zapomnieć o duchocie i miejskiej klaustrofobii, ale na krótko — po drugiej stronie wszyscy znów wpadają w korek.

Łatwiej przedostać się przez rzekę pieszo, chodnikiem na skraju mostu. Tragarze chodzą gęsiego, jak transportowy peleton. Mężczyzna z kwiatami zsunął się w dół po schodkach prowadzących na targ przy rzece. Na rozwiniętych płachtach leżą tu kwiatowe piramidy, węże girland, bukiety, pęki świeżych ziół. Handlarki zszywają jaśminowe łańcuchy, urywają aksamitkom łepki. Zanurzają w wiadrach dłonie i rozchlapują wodę na zemdlone upałem śliczności.

Nad ich głowami trwa wędrówka. Krępy chłopak manewruje w strumieniu ludzi, wyrzucając co chwila ostrzegawcze: „Oooj!”. Nie ma żartów, dźwiga na głowie pęk przewiązanych liną bambusowych pali, długich na osiem metrów. Ciężki i niebezpieczny ładunek. Jeśli stanie, trudno będzie je utrzymać — w ruchu ich chwiejność można kontrolować, ale nagłe hamowanie grozi katastrofą. Gdyby upadły, musiałyby poprawić wiązania, znaleźć kogoś, kto pomoże znów zarzucić je na głowę i wyważyć. Tragarze są poważni, skupieni i nawet w tłumie umieją wykroić własny szlak. Uprawiają arcytrudne skrzyżowanie baletu z ekwilibrystką. Ale ich taniec jest nisko wyceniany: dźwigają ci, którzy nie znaleźli lepszej pracy. Co nie znaczy, że nosić może każdy. Oprócz krzepy ten zawód wymaga spostrzegawczości i refleksu.

Za bambusami idzie człowiek dzban. Na głowie ma pęk kilkudziesięciu plastikowych naczyń, zgrabnie związanych za ucha i podtrzymywanych lewą ręką. W prawej podobna konstrukcja — wielka jak balon i nieporęczna. Nie dość, że ciągle ktoś się o nią obija, to łatwo zahaczyć o wyrastające niespodziewanie przeszkody. Indyjskie chodniki są porwane i obrośnięte dziwnymi konstrukcjami, z których stragan jest najmniej kłopotliwą. Każde drzewo to zakład fryzjerski z półeczkami i lustrem albo minisuszarnia z rozciągniętymi wokół sznurami. Każda wyrwana płyta chodnikowa staje się psią sypialnią, pozostawiona w przejściu beczka — przepełnionym śmietnikiem. Człowiek dzban nie zna dnia ani godziny.

W jeszcze gorszej sytuacji jest człowiek jajko. Kilkadziesiąt kartonów wypełnionych jajami, ustawionych jeden na drugim, wyrasta mu z głowy chwiejną kolumną. „Eeej! Oooj!” — słychać nieustannie, gdy bosa stopy pląsają nerwowo.

Na głowach transportuje się ciężkie worki ryżu, kosze z warzywami ułożonymi w idealne piramidy, klatki ze zwierzętami, butle z gazem i fekalia z latryn. Dźwigają mężczyźni i kobiety. Na budowach to one są od noszenia. Narzędziem przypominającym skrzyżowanie łopaty z motyką wsypują łupany kamień na tace. Ktoś pomaga podrzucić go do góry i ustawić na głowie. Odchodzą powoli. W ich ruchach jest doświadczenie i pewność.

Nie ma tylko romantycznej aury, jaką taki widok roztacza na wsiach. Hinduska wędrująca przez pola ze srebrnym dzbanem na głowie to najpiękniejsza z indyjskich ikon. Przesuwająca się w oddali sylwetka, smukła i

dystyngowana, wygląda jak płonąca świeca. Ciało okryte jaskrawym sari fantastycznie odcina się od pastelowego tła ziemi i pól. Tuż nad głową migocze jasny, niemal biały płomień — odbłask słońca w brzuchu pękatego naczynia.

Kobieta zbliża się, pobrzękują bransolety. Ruchy są wyraźniejsze i już nie tak powabne. Widać ociężałość, zmęczenie. Wreszcie pomarszczoną od słońca i wiatru twarz. Na szyjce dzbana zaciska się koścista dłoń. Ta sama, która co rano zbiera drewno, pierze, poklepuje płaczące dzieci po plecach, zagniata mączne placki, przesiewa ryż i dorzuca do paleniska krowie łajno.

Największym wyzwaniem logistycznym są w Indiach nie towary, ale ludzie. Nieustannie przemieszczający się różnymi środkami transportu, zawsze w ciasnocie i niepewności, czy starczy dla nich miejsca i jak długo potrwa podróż. W mieście Hindusi jeżdżą tak, jak żyją. Na niezliczone i trudne do wyobrażenia sposoby, na przekór napierającym ze wszystkich stron trudnościom, niezbyt szybko, wspólnie, choć każdy po swojemu. W ruchu ulicznym obowiązuje jedna zasada: naprzód. Kierowca ma przede wszystkim patrzeć przed siebie i nie wjechać w tego, kto znalazł się przed nim.

Każdy samodzielnie negocjuje warunki, na jakich dostanie się do celu. Jadą razem — to znaczy jednocześnie, tą samą ulicą — ale ich główne zadanie polega na omijaniu się, niedotykanii cudzej karoserii czy zderzaka, manewrowaniu między istnieniami bez kontaktu z nimi.

To fenomen indyjskiego społeczeństwa, podzielonego na grupy, które nie chcą mieć ze sobą nic wspólnego. Współistnieją według reguł materializujących się dopiero w

praktyce życia. Mają różne cele, inny styl jazdy, szybko rozpoznają, z kim im nie po drodze. Hindusi mówią, że ich świat to funkcjonujący chaos — nieuporządkowany byt, który pozwala wszystkim realizować swoje zadania, w pokrętny i nieprzewidywalny sposób każdego prowadzi tam, dokąd się wybiera.

Są w tym zjawisku cud i przekleństwo: nikt nie potrafi wytłumaczyć, jak to możliwe, że pojazdy na siebie nie wpadają. Widok indyjskiej ulicy w godzinach szczytu to panorama setek tysięcy katastrof, które się nie wydarzają. Jakaś siła — miliony sił — powstrzymuje tragiczne scenariusze w ostatnim momencie. Są ofiary i wypadki, ale przytłaczająca większość podróżnych dociera szczęśliwie do domu, umęczona, wielokrotnie ocalona. Dlatego mało kto domaga się zmian i ulepszeń. Przecież wszystko dobrze się skończyło.

Jazda po miastach i miasteczkach jest skomplikowaną choreografią. Oto jedzie samokontrolujący się tłum, w którym każdy dba o siebie, ale pilnuje także, by inni nie przekraczali intuicyjnie wyczuwanych granic.

Zamiast jednej wspólnej reguły są niezliczeni strażnicy ładu i praworządności. Nie unikają konfliktów i nie unifikują rozbieżnych dążeń, tylko na bieżąco rozwiązują trudne sytuacje. Ktoś się cofa, żeby ktoś inny wykręcił i przejechał. Ceną jest wysiłek, który ponoszą wszyscy uczestnicy ruchu, zyskiem — prawo do indywidualnego szlaku. Dużi i silniejsi, jak ciężarówki i autobusy, próbują uzurpować sobie większe prawa, ale w praktyce muszą często ustępować maluczkim: rowerzystom i riksarzom, z zadziwiającą śmiałością zmierzającym do celu. Dostojne

autobusy hamują niczym bramin, który zwalnia kroku, by nie zbliżyć się do praczki. Wszyscy muszą pozostać wyczuleni na obecność innych.

Gdyby jechali wzdłuż wymalowanych na jezdni pasów, pewnie byłoby im łatwiej; mogliby się zajmować wyłącznie sobą, zaufać zasadzie i w większym stopniu ignorować istnienie innych. Ale Hindusi nie chcą ujednolicenia ani zrównania. Strzegą podziałów i odmienności, bo choć są w nich uwięzieni, to czują się bezpieczni.

Wszyscy trąbią, sygnalizując: „Uwaga, jestem tu!”. Nie, żeby coś uzyskać, ale zaznaczyć obecność, zademonstrować, że się uczestniczy w życiu. Klakson pomaga w przepychance, ratuje przed zmiżdżeniem, ostrzega nieostrożnych, rzadziej pogania. Autobusy mają najgłośniejsze sygnały — wygrywają szaloną melodię, która ma przestraszyć i zademonstrować siłę.

Taksówki i samochody popiskują całkiem zwyczajnie; kierowcy odruchowo trzymają kciuk na klaksonie, trąbią bez wyraźnego powodu. Rikszarze rozpędzający rowerowe wózki naciskają gumową pompkę, której dźwięk ma w sobie coś ze zniecierpliwienia i z niezadowolenia — jak gęganie spłoszonej gęsi. Autorikszki — adekwatnie do swej zabawnej pudełkowej konstrukcji — oznajmiają przybycie bzyknięciem, sygnalizującym, że zbliża się niegroźny pojazd. Kulisi ciągnący wózki z pasażerami też się reklamują: nieodłączną częścią ich uniformu jest dzwoneczek przymocowany tasiemką do dłoni. Gdy biegną, uderzają nim o drewniane ramie rikszki.

Rowerzyści pociągają spust metalowych dzwoneczków. Płaczące się po pasach krowy i byki podzwaniają głośno,

kozy delikatniej, ale całe stado słychać już z daleka. Indyjskie ulice bez przerwy rozmawiają — można ich słychać z zamkniętymi oczami. Po zmroku do warkotu silników, gadaniny klaksonów i dzwonek dochodzi jeszcze mruganie. Tylko część kierowców włącza światła, chętniej nimi migają do tych przed sobą i jadących z naprzeciwka. Przesyłają sobie wesołe pozdrowienia w ciemności.

Okrągłe reflektory ambassadora szybko się zbliżają, ale wystarczy wyciągnąć dłoń i pokręcić nią w powietrzu tak, jak się macha na pożegnanie, a maszyna się zatrzyma. W samą porę, łagodnie. Kierowca wcale się nie wściekł. Wrzucił tylko ze zgrzytem bieg i chwycił kierownicę od spodu, żeby łatwiej było wykręcić. Ambassadorsy to ciężkie krążowniki, nie mają wspomagania, nie są zwrotne — kto siada za kółkiem, podejmuje wyzwanie i lepiej, żeby miał mięśnie ze stali.

Kierowca ruszył, ale zaraz znów hamuje, bo przed maskę wciska mu się zwinna zielona autoriksza z żółtym dachem. Trójkołowe cudo na gaz wjedzie w każdy kąt i wygramoli się z najgorszych tarapatów. Powolutku, sposobem, manewruje między innymi pojazdami, prześlizguje się przy wysokich krawężnikach — trochę bokiem, trochę na skos, bez nerwów, bo przecież nikomu nie zawadza. O centymetr od cudzego nadwozia, byle naprzód — sprawny kierowca potrafi tak pokonać labirynty wielkich korków, by na światłach znaleźć się w czołówce. Autoriksze są jak niepozorne owady, które wędrują z mazołem, a potem nagle zrywają się do lotu.

Z brawury autorikszarza skorzystali mniej odważni i przepływają tuż przed nosem ambassadora. Najpierw

kilkoro pieszych, którzy od dłuższego czasu stali na skraju ulicy i zbierali się do skoku, po czym wycofywali spłoszeni. Za nimi trzej tragarze, pchający długi wóz na drewnianych kołach — wrzeszczą, by im nie tarasować drogi. Te wory ważą chyba tonę.

Jakiś szalony rowerzysta — jeden z milionów — jedzie, jakby się miał wywrócić, macha kierownicą na boki. Przednie koło chwieje się tak, że trudno przewidzieć, dokąd właściwie zmierza, a jeszcze trudniej pojąć, że jednak nie upada i mimo licznych zygzaków wcale nie zamierza skręcać.

Kierowca ambassadora stracił cierpliwość, trąbi i rusza, rozpychając ludzi i krzyżując plany rozpędzonego autobusu. Tym razem kto inny poczeka. Żółty krążownik powoli sunie przed siebie. Za nim suną: dżip marki Tata, przyczepiony do starego roweru wózek wyładowany belami materiału oraz dwóch mężczyzn, których łączy zapakowana w biały materiał długa listwa — jeden niesie na głowie jej początek, drugi — koniec. Piesi i rowerzyści, by nie tracić czasu, schylają się i przechodzą pod nią.

Szoferzy prywatnych samochodów — własny pojazd z kierowcą to dopiero przekonujący symbol wysokiego statusu — jeżdżą z opuszczonymi szybami, a przed zakrętem — zamiast włączać kierunkowskazy, które nikogo tu nie obchodzą — nonszalancko zwieszają ramię za okno. Co lepiej sytuowani, wyczuleni na słońce i smog podróżują w samochodach ze szczelnie zasuniętymi czarnymi szybami. Wewnątrz panuje ziąb — bogaci Hindusi mają słabość do klimatyzacji. Za pomocą kosztownych urządzeń usiłują wytworzyć prywatny mikroklimat, odseparować się

od powietrza, którym oddychają masy.

Wszyscy jadący starają się wykorzystać przestrzeń, nie zostawiają luk, tylko przylegają do siebie jak najściślej. Tak samo piesi: dzielą ich najwyżej centymetry, dużo jest dotykania i ocierania się o siebie, bez delikatności, ale też bez agresji. Ciągłe napierają obce ciała. Nie ma się dokąd odsunąć, żeby uniknąć tej bliskości. Można tylko iść dalej.

Kierowcy trzymają się blisko, co — wbrew pozorom — gwarantuje bezpieczeństwo. Trudno się rozpędzić, ale łatwiej zahamować, a każdy manewr można, przy odrobinie współpracy, cofnąć. Drobne stłuczki i otarcia kończą się gwałtownymi, ale krótkimi wyrzutami. Nie czas ani miejsce na awantury, trzeba jechać. Pyskówki to zresztą część motoryzacyjnej kultury. Znudzeni i zmęczeni mężczyźni wyrzucają przez uchylone okna pretensje i upomnienia. Przywołują się do porządku i zawadiacko unoszą podbródki, jak chłopcy wyzywający się na pojedynek. Ale nikt tu nie jest skory do bójk, tak jak nikt nie ma racji — prawd jest tyle, ilu podróżnych.

Hindusi dzielą się na różne grupy. Ruch uliczny również ma swoje klasy. Z rodzajem pojazdu wiąże się określony status i szczególny styl życia. Motoryzacyjne subkultury trzymają się razem.

Surowa twarz, silne ramiona, podkoszulka na ramiączkach i przerzucona na karku chusta — tak prezentują się kierowcy wypakowanych pod niebo ciężarówek. Napęczniałe ładunkami, wyglądają jak garnki kipiącego mleka — towar wylewa się ponad stalowe ściany, więc przytrzymują go napięte liny. Szoferzy ukryci w kabinach spoglądają z góry na uliczny zgiełk — są ponad

to. Przeciskają się przez miasto z konieczności, ich świat to krajowe trasy, po których mkną bez takich ceregieli.

Rikszarze. Ci rowerowi, zawsze chudzi jak trzaska, obsiadają skrzyżowania i zaułki, mają swoje rewiry i humory. Nie wszędzie pojedą, nie zawsze zejda z ceny, ale zwykle wypatrują klientów, zapraszają, waląc dłonią w siedzisko: „Halo, gdzie chcesz jechać?”.

Przez większość dnia leżą, czekając na pracę, która przedwcześnie ich postarza. W czasie jazdy strumienie potu płyną po plecach, a całe ciało napręża się, by rozpędzić wózek. Filigranowi mężczyźni wożą grube staruszki z tobołami i całe rodziny. Gdy nabiorą prędkości, jest łatwiej — nuca, cmokają, a dla kurażu trąbią.

Częściej przebywają ze swoją rikszą niż z żoną, więc trójkołowe pojazdy mogą liczyć na ich względy i czułość. Pięknie wymalowane i wymyte są ozdabiane wizerunkami bogów i bollywoodzkich idoli, a na kierownicy — jak koronę — wiozą rzędy lusterek na wysokich pałakach. Z siedziska najlepiej ogląda się zagmatwane życie miasta: obrazy przesuwiają się powoli, można zatrzymać wzrok.

Kierowcy autorikszy noszą się oficjalnie: pracują w brzydkich i poplamionych mundurach, nieprzystających do finezji indyjskiego życia. Ani do energii, z jaką mkną przez miasto. Niewielkie zielone pudełka odpala się wajchą. Żeby ją szarpnąć, trzeba wysiąść z maszyny. Każdy szanujący się rikszarz ma na przedniej szybie przynajmniej jedną kolorową naklejkę z twarzą aktorki lub bogini, prowadzi boso, siedząc z jedną nogą wsuniętą pod pośladek, rozgląda się nonszalancko, nieustannie kombinuje i raz po raz się wychyla, by splunąć na jezdnię.

Taksówkarze zachowują się podobnie, tyle że stopy trzymają na pedałach i czerpią z jazdy więcej przyjemności: palą papierosy, głośno nastawiają radio. A do celu docierają dzięki opatrności bogów, którym stawiają na desce rozdzielczej małe świątynki. Migający kolorowo Ganeśa, otoczony tłącymi się kadzidłami i wspomagany zwiędłą girlandą dyndającą przy lusterku, niezawodnie usuwa przeszkody czyhające na trasie.

W Kalkucie kierowcy prywatnych autobusów pracują w duecie z konduktorami. Ci drudzy jadą właściwie na zewnątrz pojazdu. Stopy w klapkach opierają na ostatnim schodku i mocno się wychylają. Machnięciem ręki zatrzymują tych, którzy chcą zająć drogę, a kręcąc w powietrzu młynki, zachęcają innych do wyprzedzania. Doskonale zastępują migacze i sygnalizację świetlną. Są też żywym rozkładem jazdy — wykrzykują nazwy wszystkich ważnych punktów na trasie, bo przystanki są umowne, a do celu można dojechać na wiele sposobów.

Łup! — żylasta dłoń konduktora ląduje na blaszanej karoserii. Pojedyncze huknięcie to sygnał, żeby hamować. Gdy kierowca zwalnia, on wyskakuje i nagania pasażerów. Dwa uderzenia i jedziemy dalej. Między nawigacją musi znaleźć czas na typową konduktorską robotę. Kciuk pstryka w kartonik z biletami — charakterystyczne terkotanie oznajmia zbiórkę pieniędzy. Zamiast kasy skórzana torba objająca się o udo. Pełno w niej brzęczących monet. Banknoty, złożone wzdłuż, powplatał między palce — tworzą wachlarz, który nie krępuje ruchów dłoni. Choć w autobusie panuje ścisk, nikt się nie wymknie. Bileter wie, kto za co zapłacił, i przypomni, że pora

wysiadać.

Konduktorzy nie uczą się fachu w żadnej szkole, podpatrują kolegów. Mają te same gesty, identyczną intonację, za długie spodnie w kant i koszulki z kołnierzykiem. Są ich w mieście setki, a wyglądają jak bliźniacy. Łączy ich naturalne dążenie do podobieństwa. Stanowią solidny i spójny twór, wyraźnie wyodrębniony, jak sekta.

Inaczej jest w państwowych autobusach. Tam kierowcę i konduktora łączy urzędowa misja, z której wynika poczucie wyższości. W dyskusji z prywatniakiem konduktor ma zawsze rację, ale kłótnie zdarzają się rzadko, bo zatrudnieni na państwowej pensji mężczyźni prezentują spokój i powagę. Mniej w nich kowbojskiej fantazji, więcej oglady. Bombaj przemierzają w czerwonych autobusach — bardzo porządnym i widocznym z daleka — i w zielonych mundurach, ściskając w dłoni insygnium — kasownik. Wsiadając do takiego autobusu, jest się na neutralnym gruncie, pod opieką wykwalifikowanego stróża.

W Delhi rządowy transport ma kolor powagi — ciemnozielony. W Kalkucie jest weselej — niebiesko i żółto. Tam wciąż jeżdżą autobusy wyprodukowane przed kilkudziesięciu laty, z drewnianą podłogą i rzeźbionymi okienkami. O ile w Delhi i Bombaju lokalne władze zdominowały transport miejski, o tyle w Kalkucie królują prywatniaki. Liczą sobie trochę drożej, ale nie każą czekać.

Podróż przez Bombaj jest najbardziej przewidywalna — to jedyna metropolia, która zaakceptowała zachodni styl jazdy. Kierowcy trzymają się pasów, szanują sygnalizację miejską i przejścia dla pieszych, a autobusy mają

przystanki i naprawdę się na nich zatrzymują. To rzecz w Indiach egzotyczna, bo zazwyczaj czeka się do skutku i wskakuje w biegu. Bombaj jest synonimem klasy i dobrego stylu, brutalność byłaby nie na miejscu, szczególnie gdy się jedzie między strzelistymi kamienicami i wzdłuż eleganckiej Marine Drive.

Tylko New Delhi powstało w wyniku spójnej urbanistycznej wizji, zresztą bardziej przyjaznej pojazdom niż ludziom. Ulice są tak szerokie i puste, że wytyczone pasy tracą znaczenie, a wszechobecne ronda — utrapienie pieszych — eliminują niebezpieczeństwo kraksy. Jeździ się tam szybko i bezpiecznie, ale nudno. Za to w innych częściach miasta, szczególnie w Old Delhi, gdzie wiele ulic powstało, zanim wynaleziono silnik, podróż bywa mordęgą.

Stolica żyje szybko i agresywnie. Jazda jest bezwzględna przepychanką milionów ludzi, którzy znaleźli się w mieście niedawno, walczą o przetrwanie, nie liczą na pomoc i nie wyświadczają sobie uprzejmości.

Kalkuta jest przyjemniejsza, po części dlatego, że wciąż dominują tu łagodnie usposobieni Bengalczyki, słynący z zamiłowania do sztuki, ale po części również z powodu zapóźnienia: wielki biznes zjawił się tu z oporami, bo rządzący miastem marksiści często organizowali strajki. Ale metropolia się rozrasta, a jej mieszkańcy bogacą, więc przybywa samochodów. W latach sześćdziesiątych XX wieku dwupasmowe ulice i duże skrzyżowania służyły dzieciom za boiska do krykieta. Bardzo rzadko przejeżdżały nimi autobusy i taksówki, a prywatnych aut nie było wcale.

Dziś w dławiącej się od nadmiaru pojazdów Kalkucie dobrze widać, jakie wyzwania mają przed sobą pędzący na

spotkanie nowoczesności Hindusi. Za dużo samochodów, za mało dróg — nie ma jak przetransportować ludzi i towarów. Popyt i podaż tkwią w korkach, zamiast paść sobie w objęcia. Masowa produkcja sączy się wąskimi ścieżkami do portów, a mogłaby zalewać świat wielką rzeką.

Ale jak poszerzyć arterie miasta? Dokąd przesiedlić ludzi? Jak zamknąć i wyremontować drogę, nie blokując milionowej dzielnicy? Każdy remont wywołuje katastrofę. W Kalkucie latami wyrastały wiadukty, które miały uskrzydlić miasto, ale okazało się, że prowadzą donikąd i mało kto z nich korzysta. Po pięciu latach makabrycznych korków jest tylko gorzej. W Delhi i Bangalurze budowa metra wywołała paraliż i popłoch wśród rikszarzy.

Nikt rozsądny nie przychodzi w Indiach na spotkania punktualnie. Spóźnienia, nawet godzinne, są tolerowane. Wyjaśnienie: „Przepraszam, korki!” — to nie wymówka, tylko znana wszystkim dolegliwość, coraz bardziej uprzykrzająca życie, szczególnie tym, którzy chcą robić międzynarodowe interesy. Indyjski biznesmen żyje w strachu, że przyjedzie na spotkanie spóźniony, mokry od potu i szary od spalin. Ten koszmar przytrafia się codziennie, dlatego Hindusi na gwałt potrzebują klimatyzowanych samochodów i przejezdnych dróg.

Młodzi mężczyźni zadowolają się motorami pozwalającymi szybciej przebić się przez korki. Każdy indyjski chłopak, który ma za sobą wiele seansów bollywoodzkiego kina, tak wyobraża sobie idealne życie: duża, hałaśliwa i szybka maszyna, a na siedzeniu z tyłu śliczna dziewczyna z rozwianymi włosami. Siedząca po

męsku, a nie bokiem, jak otyłe ciotki i babki, i wtulona w jego plecy. Rozstanie z przejazdami motorem to pożegnanie z młodością. Po ślubie mężczyznę czeka przesiadka do rodzinnego samochodu lub na skuter. Ten ostatni w Indiach swobodnie mieści pięcioosobową rodzinę. Ojciec prowadzi, a udami podtrzymuje stojące za kierownicą dziecko. Siedząca z tyłu matka trzyma najmłodszą dwójkę na kolanach i kołysze się, by zachować równowagę. Tak jest najtaniej i najszybciej. O bezpieczeństwie myślą ci, których na nie stać.

W strategicznych punktach miasta stoją biali aniołowie. Indyjska drogówka nosi jasne mundury i hełmy oraz czarne skórzane oficerki, z powodu niedostatków często zastępowane gumowcami. Policjanci na środku skrzyżowań, w oku cyklonu, są atakowani ze wszystkich stron, ogłuszeni hałasem i odurzeni spalinami, od których chroni ich jedynie przewiązana na twarzy chustka. Dla efektu noszą przyciemniane okulary, duże i okrągłe, jak Sylvester Stallone w uwielbianej przez Hindusów serii filmów *Rocky*. I wpięte za skórzany pas kajdanki. Od czasu do czasu dmą w gwizdek, po czym wyciągają ramię — to wystarczy, by zatrzymać ruch na jednej jezdni. Potem obracają się na pięcie i kiwają lekko dłonią, co kierowcy bezbłędnie odczytują jako komendę „Naprzód!”.

Gesty policjantów są niedbałe, nonszalanckie, przypominają przeganiecie naprzykrzającej się muchy. Reprezentują władzę, a zarazem jej arogancję i bezsilność. Jeden umundurowany mężczyzna, otoczony przez tysiące podróżnych, usiłuje osiągnąć to, czego nie wskórały zawieszane nad jezdnią światła, sprawne, ale całkowicie

ignorowane. Ładu nie można w Indiach zaprowadzić poprzez abstrakcyjne reguły — każdą musi reprezentować choć jeden człowiek przekonany o swoim autorytecie i racji. Skomplikowana hierarchia społeczna nauczyła Hindusów poszanowania dla wyżej sytuowanych. Skłębieni kierowcy poddają się policyjnej pantomimie — łączy ich potulność wobec silniejszego.

Czekam tu od wieków

Autobus pędzi na oślep. Szarpie, nie zwalnia na zakrętach, jakby dzięki temu mógł szybciej pokonać ciemność i wydostać się z górskich serpentyn. A przecież gna ku szczytom Himalajów, gdzie drogi są coraz węższe i mocniej splątane. Silnik wyje z wysiłku, gdy pojazd sunie pod górę; zaraz potem opada w dół, bezwładnie, szaleńczo. I tak przez wiele godzin.

Kierowca ujeżdża bestię z radością, gazuje, pozwala jej hulać. Jest upojony, ani mu w głowie zwalniać. Napiera ramionami na wielką kierownicę, umięśnione ręce ciężko pracują. Im wyżej, tym krótsze stają się proste odcinki drogi — wreszcie zostają tylko zakręty. Blisko doba jazdy na krawędzi przepaści, bez zmiennika.

Niech osunie się dłoń, niech zabraknie kilku centymetrów — w dole leżą wraki. Wbite w skały pogniecione trupy ciężarówek i autokarów. Rozrzucone jak resoraki, które zepsuły się w samym środku zabawy.

Umęczone ciała kołyszą się w świetle sufitowej lampy. Nocny balet sylwetek targanych z prawej na lewą stronę, zemdlnych rąk uczepionych uchwytów, głów przetaczających się po oparciach siedzeń. Chłodny wiatr wpada przez otwarte drzwi, leci w głąb autobusu, ale zaraz

zawraca. Nadaremnie szukał ujścia, szyby są pozasuwane. Połowa podróźnych wymiotuje przez okna, uchylają je tylko na chwilę i wystawiają głowy. Pęd powietrza porywa wymiociny.

Klakson rozdziera noc kilka razy na minutę. Nie pozwala spać, płoszy zwierzęta. Ostrzega kierowców zbliżających się z naprzeciwka. Autobusy mijają się, zdzierając sobie farbę z boków. Każdy zakręt to nowa blizna na karoserii, ślad odwleczonego wyroku.

Znalazł się przyczółek — kawałek szerszego pobocza ze straganem z herbatą. Postój. Trudno wysiąść — jeszcze przez chwilę ziemia się kołysze, a wspomnienie klaksonu huczy w głowie, choć wokół panuje cisza. Kierowca i konduktor oglądają tylną oponę. Złazą się gapie i pomocnicy — część to pasażerowie, ale są i obcy, którzy wyłonili się z lasu. Dotykają gumowego bieźnika, gadają, kręcą głowami. Niewiele widać, zasłonili jedyną lampę, czarne sylwetki pochylają się i naradzają.

Nagle poruszenie — wybucha spór szybko załagodzony jakąś decyzją. Słychać brzęk metalu, szuranie. Czterech mężczyzn toczy wielkie koło w górę asfaltowej drogi. W ciemność, donikąd. Tam, gdzie więcej gór i drzew. Wyjaśnień nie będzie. Trzeba czekać.

Błyskają zapałki, dymią papierosy. Zaczynają się rozmowy. Po godzinach dramatycznej gry ze śmiercią można wreszcie odżyć. Nie tylko hinduskie brzuchy źle znoszą ruch, głowy też lepiej pracują, gdy świat nie wiruje. Sprzedawca herbaty dolewa wodę do czajnika. Dawno zamknięte w wielkim słoju herbatniki doczekały się swojej szansy. Do świtu daleko, do celu podróży jeszcze dalej, ale

nikogo to nie uwiera. Czas nie ucieka, rozlewa się wielką plamą. Im dłużej się czeka, tym jest go więcej.

Hindusi potrafią czekać. Żadnych zbędnych ruchów, niecierpliwych myśli. Zamiast forsowania zmian — spokój, niesłusznie mylony z uległością. Zachowali umiejętność, którą inni dawno utracili.

Europejczyk się kręci, zaraz zadaje pytania. O której ten prom? Będzie na pewno? Trzy razy potwierdza informację, jakby to gwarantowało pomyślny wyrok losu. Uwięziony w perspektywie wielogodzinnego oczekiwania szuka wsparcia. Potrzebuje sojuszników — tablicy z rozkładem jazdy, choćby starej i nieaktualnej, byle świadczyła, że czas ma granice. Trzeba mu gazet i książek, sączących się do ucha piosenek i przyjacielskiego popiskiwanego aparatu fotograficznego, który wyświetli kadry niedawnych przygód. Czegokolwiek, co pomoże przetrwać. Robi, co może, by popychać kolejne minuty.

Prom będzie po południu, tak mówili. A słońce dopiero wschodzi. Nie ma dokąd iść. Miasto jest nieciekawe. Wiele podobnych mija się w podróży: nijakich, zastygłych na kilku krzyżujących się uliczkach. Wybudowane bez wyraźnej przyczyny nie mogą się pochwalić ciekawą historią czy planami na przyszłość. Tkwią wśród lichych pól, ignorowane przez pociągi i autobusy, które pędzą, bo muszą zdążyć na czas. Jadą gdzieś, gdzie czas się liczy.

Na przystani pusto. Budynek zamknięty, odrapany, trudno powiedzieć, czy ktoś w ogóle w nim urzęduje. Pomost porósł zielskiem, stalowe obręcze do cumowania zardzewiały. Ani śladu życia, jeśli nie liczyć krowy na krótkim łańcuchu, którego koniec leży pod kamieniem.

Zwierzę wyskubuje suchą trawę i żuje, mrużąc dobrotliwe oczy.

Wszystko zastygło, zapadło w śpiączkę. Słońce grzeje coraz mocniej, wypala kolejne godziny. Żar obezwładnia, zaczyna się letarg. Książki, gazety, elektroniczne zabawki leżą nietknięte. Czas staje się nieuchwytny, niepodzielny na minuty i kwadranse. Pęcznieje jak wieczność. Jest się tu i teraz, ale też zupełnie gdzie indziej. Nie wiadomo jak długo.

Wreszcie ludzie zaczynają się schodzić i przysiądać z bagażami przy brzegu. Teraz słońce przypomina pomarańczę. Stary drewniany prom zjawia się na przystani jak rozradowany i hałaśliwy gość na cichej ceremonii. Dudni muzyka, wysiadają gadatliwi pasażerowie niedzielnego rejsu — dwie rodziny, razem kilkunastu najedzonych i szczęśliwych Hindusów. Przetaczają się nawałnicą, całkowicie obojętni na ciszę i znieruchomienie przystani. Kucające przy brzegu sylwetki prostują się i bezszelestnie wchodzą na pokład. Ławek jest dużo, ale wszyscy siadają przy burtach. Nagle czasu zostało niewiele, dzień wkrótce się skończy. Ale uda się jeszcze zobaczyć najpiękniejsze rozlewiska Kerali — słodkowodne *backwaters* i domki budowane na wąskich nasypach, ze ścianami niemal wyrastającymi z wody, rozwiane grzywy palm sterczących w równych rzędach, jak płoty rozdzielające poszczególne rozlewiska. Czasu wystarczy, by przed zmrokiem dotrzeć do kilku wysp, gdzie prom wysadzi i zabierze ostatnich podróżnych. Potem słońce urządzi spektakl — utonie w złocie i różu, zostawi na niebie liliową smugę, która szybko przygaśnie i pociemnieje.

Czekanie jest w Indiach nieodzowne — trzeba się go nauczyć, aby tutaj żyć. Mężczyzna owinięty poszarpanym *dhoti* siedzi na skraju kolejowego peronu — na marginesie, za niewidzialną linią. Wszystko dzieje się sto metrów dalej, w jakimś innym świecie: wsiadanie, wysiadanie, interesy, krzyki i gwizdy. Jemu nic do tego. On czeka.

Wygląda, jakby tak siedział od wieków. Z siwą brodą opadającą ku ziemi i skłębionymi włosami, które rosną, jak chcą. Poskręcały się. Robią wrażenie ruchomych, w przeciwieństwie do zastygłego ciała. Jedno podciągnięte pod brodę chude kolano sterczy spod czarnej skóry. Druga noga wciśnięta pod pośladek, wystaje tylko stopa — od spodu spękana i twarda, przypominająca kawał wysuszonego drewna. Dłonie splecione na kolanie spinają ciało klamrą. Palce pasują do siebie, odkształciły się już dawno, znalazły porozumienie.

Twarz pogrążona w oczekiwaniu, bez wyrazu. Żadnego napięcia, nadziei, chęci, cierpienia. Nie ma w niej nic. Nawykła do niezmienności już nie umie odegrać sceny gniewu czy zdziwienia. Oczy gdzieś patrzą, ale nie widzą. W stojącej obok blaszanej misce pusto. Od jak dawna? I czy długo jeszcze?

Wygląda na czterdzieści lat, ale może mieć również sześćdziesiąt. Przyszedł na dworzec zebrać dziś rano lub od dawna mieszka na peronie. Mógł wysiąść z pociągu przed chwilą lub przed rokiem.

Czas sprawił, że jest go mniej. Chudnie, znika. Ciało ograniczyło się do minimum. Już teraz można go z łatwością wziąć na rękę, jak dziecko.

Czekanie jest ciągłością. Istnieniem, a może niebytem. Śpiączką głodową lub medytacyjnym letargiem.

Nieruchome sylwetki strzegą swej tajemnicy. Usadawiają się na peronach, krawężnikach, schodach, chodnikach, pod drzewami, przy mostach, na miedzy. Zazwyczaj starcy. Pilnują granicy światów. Ich ciała są jeszcze tu, ale myśli i pragnienia odeszły. Pozostało czekanie — misja przypominania o wieczności. Manifestują bezruch w wibrującej doczesności, obnażają ułudę zmian.

Trwają, gdy wokół ponad miliard ludzi trzuci się, by przetrwać. Niczym milczący wysłannicy przeciwstawiają ciszę zgiełkowi życia. Ich obecność jest znacząca, mało kto się do nich zbliża. W pulsującym krajobrazie zastygłe ciała są boleśnie widoczne, onieśmielające. I nietykalne.

Indie nie biegną do celu. Siedzą. Od pięciu tysięcy lat zajmują się nieprzerwanym byciem, obracaniem w kołowrocie czasu. Według hinduskiej teorii stworzenia czas jest Bogiem, jego manifestacją. Zawiera w sobie przeszłość, przyszłość i terażniejszość, istniejące w nim równoległe i nieprzerwanie. Tworzy wszechświat, uruchamiając swe energie. Niszczy go, gdy powtórnie je wyłącza i wchłania. Po kosmicznej chwili odpoczynku znów zaczynają oddziaływać.

Tworzenie i unicestwienie to nieustający cykl, podzielony na trzy fazy: stworzenie, istnienie (zwane też podtrzymaniem) oraz zniszczenie. Dlatego Bóg przejawia się w trzech wyspecjalizowanych postaciach: Brahma tworzy, Wisznu podtrzymuje, Śiwa niszczy.

Cały ten proces to *kalaczakra* — kołowrót istnienia, którego nazwa powstała z połączenia słów *czakra* — „koło” oraz *kala* — „czas, życie”.

Bóg wytwarza czas, aby zaprowadzić porządek. W ten

sposób ogarnia chaos, ale rodzi też iluzję życia i śmierci. Czas istnieje dopóty, dopóki żyjemy na świecie i w niego wierzymy — jest wymysłem. Wiedzieli o tym starożytni i może dlatego nie archiwizowali historii indyjskiej cywilizacji — skoro świata naprawdę nie ma, zachodzące w nim zdarzenia są pozbawione znaczenia.

Dzięki istnieniu czasu doznajemy w ziemskim życiu narodzin, zmian, starzenia i śmierci. Czas wpędza nas w złudzenie, że między myślą a czynem upływają chwile, że jest jakaś luka między decyzją a jej wykonaniem. To on ponosi odpowiedzialność za nasze cierpienia.

Personifikacją czasu jest Jama, zarządca śmierci. On decyduje, jak długo będziemy żyć na ziemi. Śmierć to nie prawdziwy koniec, a jedynie brama do ponownych narodzin, przejście w zaświaty, gdzie nie ma czasu. Dusze są nieśmiertelne, nie znają początku ani końca. Życie ziemskie jest bolesnym rozdwojeniem i tylko jego zakończenie daje możliwość zatopienia się w wiecznym absolucie.

Przekonanie o cyklicznej naturze czasu hindusi zaczerpnęli z najprostszej obserwacji: po nocy następuje dzień, a po nim kolejna noc. Ta regularność dotyczy wszystkich, także bogów, ponieważ jest przejawem *ryty* — kosmicznego ładu, naturalnego porządku rzeczy. Można się go dopatrzeć w regularnym biciu ludzkiego serca, tempie oddechu, ale też w ruchu ciał niebieskich i ich wzajemnym położeniu.

Nieśmiertelni bogowie także mają swoje dni i noce: okresy aktywności i odpoczynku, tyle że u nich chwila trwa — w przeliczeniu na iluzoryczny czas ziemski — bardzo

długo.

Mędrzec Ganita, o którym napomina księga *Manusmryti*, dokładnie opisał metody liczenia kosmicznego czasu. Na boskim zegarze dzień i noc tworzą *kalpę*, trwającą równo 8,64 trylionu lat. Każda dzieli się na dwie *artha kalpy*, trwające po 4,32 trylionu lat i zawierające w sobie po tysiąc epok zwanych *mahajugami*. Te z kolei dzielą się na cztery *jugi* o różnej długości. Ostatnia z nich — *kalijuga* — trwa 432 tysiące lat i według najpopularniejszych szacunków żyjemy właśnie w niej.

Nie wszyscy badacze hinduskich kalendarzy są co do tego zgodni, ale wielu uważa, że *kalijuga* rozpoczęła się o północy 18 lutego 3102 roku przed naszą erą (według kalendarza juliańskiego). Wtedy właśnie nastąpiła epoka ciemności, bo to najbardziej ponury z kosmicznych momentów — dokonuje się upadek ludzkości, do głosu dochodzi zło.

Cztery *jugi* nie oznaczają postępu, ale stopniowe skarlenie świata i utratę kontaktu z prawdą. Byk *dharmy* — symbolizujący moralność — tylko w pierwszej *judze* stał mocno na czterech nogach, w każdej kolejnej epoce tracił jedną z nich. Obecnie chwieje się na jednej kończynie — ocalała zaledwie ćwierć moralnego ładu.

Kalijuga jest czasem chorób, klęsk i wojen, epoką materializmu, ambicji, pozorów, całkowitej utraty kontaktu z subtelną sferą życia. Samolubni władcy stają się zagrożeniem dla świata, ludzie migrują w poszukiwaniu jedzenia, zwracają się przeciw sobie, oddają rozpuście, ulegają uzależnieniom, łamią obietnice. Życie człowieka zostało zredukowane do cielesności, dlatego jego jedyną

troską staje się to, co namacalne.

Nie zawsze tacy byliśmy. W *satjajudze* — pierwszej z czterech epok — panowała czystość i cnota. Ludzie żyli blisko bogów i wyższych wymiarów istnienia. W *tretajudze* i *dwaparjudze* stać nas było jeszcze na cnotliwość, a choć coraz bardziej dręczyły nas grzechy i niespełnienia, potrafiliśmy żyć w prawości. Z czasem jednak dusze coraz bardziej obrastały ciałem. Zatraciliśmy kontakt z prawdą o świecie i sobie samych, nie mamy dostępu do wewnętrznego, subtelnego życia. W *kalijudze* wyrosła bariera między niebem a ziemią.

Będzie jeszcze gorzej, bo jesteśmy dopiero na początku epoki, w której zło ma się zmanifestować z wielką siłą. Spotęgują się grzechy, obłęd i cierpienia. Rozszaleje się apokaliptyczny demon Kali (niezwiązany z boginią o tym samym imieniu), a Bóg będzie potęgował chaos i zmącenie. Ostatecznością jest zniszczenie świata, czego dokona Śiwa. Wszystkie byty fizyczne przejdą wielką przemianę. Niektóre dusze pozostaną zanurzone w ignorancji i ciemności — posłużą do rozprzestrzeniania chaosu. Inne wyswobodzą się z cyklu narodzin i śmierci — będą przebywać w zaświatach.

Tak wygląda koniec wycieńczającego cyklu, upadek, który jest też jedyną szansą odbudowy i ponownego początku. Wkrótce unieruchomione przez Boga energie znów stworzą wszechświat.

Ile potrwa boski odpoczynek, nie wiadomo. Jeden dzień Brahmy ciągnie się przez mniej więcej 4,32 miliarda lat słonecznych i zawiera w sobie tysiąc cykli tworzenia. Tymczasem pogrążeni w ciemności ludzie liczą minuty,

godziny i tygodnie. Podobno pierwsze stosowane w Indiach pomiary czasu jako jednostkę przyjmowały długość mrugnięcia powieką. Dziś wpatrzeni w zegary hindusi pamiętają, że w kosmicznym kalendarzu są zaledwie okamgnieniem.

Zawsze tłok, wszędzie czekanie. Na dworcu, na poczcie, w świątyni. Ludzie cisnący się do kas, przepychający na targu, ustawieni w kilometrowych kolejkach do banków. Podzieleni według płci, pilnowani przez policję lub pozostawieni samym sobie. Zwykle spokojni i wytrwali, pogodzeni z trudami życia wśród milionów innych. Nieruchomi. Wolni od niepokoju, przykrości i irytacji. Pozbawieni pretensji wobec czasu, który przecież do nich nie należy.

Kierowca gasi silnik, zapada cisza. Wokół pełno samochodów, rikszy i skuterów. Nikt się nie rusza. Arteria wielkiego miasta, doszczętnie zapchana, nagle milknie. Ryczące potwory, plujące spalinami i z mazołem przeciskające do przodu, teraz grzecznie czekają. Rozkrzyczane rozrabiaki uciszone gestem nauczycielki. Gdzieś w oddali zapaliło się czerwone światło.

Powietrze ani drgnie. Wnętrze autobusu tężeje z gorąca, blaszane framugi okien płoną, a słońce odbija się w nich i oślepia. Stoimy ściśnięci, przylegając do siebie rozgrzаныmi pośladkami, sklejeni plecami; nie wiadomo, czyj pot przesiąka ubranie. Wymuszona intymność. Zakazany kontakt obcych ciał tutaj traci wymiar tabu — nikt o tę bliskość nie zabiegał i nikomu nie jest ona miła.

Krople płyną zagłębieniem kręgosłupa jedna po drugiej

— z karku do łędźwi, łaskocząc uda i łydki, aż wsiąkną w skórzane podeszwy sandałów. Zaciśnięte na poręczach pod sufitem dłonie są mokre. Pot kapie z łokci, zbiera się perlistymi granulkami na przedramieniu, ześlizguje po skroniach i za uszami. Każda kropla drażni, ale jest za ciasno, żeby ją obetrzeć. Czekamy bez ruchu, bez słowa. Minuty dłużą się, ciało słabnie.

Kiedy silnik wyrywa do przodu i przez okienka wpada pierwszy podmuch, wiatr wydaje się lodowaty i życiodajny. Przemoczone ubranie oszukuje uczuciem chłodu, ale szybko wyschnie i kiedy znów staniemy, nasączy się potem. Zostaną wyblakłe zacieki i kwaśny zapach.

Niepodległe Indie od ponad sześćdziesięciu lat każą czekać. Jakby powstały po to, by co dzień więzić miliony ludzi w niekończących się kolejkach. Przepisy są wszystkim, czas — niczym. Biurokratyczny teatr, w którym indyjscy aktorzy zastąpili Brytyjczyków, gra ten sam spektakl — coraz mniej przekonująco, coraz wolniej. Urzędnicy grzęzną w pozbawionych sensu dialogach, przechadzają się wśród zmurszałych dekoracji, akcja nie posuwa się naprzód.

Wiatr unosi zawieszoną w drzwiach zasłonę, bury materiał pęcznieje i faluje, odsłaniając duże pomieszczenie. Widać trzy masywne biurka z ciemnego drewna, zavalone papierami, zakurzone. Wyglądają na nieużywane. Udają tylko, że mogą się na coś przydać. Przy ścianach szare gabloty z metalu, za brudnymi szybami księgi — między okładkami sterczą pożółkłe strony, opisy na grzbietach wyblakły. Wszystkie są stare, nieaktualne, zachowane dla urzędniczego majestatu.

Przy biurkach, na byle jakich krzesłach, siedzi trzech mężczyzn. Dwóch śpi. Jeden z głową na blacie, ciężko, nieprzytomnie. Jego przepocona kurta pociemniała pod pachami i na plecach.

Drugi, gruby, miarowo dyszy. Brzuch w zapiętej ciasno koszuli rozdyma się i opada, odrzucona w tył głowa dotyka brudnej ściany. Chrapie, wyrzucając powietrze przez opuchnięte, spękane usta. Trzeci urzędnik, wychudzony i zupełnie siwy, siedzi wpatrzony w leżący przed nim dokument — dwie kartki maszynopisu, wypełnione czarną czcionką, ostemplowane. Ale nie czyta — jest otępiąły jak owad zanurzony w żywicy. Usnął, nie zamknąwszy powiek.

Pokój zalewa zimne niebieskawe światło jarzeniówek. Kolory, na zewnątrz tak intensywne, tu obumarły. Cała ta scena zatrzymała się w blaknącym kadrze. Tylko wiatrak pracuje. Trzy skrzydła wirujące pod sufitem rozpychają wilgotną zawieszynę, która późną wiosną zastępuje powietrze. Rogi dokumentów drżą, ale kamienne przyciski pilnują, by papiery zostały na miejscu. Tylko zasłona podrywa się co chwilę, obnażając uśpionych.

Stłoczeni w korytarzu ludzie też zastygli. Trzymają w rękach starannie złożone pisma i zalakowane koperty z fioletowymi stemplami. Inni urzędnicy przechadzają się tam i z powrotem, szurają sandałami. Przystają na środku korytarza, o czymś rozmawiają, ale z uśmiechów i potakiwań wynika, że nie o problemach zawodowych. Siadają przy biurkach, coś tam przekładają, przepisują. Wreszcie unoszą głowy, spoglądają na oczekujących i lekkim skinieniem przywołują interesantów.

Czas jest po ich stronie. Zabierają kwit i znikają na

długie kwadranse albo siedzą w milczeniu, studiując dokument, tylko po to, by z obojętnością odmówić załatwienia sprawy. Rzadko patrzą w oczy, zwykle na boki, przez zsunięte na czubek nosa okulary. Potrząsają nogami pod biurkiem, znudzeni monotonną zabawą w sprawowanie władzy.

Dokumenty, starannie wypisane i godzinami ściskane w niespokojnych dłoniach, wędrują na zakurzone sterty: przeleżą tak dni i tygodnie, zanim przeniosą się na biurko obok, po jeden niezbędny stempel. Trzeba będzie kolejnych wizyt, dni spędzonych w korytarzach, przypomnień, błagań i łapówek, żeby coś drgnęło i dalszy ciąg był w ogóle możliwy.

Indyjska biurokracja to potwór: rozrasta się, pożerając czas. Z bezlitosnej, ale też sprawnej i logicznej maszyny po 1947 roku zmieniała się w niewydolną i zagmatwaną płataninę. Na solidnym wiktoriańskim fundamencie Hindusi zaczęli stawiać dziwaczne przybudówki, doklejać prowizoryczne konstrukcje — powstał kuriozalny gmach, w którym nie da się mieszkać. Mnożące się stanowiska, procedury i przepisy, podział prostych zadań między różnych urzędników — to pozwala dać zatrudnienie wielu ludziom, zmanifestować wszechobecność państwa i pozory kontroli, być może nawet gwarantuje trwałość władzy, ale okropnie utrudnia życie. Urzędy przypominają samowładne chaosy. Jedyнным sposobem, by je pokonać, są łapówki.

Biurokracja w Indiach działa jak publiczna stołówka dla złaknionych władzy. Rozdziela zadania, by zaspokoić ambicje, prywatne i polityczne interesy, a jej najważniejszą walutą stał się czas. Urzędnicy — wyniośli, bezczelni i

rozleniwieni — wiedzą, że trzymają ludzkie losy w garści. Stać ich na obojętność, bo rządowa posada to gwarancja bez limitu. Raz zatrudnieni zyskują dożywotnią pensję i zakurzone biurko aż do emerytury. Łączy ich przedziwna misja — ze wszystkich sił starają się powstrzymać zmiany, jakby we śnie złośliwy demon szepnął im do ucha: „Cała wstecz!”.

Tymczasem nad Gangesem narodziły się już inne żarłoczne bóstwa pragnące postępu. Rozbudziły niecierpliwość i pośpiech, jakich ten kraj do lat dziewięćdziesiątych XX wieku nie znał. Młoda klasa średnia to „Generacja Już”. Nowi Hindusi nie chcą czekać, nie mówią o przyszłości, obchodzi ich teraźniejszość. Nie wystarczą im zapewnienia o potędze i potencjale Indii, muszą je poczuć na własnej skórze.

Potomkowie rodziców, którzy spędzili życie w kolejkach, wolą omijać ograniczenia. Potulność wobec rzeczywistości, przyjmowanie boskich wyroków z pokorą — to nie ich bajka. Chcą się bogacić, awansować, żyć wygodnie, dojeżdżać do pracy własnym samochodem i spać w miękkim łóżku. Nie składają daniny czasu w państwowym urzędzie i nie gloryfikują niepodległych Indii. Mają pragmatyczne oczekiwania, pojedyncze cele. Poruszają się po wolnorynkowej orbicie, byle dalej od biurokracji. Zamiast pielęgnować narodową megalomanię, zajmują się własnym szczęściem. Nie podróżują wagonami Kolei Indyjskich, tylko na pokładach prywatnych linii lotniczych. Popędzili jak zbudzeni z długiego snu sprinterzy i dogonili globalną czołówkę. Uciekają od życia w poczekalni świata. Ich determinacja, pracowitość i talenty mają wkrótce

decydować o gospodarczych losach ludzkości.

Jednak subkontynent jest zbyt zróżnicowany, by można go było naraz wystrzelić rakieta w przyszłość. Wektory czasu biegną tu w przeciwległych kierunkach i w różnym tempie: młodzi gońcy są elitarną drużyną, wciąż stanowią mniejszość. Większość Hindusów pokonuje życie piechotą, niczego nie przyspieszając. Gwałtowne poruszenie w miastach, wabiących miliony obietnicą sukcesu, to odległa baśń dla mieścin, gdzie czas się zatrzymał nie dziesiątki, a setki lat temu.

Indie żyją w wielu stuleciach naraz. Treści sprzed tysięcy lat wpadły do wielkiego dzbana i wymieszały się z nowymi zdobyczami cywilizacji — wszyscy piją z jednego źródła, nasiakają tradycją. Nikt nie jest od niej wolny.

Najmniej ci, którzy ostentacyjnie chcą się wyswobodzić. Klasa średnia, coraz zamożniejsza i wyznająca miłość kulturze Zachodu, urządza maskaradę. Porzucenie obyczajowości — strojów, zwyczajów, religijnego obrządku — rozgrywa się na powierzchni i prędzej czy później ustępuje pragnieniu identyfikacji. Indyjskie społeczeństwo jest opresyjne — nic dziwnego, że wielu ludzi pragnie uciec od rygorów. Jednak trudno uwierzyć, że im się to uda.

Kariera w korporacji, zamiłowanie do cheeseburgerów i stypendium na brytyjskiej uczelni zwykle znajdują spektakularny finał w hinduskiej ceremonii ślubnej i małżeństwie ze znajomą dziewczyną czy chłopakiem, odpowiednio urodzonymi i zaakceptowanymi przez rodzinę. Ci, którzy opuścili ojczyznę dla zagranicznych snów, są najbardziej zagorzałymi wyznawcami tradycji. Po odpowiednią partię wracają do kraju, gdzie rodzice i

wujowie już im kogoś wybrali.

Indyjska diaspora szczeni się konserwatyzmem. Im bogatsze rodziny i im więcej mają możliwości, tym bardziej rygorystycznie przestrzegają rytualnej i rodowej czystości — w zamożnych i wpływowych domach biją dwa zegary. Ale tylko jeden posuwa czas naprzód.

Także pojedyncze życie toczy się w kilku wymiarach. Hinduskie kobiety spędzają popołudnia z mitycznymi bohaterami, którzy dokonują niesamowitych wyczynów i pokonują demony. Walka dobra ze złem toczy się teraz na ekranach płaskoekranowych telewizorów, ale treść się nie zmieniła.

Szlachetny Rama wciąż zwycięża Rawanę, a bogowie zawsze ratują cnotliwą Sitę z płomieni. Hinduski XXI wieku mają ponadczasową idolkę. Chcą być jak Parwati, nieskazitelna żona Śiwy, symbolizująca płodność, cnotliwość i dom. Nowoczesne panie domu zyskały sprzymierzeńców w postaci malakserów, odplamiaczy, klimatyzatorów oraz własnych samochodów, ale żaden z tych wynalazków nie oddał ich od przeznaczenia. Tak jak kontrakt menedżerski i płynna angielszczyzna nie uwalniają mężczyzn od synowskich obowiązków. Starzy rodzice nauczyli się cierpliwości: dają dzieciom czas, bo młodość musi się wyszaleć. Ale kiedy wybija pora założenia rodziny, wyrozumiałość się kończy.

Czasy różnie odmierzane, pochodzące z odległych epok, sąsiadują ze sobą w całkowitej obcości: Indie to wszechświaty, które się rozmijają. Bosonogie sprzątaczkę z modnych apartamentowców odbywają podróż w czasie.

Pochodzą z wiosek pozbawionych prądu i bieżącej wody, żyjących zgodnie z rytmem dnia i nocy. Nowoczesność zjawia się tam jedynie w postaci plastikowego dzbana na wodę, tanich ubrań z poliestru i butelek coca-coli.

Stamtąd kobiety trafiają do rozświetlonych metropolii, gdzie skrupulatnie odtwarzają dawny styl życia. Gotują na żywym ogniu, śpią na ziemi, rodzą bez opieki lekarskiej. Najmują się do pracy w ekskluzywnych domach pełnych tajemniczej elektroniki, której boją się dotknąć.

Nad głowami niepiśmiennych biedaków przelatują odrzutowce. W Bangalurze kwitnie Dolina Krzemowa, a pod Kalkutą od rana do nocy tłuką się ręczne prasy drukarskie. Inżynierowie w drodze do domu mijają zakłady rzemieślnicze, gdzie przy lampce oliwnej ludzkie dłonie dokonują cudów. Dzikie słonie wykolejają pędzące pociągi. Wieżowce ze szkła i stali rosną dzięki bambusowym rusztowaniom powiązanim konopnymi linami. Tłuste byki ciągną na polach drewniane pługi i płoszą się na dźwięk motorów. Pobożni golą w świątyniach głowy, by przebłagać bogów, a bogate dziewczyny z Bombaju robią sobie z ich włosów peruki. Podczas majowego święta Akszaja Tritija, pomyślnego dla inwestycji, keralskie rodziny kupują złoto na kilogramy, indeksy giełdy w Bombaju zwyżkują, a tymczasem w Radżasthanie kilkuletnie dzieci biorą śluby. Jednego dnia rozmijają się wieki.

Podniecenie nowoczesnością milcząco ignoruje przyroda. Zatrzymuje ludzkie wysiłki, kpi z technologicznej pychy. Prędzej czy później każdemu przyjdzie się przed nią ukorzyć.

Ciężkie, gorące krople wpadają nagle do pokoju,

zalewając kamienną posadzkę. Zatrzasnęły się drewniane okiennice. Zrobiło się ciemno. Od wielu godzin nie ma prądu, otumanione wilgocią i gorącym komary krążą pod sufitem, wiatrak sterczy nieruchomo. Deszcz przerwał senną ciszę. W okolicznych domach poruszenie: kobiety wybiegają na dachy, zrywają bieliznę ze sznurków. Z werand znikają krzesła, wiadra i gazety. Pochowały się gdzieś bezpańskie koty i psy. Niebo poczerniało.

Deszcz wali w okiennice, chce przebić ściany. Już nie słysząc pojedynczych kropli, tylko ogłuszający łomot. Jeśli wystawić za okno rękę, cała zanurzy się w wodzie. Wyjść na monsunową ulewę to tonąć w ciepłych strugach, brnąć przez nie z trudem, ale i przyjemnością, bo w całkowitej samotności.

W czasie deszczu Indie pustoszeją. Mija godzina, a na ulicach woda po uda, wybijają ścieki, z rynsztoków wypływają śmieci. Wysokie wiadukty zmieniają się w groźne wodospady, na położone niżej jezdnie lecą hektolitry wody. Do samochodów i rikszy wdziera się ulewa. Spacerujące ulicami krowy teraz ani drgną wystraszone wzbierającą falą. Wszystko zwalnia i przystaje.

Monotonia ulewy rozwleka czas — świat szarzeje, powieki ciężko opadają, przychodzi zubożenie. Domy zmieniają kolory, brunatne cegły czernieją. Deszcze nie mają końca. Monsun to pora cierpliwości i pokory. Czas nostalgii i tęsknoty przegryzionej zapachem pleśni. Dni pochmurnego nieba, zawilgotniałych herbatników i umazanych szarym błotem *ćappali*. Czas niestrawności i zatrucia.

Deszcz paraliżuje miasta, odcina od świata wioski.

Zalane gliniaste szosy są nieprzejezdne, błotne lawiny zamykają górskie drogi, a wioski otoczone wodą przeistaczają się w wyspy. Wymodlony monsun przychodzi regularnie, ale pozostaje zagadką — jednym przynosi życie, innym zniszczenie. Wszystkim, sprawiedliwie, każe zaczekać.

Śiwa odjechał riksą

— Lotosy, jak miło! To nasze narodowe kwiaty. Spodobają się Lakszmi, zaraz jej zaniosę. — Cioteczka Binodini zadowolona kręci głową i kładzie bukiet na stole. — Siadaj, najpierw wypijesz herbatę.

Wiatrak furkocze, słychać odgłosy dwóch telewizorów w różnych częściach domu. Jej młodsza siostra, Amita, krząta się w kuchni ze służącą. W wąskim pomieszczeniu, przy kamiennym blacie zastawionym mnóstwem garnuszków, miejsca wystarcza akurat dla nich dwóch. Dobiega dziesiąta, kolacja prawie gotowa. Tuż po zmroku siostry odprawiły wieczorną *pudzę*. W małym pokoju pośrodku domu, gdzie rezydują figury bogów: Durgi, Ganeśi i Lakszmi. Tam się modlą i wielbią swoich opiekunów, ale boskie znaki są wszędzie, strzegą każdego pomieszczenia. Amita zbiera figurki słońogłowego Ganeśi w najróżniejszych wydaniach: z gliny, ze szkła, z drzewa sandałowego, marmuru.

Jedno piętro domu zamieszkują dwie siostry, które poślubiły braci. Ich dorosłe dzieci wyjechały do Stanów Zjednoczonych. Rodziny mają osobne kuchnie, łazienki, sypialnie i salony. Osobne garnki i telewizory, osobne życia, ale drzwi w korytarzu są otwarte, można wchodzić

bez przeszkód. Dziś będzie wspólna kolacja.

Binodini opowiada o ostatniej wizycie w Ameryce.

— Odwiedziłam wnuczki, takie już duże! — Zatacza dłońmi koło, po czym wraca do kwiatów. Rozsuwa je, delikatnie chwyta jedną z główek. — Miesiąc tam siedziałam. Mają dobre szkoły, dobre życie. — Uśmiecha się z czułością do wspomnień i różowego pęku, który trzyma w dłoni. Naciska na główkę, lekko ją rozgniatając. Zaczyna odwijać sklezione ciasno płatki — jeden po drugim układają się w równą tarczę. Pod drobnymi, krótkimi palcami rozkwita lotos.

Amita przysiada się, a jej sari wydaje cichy szmer. Bierze drugi kwiat, otwiera go płatek po płatku, jeszcze delikatniej i piękniej niż siostra. Rozmawiają po bengalsku — słodkie, śpiewne sylaby rozplývają się w powietrzu jak czuła piosenka. Mówią bez pośpiechu, uśmiechają się lekko. Ich dłonie płyną — podkreślają słowa drobnymi ruchami, po czym znów głaszczą i obracają kwiaty.

— Dla ciebie przygotowałam kurczaka, ale my dziś pościmy. — Amita przedstawia program wieczoru. — Najpierw zjedzą mężowie. Potem my siądziemy. Teraz możecie iść do Lakszmi, ja dokończę gotowanie.

Wstaje trochę ospale, z ociężałością typową dla niemłodych już Hindusek — chodzą, przenosząc ciężar z jednej nogi na drugą, kiwają się, jakby chciały ominąć zebrany pod brzuchem zwój sari. Przyspieszają tylko na spacerach, które nazywają joggingiem. Rano maszerują wzdłuż ruchliwej obwodnicy, wieczorami kilka razy obchodzą osiedlowy staw otoczony kamienną alejką i ławkami. To ich rozrywka przed kolacją i modlitwą.

— Chodź, chodź! — Binodini zaprasza do swojej części mieszkania. Jej oczy błyszczą, cieszą się na ważne spotkanie. Na końcu korytarza salon tonący w niebieskawym świetle telewizora. Mąż siedzi w fotelu, ogląda wiadomości. Uśmiecha się nieznacznie, kiwa głową:

— Witam, witam.

Przy ścianie, na komodzie, siedzą mali bogowie. Oświetleni kolorową lampką wdychają aromat tłętego się kadzidła. Niezmiennie młodzi, prześliczni. Usadowieni na swoich wahanach, rozkładają ręce. Sylwetki są nieproporcjonalne, anatomia się nie zgadza, ale to nieważne — ich łagodne twarze, rozświetlone błogością i spełnieniem, ukołyszają wszystkie niepewności. Binodini troskliwie kładzie kwiat tuż przed figurką Lakszmi. Telewizor błysnął, na ustach pięknej bogini zadrżał uśmiech. Drobne dłonie kobiety, pomarszczone, ale wypielęgnowane, składają się w geście pozdrowienia.

— Kolacja gotowa — zwraca się cicho do męża Binodini.

— Tak, tak.

Godzinę później mężczyźni wracają przed telewizory, służąca składa brudne naczynia do miski, a resztki jedzenia zrzuca do garnuszków. Siostry siedzą przy stole, spokojnie mieszając dłońmi ryż z duszonymi warzywami.

— Pościmy od kilku dni. Jemy bardzo proste posiłki, wegetariańskie, prawie bez przypraw — mówi Amita. — To dla Kryszny. Z okazji jego urodzin.

Nikt im nie kazał, same tak postanowiły. Boga można wielbić na różne sposoby, każdy wybiera własną drogę. Hindusów nie obliguje żaden powszechny obowiązek religijny. Posty i wraty, śluby oraz modlitwy odprawiane w

konkretnej intencji — to specjalność kobiet. Proszą w ten sposób o pomyślność dla mężów, zdrowie dla dzieci, obfite żniwa i słoneczne dni w zimie. Wyrzekają się przyjemności i komfortu, powstrzymują potrzeby. Zadana sobie praca i dyscyplina to duchowe ćwiczenia, które prowadzą do lepszego życia.

Rakesh nie ma w domu ani jednego wizerunku boga, a sądząc po okrągłym brzuchu — nie oddaje się też ascezie. Chętnie zapali, bo to sprzyja rozmowie. Zaczytuje się w książkach o jodze i ma nadzieję, że kiedyś uda mu się przejść od teorii do praktyki, ale na razie jest zbyt zapracowany.

— Przeszedłem na świat jako hindus, urodzony z hinduskiego ojca. Nie zrobiłem nic, by się nim stać, i nie muszę nic robić, żeby nim pozostać. Nie chodzę do świątyni, nie odprawiam *pudży*, bywam tylko na weselach i ślubach. Ale to nie znaczy, że jestem złym hindusem. Żyjąc, wypełniam swój obowiązek.

Jest odczytany, elokwentny, przytacza epizody z *Ramajany* i *Bhagawadgity*[33], obrazowo opisując wolność, jaką daje hinduizm. Swobodę wynikającą z wielości. Ta religia nie ma jednej świętej księgi ani niepodważalnych dogmatów. Jest jak drzewo, które rozrastało się i rozgałęziało przez wiele tysięcy lat, tworząc skomplikowany system.

Różne szkoły oferują różne rozwiązania, ale żadna nie ma monopolu na prawdę. Są między nimi obszary porozumienia i bardzo poważnych sprzeczności. Ciągłe dyskusje i dociekania zapewniają żywotność myśli, a różnice prowadzą do reform. Hinduizm pracuje jak

hurtownia religijnych konceptów, zbiór eksperymentów reprezentujących wszystkie możliwe podejścia do filozoficznych i duchowych problemów. Jest religią gościnną, chętnie wchłaniającą zewnętrzne wpływy. Gromadzi pomysły i zadaje pytania.

Kamała, pulchna pani domu, przekroczyła czterdziestkę. Wyprawiła jedyne go syna na zagraniczne stypendium, więc teraz spędza czas, zamartwiając się o niego i prosząc bogów o opiekę. W przestronnym domu w Coimbatore ma wszystko, czego jej potrzeba: jasny salon z miękkimi kanapami, dużą szafę z kolekcją sari i kuchnię, w której można zaparkować samochód.

Właśnie szykuje śniadanie — wlewa białe ciasto do metalowych foremek ustawionych na garnku z gotującą się wodą. Zanim zaparzą się *idli*, zdąży odwrócić przysmażoną na złoto *dosę*, kruchą i cienką jak kartka papieru. Tyle ma spraw na głowie — w salonie siedzą goście, czekają na chłodną wodę, ponoć najczystsza w całych Indiach. Pędzi przez korytarz z dzbankiem i szklankami, słysząc, że się zbliża, bo dzwonią srebrne bransolety i *pajale*. Stawia naczynia na ławie i rusza z powrotem, żeby nie przypalić śniadania.

Nagle dzwonki cichną. Przystanąła w korytarzu, przy niewielkiej szafce, w której trzyma kolekcję miniaturowych bogów. Skrzypnęły drzwiczki. Spory tu tłok — obok typowych rezydentów hinduskiego panteonu są postaci zaproszone z innych wierzeń: młody Budda, przez część hinduskiej tradycji uważany za wcielenie Wisznu, oraz Chrystus. Stoją zadowoleni z sąsiedztwa, nikt tu nikomu nie przeszkadza. Być może kiedyś dołączy do nich Shah

Rukh Khan, bollywoodzki gwiazdor, który już cieszy się boskim statusem. W świątyniach stoją przecież posągi ludzi — zmarłych guru, a nawet Indiry Gandhi. Sprzeczność jest naturalna i mile widziana.

Zdyszana Kamala przykłada opuszki palców do figurek, a potem do czoła. Powtarza gest pospiesznie, ale ostrożnie. Przymyka oczy, jej usta bezgłośnie recytują modlitwę. I już — zamyka szafkę, rusza do kuchni, wrzucić gorące *idli* na tacę.

Tak jak Binodini i Amita Kamala żyje wśród podobizn bogów, otoczona kochanymi postaciami, którym okazuje miłość i wdzięczność. Dni upływają w boskim towarzystwie i poczuciu bliskości tego, co święte. Kobiety obchodzą się z bogami jak z przyjaciółmi, ale czczą ich jak istoty wyższe. Taki związek przyjezdnym często wydaje się prymitywnym i powierzchownym hołdem dla idoli, ale jest w rzeczywistości głęboką i trwałą relacją z Bogiem — wszechmocnym, wszechobecnym i wszechwiedzącym. Jedynym.

Hinduizm wymaga wyobraźni. Troskliwe Hinduski nie czczą przecież Durgi, wierząc, że groźna bogini naprawdę ujeżdża w niebie tygrysy i morduje demony. Za wyrazistą ikonografią i pięknymi mitami kryje się abstrakcyjny Bóg, z którym łatwiej kontaktować się przez mediatorów. Hinduscy bogowie są rozległą galerią spersonifikowanych aspektów Najwyższego, szczegółową reprezentacją jego właściwości. Można powiedzieć, że zostali rozesłani jako przedstawiciele absolutu przenikającego istnienie. W ich osobach to, co niepojęte i wieczne, nabiera zrozumiałych kształtów — zostaje oswojone. A poprzez zestaw rytualnych

czynności i zachowań wpisuje się w bieg życia.

Hinduizm nie ma jednego założyciela i nie jest wytworem konkretnej epoki historycznej. Jego początki sięgają cywilizacji Doliny Indusu datowanej na trzecie tysiąclecie przed Chrystusem. Przypuszcza się, że część wierzeń i praktyk z tamtego okresu — choćby święte kąpiele — przetrwała po dziś dzień. Ale później, w drugim tysiącleciu przed Chrystusem, pojawili się na półwyspie jasnoskórzy Ariowie i zdominowali północne tereny dzisiejszych Indii. Z ich języka wywodzi się sanskryt. Wyznawali religię politeistyczną, a ich mitologia była zbliżona do greckiej — bogowie reprezentowali siły natury.

Ariowie lubili rytuały i ofiary, dokonywali ceremonii na świeżym powietrzu, przy ogniu. Miejscową ludność traktowali z góry, mimo że mogliby pozazdrościć jej rozwiniętej kultury miejskiej. Pamiątką po ich dyskryminacyjnych tendencjach jest rozwinięty system klas i kast. Religia Ariów została udokumentowana w *Wedach*. *Upaniszady*, powstałe później, zerwały z politeizmem, wprowadziły koncept jedności Boga i wszelkiego istnienia. Zapisana w nich formuła „Tyś jest nim” mówi, że człowiek i Bóg są tożsami, a świat stanowi manifestację Boga.

Zbliżenie z Bogiem można osiągnąć różnymi sposobami, między innymi poprzez modlitwę, naukę, a więc dociekania filozoficzne, medytację, pracę i uczynki, wreszcie — przez oddanie się Bogu i wielbienie go. Żadna z metod nie jest lepsza czy skuteczniejsza. Wyżej urodzeni i wykształceni wolą wysublimowane praktyki i studia filozoficzne, ale to droga dla wybranych. W pierwszym wieku przed Chrystusem upowszechniło się pojęcie *awatara* — czyli

konkretnej, ludzkiej postaci Boga. Odtąd jest on czczony pod wieloma imionami. Nie wszystkie szkoły hinduizmu akceptują istnienie *awatar*, ale większość przyjmuje ideę jednego Boga.

W *Mahabharacie* i *Ramajanie* (zaczęły powstawać około czterystu lat przed Chrystusem, ale długo były przekazywane ustnie; spisano je kilkaset lat później), będących dziełem poetów wielu pokoleń, można znaleźć panoramę wspólnej i dość spójnej kultury indyjskiej. Oba eposy są źródłem wiedzy o popularnych praktykach religijnych. Koncentrują się nie tyle na wierzeniach, ile na kodzie postępowania, który — mimo istotnych rozbieżności — ma wspólne podstawy. Najważniejsze są: wyrzeczenie się siebie, bezinteresowne działanie, szczerłość, prawda, miłość, cierpliwość, cnotliwość i uprzejmość, wybaczenie, sprawiedliwość, a także dążenie do Boga w najwłaściwszy dla siebie sposób.

Hinduizmu nie sposób opisać w ścisłych religijnych terminach, bo ma więcej wspólnego z naturą i zachowaniem ludzi. Liczy się przede wszystkim to, jak żyjesz, a nie to, w co wierzysz. O ile jednak daje swobodę w zakresie przekonań, o tyle stawia konkretne wymagania dotyczące sposobu postępowania, czy inaczej: praktyki życia, moralności, etyki i prawa. Tę właśnie sferę określa się trudnym do przetłumaczenia terminem *dharma*.

Opowieści zawarte w *Mahabharacie* i *Ramajanie* przypominają baśnie i legendy, ale są poważnymi rozprawami na temat cnót. Bohaterowie obu tekstów stali się wzorami do naśladowania. Nawet najszlachetniejsi z nich mają jednak wady i słabości — niektórzy nie mogą się

powstrzymać od hazardu, inni mają marne pochodzenie. Eposy dają również lekcję tolerancji. Artyści i myśliciele wciąż zagląдают do nich w poszukiwaniu natchnienia — opisani herosi żyją w telewizji, kinie, piosenkach, tańcu, teatrze i poezji.

Późniejsze szkoły hinduizmu jeszcze bardziej przybliżyły abstrakcyjnego Boga zwykłym ludziom. W przeciwieństwie do ekskluzywnych praktyk, dających dostęp do rytuałów jedynie szlachetnie urodzonym, reformatorzy głosili, że równie wartościowe jest samodzielne i swobodne okazywanie Bogu miłości. Modlitwy domowe są tylko jedną z wielu okazji do kontaktu; ceremonie odbywają się w świątyniach, a w hinduskim kalendarzu aż roi się od festiwali poświęconych poszczególnym bogom, ważnym mitycznym wydarzeniom czy porom roku.

Nie ma decydującego znaczenia, jakich bogów się czci ani w jaki sposób.

Większość ludzi jest przywiązana do tych wcieleń, z którymi dorastała. Poszczególne grupy etniczne, kasty, obszary geograficzne i zawody mają własne preferencje. Niektóre z boskich postaci cieszą się sympatią w całym kraju — ogólnoindyjski plebiscyt wygrałby zapewne pulchny Ganeśa — inne mają wyznawców w jednym stanie, wśród rozrzuconych po kraju członków kasty albo w jednej wiosce. Hinduizm żadnemu z bogów nie przyznaje wyższości ani nie wymaga, by go czcić na wyłączność.

Szczególne znaczenie zyskała trójca — *trimutri* — a więc Brahma, Wisznu i Śiwa, jednak ten pierwszy nie cieszy się takimi względami jak pozostali. Choć to on odpowiada za stworzenie świata, ma zadziwiająco mało wyznawców. Natomiast Śiwa i Wisznu stanowią dla siebie

godną konkurencję. Dla nich się pielgrzymuje, oddaje ascezie i buduje wielkie świątynie.

Wyjątkową serdecznością i oddaniem hindusi darzą boginie. Jest ich wiele — to intrygujące charaktery, często niejednoznaczne i reprezentujące sprzeczne dążenia. Ambiwalencja jest zresztą wpisana w mitologię: bogom i bóstwom zdarzają się wpadki. Weźmy morderczą Kali, grasującą po polach bitewnych w naszyjniku z czaszek, unicestwiającą demony i grożącą zniszczeniem wszystkiego wokół. Jej przerażające wizerunki i świątynie, w których są składane krwawe ofiary, przyciągały ciemne charaktery. Była ulubioną boginią *thugów* — budzących postrach złoczyńców, pionierów gangsterskiej profesji.

Lecz Kali niszczy, aby umożliwić odtworzenie ładu; jej straszliwe działania są drogą do nowego początku. Zresztą nawet tak bezlitosnej bogini może się przytrafić przykra historia: zaślepiona zabójczą pasją i pochłonięta tańcem zniszczenia nadepnęła kiedyś na Śiwę.

Gdy zdała sobie sprawę z gafy, ze wstydu wystawiła język. Ten ludzki, budzący współczucie odruch został uwieczniony w jej wizerunkach. Łatwiej zbliżyć się do czarnego posągu i złożyć w ofierze kwiaty, gdy w okrutnej twarzy dostrzega się cień zakłopotania.

Bóg jest wszędzie, wystarczy się rozejrzeć. Właśnie tędy przechodził, zostawił ślady. Tam, na drzewie — przybity gwoździem obrazek przystrojony małą girlandą. Tu, na murze — trzy wymalowane twarze. Na framudze: jaskrawa naklejka z Ganeśą odbija promienie słoneczne i mruga: „Wszystko będzie dobrze!”. U zbiegu dwóch ulic, w

wyłożonej glazurą kapliczce, zebrało się ważne towarzystwo: Kryszna z ukochaną Radhą, małpi Hanuman i Ganeśa — gruby, ale wszędzie się wciśnie.

Bramin ubrał ich w lśniące materiały, okadził i obsypał kwiatami. Siedzi przy lampce oliwnej i czeka na bogobojnych, których pobłogosławi za drobną opłatą. Usadowiona na lotosie Lakszmi sprzyja bogactwu, pilnuje interesu — jednym okiem zerka na sprzedawcę telefonów, drugim — na klientów. Długowłosy Śiwa odjechał właśnie riksą, przylgnął do karoserii, jak zwykle ściskając w ręku trójząb. Durga i Kali podróżują autobusem, wetknięte za drewnianą listwę — obserwują i są obserwowane; w korkach jest dość czasu, by spojrzeć im głęboko w oczy.

Bogowie i ich symbole opanowali indyjski świat, wszystko widzą, roztaczają opiekę. Nie trzeba im wiele, żadnych wielkich zaszczytów — ot, skrawek miejsca. Nawet jeśli siedzą wciśnięci w jakąś szczelinę, wyblakli, obtłuczeni czy rozdarci, ludzie o nich dbają. W najdziwniejszych zaułkach tłą się knoty i kadzidła, figurki lśnią od klarowanego masła, wokół więdną płatki. Wszędzie widać dowody czułości, nie odświętne — codzienne, zostawiane przy okazji, pomiędzy innymi ważnymi sprawami, a więc stopione z życiem. Obrośnięte nim, a nie wyodrębnione przez ceremonie. Oto miłość idealna — głęboko zakorzeniona, właściwie odruchowa, nieświadoma.

Mówią, że ma ponad sto lat, nigdy nie śpi i prawie nie je — czerpie siły z haszyszu. Rzeczywiście — wygląda, jakby już dawno przekroczył setkę. Jego brzydka, niemal odrażająca twarz to odlana z wosku maska. Tak stara, że zobojętniała na czas. Bielusieńkie włosy opadają na policzki

regularnymi falami, nos ma zagięty jak u złego czarnoksiężnika. Guru. Siedzi w rogu, na wysokim łożu, przykrytym połyskującą narzutą. Ma zamknięte oczy, wygląda jak nieżywy. Ale kiedy się budzi i zaczyna rozglądać, na plecach czuje się dreszcz.

Tuż przed nim, na surowych deskach, przycupnęło dwóch mężczyzn. Dostąpili łaski. Obaj są na granicy hysterii i uniesienia. Wpatrują się w niego z uwielbieniem, trwogą i oddaniem. Zamykają powieki, przyciskają złożone dłonie do czoła, pochylają głowy. Jednemu płyną łzy, drugi w ogóle nie otwiera oczu — zamarł, jakby przeniósł się gdzie indziej. Guru nie wykonuje żadnego gestu, ale jego obecność paraliżuje.

Wokół, na zbitym z bambusowych pali i desek podeście, rozsiadło się około dwudziestu osób, w tym uczeń o elektryzującej aparycji. Szczupły i wysoki, dawno zapuścił włosy — siwe strąki sięgają za ramiona. Na twarzy i rękach różowobiałe plamy, objaw bielactwa: jakby ciemna skóra została w wielu miejscach zdarta. Siedzi przy ścianie w towarzystwie dwóch skośnookich dziewcząt o natchnionych i łagodnych twarzach. Jedna delikatnie masuje mu kark, druga podaje palcami jedzenie prosto do ust. Bezszelestnie i milcząco krążą i zabiegają — pielęgnują rzadki, cudowny okaz, który może przeżyć tylko dzięki uwielbieniu.

Podest nie tylko oddziela guru i jego świtę od tłumu, jest też sceną. Na środku występują hipnotyzujący śpiewacy — *baulowie*. Występ każdego trwa godzinę, dwie, z czasem staje się bardziej intensywny, wprowadza w trans. Przerwy są krótkie, zaraz zjawiają się następni. Ta noc będzie długa.

Występom przygląda się około tysiąca widzów — siedzą i leżą, opierając się o siebie. Przywieźli koce, worki, gazety — po zmroku wilgotna ziemia robi się lodowata. Namiotów jest kilkadziesiąt, a w każdym można oglądać podobne sceny: następujące po sobie widowiska z pogranicza artystycznego występu i duchowej ekstazy.

Wszędzie ścisk, na festiwalu jest kilkadziesiąt tysięcy osób. Większość ze wsi, jechały na dachach autobusów, które teraz stoją zaparkowane pół kilometra dalej. Zbite w stalową masę stanęły bok do boku. Nikt się stąd nie ruszy do rana — drogi są niebezpieczne, wiejskie gangi urządzą blokady i rabują.

Ludzie krążą w ciemności. Rzeka głów. Świateł niewiele, tu i tam naftowa lampa, tylko na scenach jasno. Tysiące handlarzy — dotarli tu ze swoimi nożami, linami, garnkami i drabinami. Porozkładali torby, ubrania, piszczące zabawki, biżuterię i wróżby. A ludzie łażą, gapią się i dziwią — wszystko jest spektaklem.

Kręci się spora karuzela, rozświetlona jak kosmiczny spodek, który magicznie wylądował na bengalskiej wsi, kilka godzin drogi od Śanti Niketanu. Wokół dużo stoisk z dewocjonaliami. Króluje Kali — jej czarną twarz w kilkunastu rozmiarach wystawiono w plastikowej gablocie. Są świecące obrazki na baterie. Plakaty i rzeźbione figurki. Niedrogo, a przecież w taki dzień trzeba kupować.

Baulowie są wolni jak wiatr, zawsze w ruchu. Odrzucają więzy, umierają dla świata, by zyskać swobodę za życia; tylko nieliczni zakładają rodziny. Nie przywiązują się do rzeczywistości, ignorują powszechne obyczaje i nakazy,

tworzą własne. Nie uznają kast, nie mają bóstw ani świątyń, cenią prostotę. Pochodzą z niskich warstw społecznych, wędrują w „poszukiwaniu Pana swego serca”. Cieszą się istnieniem — robią to przez taniec i poruszający śpiew. Do miłości boskiej zbliżają się poprzez ziemską, nie żyją w ascezie. Szukają harmonii między pragnieniami materialnymi i duchowymi. Nie spisują historii — jej przekazywaniem zajmują się guru. Pochodzący z Bengalu *baulowie* są jednym z największych fenomenów hinduizmu: odrzucając tradycje, pozostają jego częścią.

Kończy się kolejny występ. Ludzie przysypiają, gdy na scenę wchodzi dwóch *baulów*. Zaczynają ekstatyczne przemówienia. Ludzie się budzą, pokrzykują z aprobatą — zbliża się kulminacja. Jeden z mężczyzn prezentuje przywieziony przez przyjaciół z Pakistanu podarunek dla czcigodnego guru. Wyciąga w górę ramiona, żeby wszyscy mogli zobaczyć okazałą grudę haszyszu. Podnosi się wrzawa.

Znów rozbrzmiewa muzyka, a starzec zaciąga się dymem z podanej mu na tacy fajki. Kaszle. Nieruchomym dotąd ciałem szarpią konwulsje. Gdy uspokaja się, pali dalej. Wśród usadowionych na scenie krążą tłące się *čilamy* — kamienne fajki przechodzą z rąk do rąk. Powietrze gęstnieje, oczy mętnieją. *Baulowie* grają coraz szybciej.

Dużo później, gdy część ludzi znów zapadła w sen, na kolanach guru stała duża taca. Pośrodku góra białego ryżu, wokół sosy i warzywa. Być może ma sto lat, nigdy nie śpi i czerpie siły z haszyszu, ale lubi jeść.

W Maduraju, w południowym stanie Tamilnadu — sercu

kultury drawidyjskiej — stoi imponująca świątynia. Z jej czterech bram, wychodzących na cztery strony świata, wyrastają strzeliste, piramidalne budowle, na których ciasno przysiadły wyrzeźbione sylwetki. Wewnątrz, wśród wielu sal, pogrążonych w mroku korytarzy i kamiennych kolumn, jest zawsze głośno i tłoczno. Hindusi się spieszą. Tylko turyści suną powoli, oszołomieni zgiełkiem. Nie tak to sobie wyobrażali: Indie miały być krainą głęboko zanurzoną w duchowości, oddaną studiowaniu istoty wszechświata, skupioną, ascetyczną i refleksyjną. A tu? Bazarowy harmider, ludzie krążą między posągami, jakby każdy z bogów prowadził stoisko z drobnymi usługami — coś załatwią u jednego i zaraz pędzą dalej. Rzucają maślanymi kulkami w statuetki Śiwy i Parwati, studząc ich erotyczny zapach. Usmarowane posągi muszą dziwić zagranicznych przyjezdnych, przyzwyczajonych do oddzielania świętości od prozy i brudu życia. Kto to widział — tak upaprać bogów!

Przed płaskorzeźbą Ganeśi, przywierającą do kamiennej kolumny, jeszcze większe dziwy: co chwilę ktoś kuca, chwyta się prawą ręką za lewe ucho, a lewą za prawe, i lekko podskakuje. Inni po prostu się pchają, żeby dotknąć boskiego wizerunku, a potem przytknąć rękę do klatki piersiowej. Smarują posąжки kolorowymi pastami, zostawiają girlandę, coś zamruczą pod nosem i brną dalej. Przysiadają na schodach prowadzących do stawu, ale nawet tam nie ma mowy o kontemplacji — siedzi się z rodziną, gada, je. Codziennosc wpada do świątyni i przetacza się przez z nią bezceremonialnie. Ludzie nie wykazują szczególnej ostrożności czy powagi. Modlitwa niczym się nie różni od życia.

Krążący po świętym przybytku turyści z nadzieją spoglądają na sferę sacrum — może tam, gdzie wchodzi wyłącznie hindusi, kryje się tajemnica, dla której przejechali kawał świata?

Czasem, w mniej rygorystycznych świątyniach, udaje się podpatrzyć, jak półnagi bramin oblewa mlekiem czarny lingam, obwiesza posąg kwiatami i okrąża go, niosąc złotą lampę. Ale nawet to — obraz wykradziony z cudzego świata — niczego nie wyjaśnia. Ogłuszeni przyjezdni pozwalają zaznaczyć sobie na czole *tikkę*, pokropić głowę wodą, przyjmują *prasad* — odrobinę poświęconego pożywienia, dają się namówić na ofiarę, kupują girlandy i koszyki z kwiatami. Wpadają w nieczytelną układankę symboli i gestów, po czym wychodzą niepewni, czego właściwie doświadczyli.

Świątynni przewodnicy wyłaniają się znikąd, żeby na ochotnika oprowadzić zagranicznych gości i wyjaśnić istotę rzeczy.

— To jest nasz bóg Śiwa, bardzo potężny, z żoną — Parwati. A tu Hanuman, ten z *Ramajany*. Wiesz o *Ramajanie*? Bardzo stara, bardzo ważna księga. Chodź, tu jest Śiwa lingam. Opowiem ci.

Ale niczego nie opowiadają, rzucają tylko garść pojęć, których nie układają w całość. Im bardziej dociekliwe pytania, tym częściej jedyną odpowiedzią jest uśmiech i powtarzane gorliwie:

— Tak, tak.

Niewielu hindusów potrafi opowiadać o swojej religii; znają fragmenty, nie szerszy obraz. Mówią różne, czasem sprzeczne rzeczy, ale nie robią wrażenia zagubionych. Może wiedzą, że detale nie mają głębszego znaczenia.

Pokazują fragmenty mozaiki, nigdy całość. Bo kto spamięta *Mahabharatę*, siedmiokrotnie dłuższą niż *Iliada* i *Odyseja* razem wzięte, w której każdy z setek tysięcy wersów ma wiele znaczeń? Jak opisać przenikający wszystko absolut? Jedynie drobiazgi, maleńkie wskazówki mogą do niego przybliżyć.

To droga dla każdego. Niektórzy wybierają filozoficzne rozważania, badanie świętych tekstów i medytacje. Spragnieni duchowej prawdy turyści udają się i do nich, ale często wracają z niczym, jeśli nie liczyć osobistej mantry i garści ogólników, brzmiących łudzaco podobnie do powtarzanego w świątyniach: „Tak, tak”.

Hinduizm jest wspaniałym materiałem eksportowym, zmitologizowaną obietnicą, która oczarowuje pogrążonych w zeświecczonym życiu przybyszów. Przyjeżdżają, wysłuchują legend, baśni i mądrości. Wyjeżdżają obezwładnieni filozofią i religią dopuszczającą nieskończenie wiele twierdzeń, niezdolni odróżnić prawdy i ułudy. Pewni, że widzieli. Nie wiedzą tylko co.

Bangalur rośnie w oczach. Im dalej od centrum, tym więcej nowych biurowców i osiedli. Świątynia Ramy i Kryszny powstała na obrzeżach miasta, a teraz jest już otoczona przez plac budowy. Z parkingu widać błyszczące w słońcu wieżowce, wzdłuż dojazdowej ulicy stoją betonowe filary pod linię metra.

Przed wejściem długa kolejka, ciągnąca się po schodkach na wzniesienie, na którym stoi świątynia. Wszystko zostało przemyślane: ośrodek ma działać sprawnie, jak nowoczesna organizacja. Żadnego chaosu,

maksymalny przepływ ludzi, maksymalny przyływ gotówki. Metalowe barierki segregują wiernych na alejki, strażnicy otwierają bramki, przepuszczając po kilkadziesiąt osób; reszcie każą czekać. Najpierw szatnia: torby, kamery, aparaty fotograficzne, jedzenie, butelki z wodą — wszystko zostaje. Przede wszystkim obuwie, rupia za parę, pakowane do worków. Na depozyty dostaje się numererek, a nawet podpisany kwit. Dalej odbywa się szczegółowa kontrola: strażnicy mają wykrywacze metalu, strażniczki zapraszają za kurtynę.

Tłum jest posłuszny, wypełnia kolejne komendy — wspina się po schodach, uspokajany płynącą z głośników melodią. Już za progiem świątyni, dotykany lub całowanym z czcią, kolejna segregacja — jedni na bok, do głównego ołtarza, inni na wprost, gdzie odbywa się recytacja. Idzie się schodek za schodkiem, a na każdym recytuje imiona boga: „Hare Rama, Hare Krysna. Krysna Krysna, Hare Hare”. Nie wolno zmieniać rytmu ani niczego omijać — strażnicy zaraz upomną. Ludzie wpatrują się w zielone tabliczki w kilku językach — każdy dostaje jedną do ręki, a następnie zwraca strażnikom. Trasa prowadzi do kilku mniejszych posągów — ukryte w ciasnym wnętrzu pozostają niedostępne, choć wyraźnie widoczne.

Nie ma chwili na przestój, strażnicy popychają. Stłoczeni ludzie wędrują do głównej świątyni, gdzie padają na posadzkę ze złożonymi nad głową rękoma. Przechodzą przed wystrojonymi posągami Krysny i Radhy, a bramini sprawnie odprawiają ceremonie. Powtarzają je co kilka minut, żeby każdy mógł obejrzeć. Boska para tonie w żółtych nagietkach, dzwonią dzwonki, migoczą płomienie. Nawoływani przez bramina ludzie podnoszą do góry ręce i

wznoszą okrzyki. Pora iść dalej.

Ścieżka zmierza do podziemi, gdzie zaczyna się komercyjny labirynt. Jego przejście trwa dłużej niż spotkanie z bogami. Do kupienia z grubsza wszystko: *Bhagawadgita* w twardej i miękkiej oprawie, posążki, słodczyce, gorące przekąski, porady duchowe, T-shirty, buty — zwyczajowy przyświątynny majdan, z jedną istotną różnicą: „Przyjmujemy wszystkie karty kredytowe”, głoszą tabliczki.

Wielką zaletą hinduizmu jest jego zdolność do zmiany. Jako wytwór licznych kultur i epok, przybiera formy adekwatne do miejsca i czasu. A cóż pasuje do współczesności lepiej niż skrzyżowanie świątyni z hipermarketem? Bogowie stali się częścią religijnych korporacji.

Nie czekaj na jutro. Ono nie nadejdzie

Na wizytówce napisano: „MD. Humayun Kabir Astrologia • Numerologia • Porady, Main Bazaar, Paharganj, New Delhi”. Na odwrocie miniaturowy plan i adnotacja: „Drugie drzwi, pierwsze piętro”.

Ale ani piętra, ani drzwi nie ma. Połowa budynku runęła — leży na ulicy. Kupa gruzu wymieszana z kawałkami listew i szkieleł. Druga część stoi nietknięta i obnażona, nie ma zewnętrznych ścian, więc widać, co się dzieje w środku. Kamienica wygląda jak stwór, któremu rozwścieczony demon odrąbał połowę tułowia.

Trzeba było przychylności bogów, żeby tu dotrzeć, biegnąc po górach potłuczonych cegieł, wśród wałających się z góry balkonów, sufitów i iskier tryskających spod pił. Władze zarządziły remont. Kazały wszystkim zlikwidować frontony budynków, żeby zrobić więcej miejsca dla pieszych. Jeden z wielu wyroków, które zrodziły się w jakimś smętym gabinecie — najpewniej za radą wpływowego astrologa — i spadły na ludzi niczym fatum: sami muszą się z nim uporać, bo władza żąda, ale nie pomaga. Każdy pomniejsza dom własnym sumptem, więc ruchliwa handlowa ulica zmieniła się w rejon klęski.

Tego Humayun Kabir nie przewidział, ale — podobnie

jak sąsiedzi — nie poddał się negatywnej konstelacji zdarzeń. Część sklepikarzy handluje na gruzach, on ustawił plastikowy taboret we wnęce między budynkami. Teraz tu przepowiada przyszłość.

— Jest troszkę głośno, ale możemy odbyć sesję. Biorę dwieście rupii za dwadzieścia minut. Tylko znajdziemy drugie krzesło. Rishi! Przynieś krzesło!

Zwinny chłopak przeskakuje dziurę w ziemi i znika za ścianą, po czym wraca z drewnianym zydelkiem. Wyciera dłonią kurz. Wałą młoty, stalowe tarcze piłują blachę, ktoś próbuje się przedrzeć przez pobojuwisko motorem, jakaś kobieta piskliwym głosem wyklóca się o cenę dziecięcej bluzki.

Humayun Kabir jest niewysokim mężczyzną o odpychającej twarzy. Szara cera kontrastuje z różowymi ustami, górna warga unosi się co chwilę, jakby go uwierała. Uszy ma porośnięte długimi czarnymi włosami. Włosy na głowie ufarbował na czerwono. Odkąd wyczuł interes, nie przestaje się uśmiechać. Teraz, gdy już się usadowił i wygrzebał z foliowej torby duży notes, robi poważną minę. Gładzi dłonią czystą kartkę i mówi:

— Proszę o imię i datę urodzenia.

Mruczy i zapisuje czerwonym długopisem w rogu kartki. Potem szybko, ale starannie — większość Hindusów ma wyćwiczone i stylowe pismo — rozrysowuje kwadrat, dzieli go ukośnymi liniami na dwanaście rombów i do każdego wpisuje liczbę. Niżej rysuje jeszcze jeden, identyczny, ale liczby są inne. Patrzy na nie w milczeniu i pociąga nosem. Na jego usta wraca uśmiech. Zaczyna.

— Ostatnie lata, licząc od 15 lipca 2007 roku, były bardzo pomyślne. Teraz nadchodzą duże zmiany, dobre

zmiany. Bardzo ważny, decydujący czas. Praktyczność i organizacja to dobre cechy, ale nie trzeba za dużo myśleć. Lepiej po prostu działać i zapominać. Nie przemęczać mózgu. Dla dalszej pomyślności potrzebny będzie szmaragd, dokładnie sześć i ćwierć karata. Kupiony w Dżajpurze i oprawiony w złoto przez któregoś z tamtejszych jubilerów. Tak. Teraz odpowiem na pytania.

Wysłuchuje ich z uśmiechem, przymyka powieki i potakuje cicho — robi minę człowieka, którego nic nie zdziwi, bo każdą wątpliwość da się wyjaśnić, wszystko jest zapisane o tu — w tych dwunastu rombach. Stuka długopisem w kartkę, ale spogląda gdzieś przed siebie. Konsekwentnie odgrywa kontemplację, mimo że wokół wali się świat. Tuż obok zapadła się łazienka; wszyscy przesłaniają oczy i czekają, aż skończy się kurzyć.

— Samochód najlepiej kupić między majem a sierpniem, to też najlepszy czas na ślub i zajście w ciążę. Kupna domu ani budowy nie zaczynać do września. Niestety, nasz czas już się kończy — nie musiał spoglądać na zegarek, wystąpienie ma dokładnie wyliczone — ale wyjątkowo mogę podać horoskop dla jednej bliskiej osoby. Proszę o datę urodzenia i imię.

Raz jeszcze ściąga brwi. Nad ustami zbiera się pot. Kolejna porcja dobrych wiadomości.

— Indyjska astrologia jest bardzo starą nauką, bardzo starą! I dokładniejszą niż europejska, bo nasze obliczenia są dokonywane względem Księżyca, nie Słońca. Naszą astrologię można studiować na uniwersytetach. Najsłynniejsza szkoła jest w Waranasi, ale w Delhi w

prywatnych college'ach też odbywają się kursy. Dużo ludzi przychodzi.

Na pożegnanie jeszcze jedna wizytówka, dla znajomych. Ta ma dodatkową adnotację: „MD. Humayun Kabir. 20 lat doświadczenia”. Dwieście rupii znika w kieszonce brudnej koszuli. Dwóch mężczyzn naprzeciwko rozbija młotami ścianę, lecą pomalowane na turkusowo cegły.

Ostatnie pytanie:

— Kiedy ten remont się skończy?

Astrolog z dwudziestoletnim doświadczeniem potrząsa głową:

— Tego nie wie nikt.

Dziekan Singh jest zajęтым człowiekiem. Prowadzi prestiżową prywatną uczelnię w Kalkucie, słynącą z nowoczesnego podejścia do edukacji. Studenci mogą wybierać wśród wielu specjalistycznych kursów, na przykład technik komputerowych i projektowania ubrań, ale nie astrologii. Tak im się tu podoba, że długo po zmroku przesiadują w świetlicy na parterze i kręcą się po wielopiętrowym budynku. Biuro dziekana jest na szóstym, za zakrętem korytarza, otoczone szybami, lodowate. Klimatyzator wypluwa fale zimnego powietrza, roznosząc po pomieszczeniu mdławy zapach.

Saabira była jedną z najlepszych studentek i pomagała dziekanowi w pracach biurowych. Mówi do niej *beta* — „córko”. Tylko dlatego zgodził się na spotkanie. Różni ludzie zwracają się do niego o pomoc, ale doradza tylko nielicznym. I nigdy nie bierze pieniędzy.

— Nie jestem astrologiem, ale mogę wyjaśnić kilka rzeczy — zaznacza na powitanie.

Trudno powiedzieć, ile ma lat. Może sześćdziesiąt. Mylące są policzki, gładkie i lśniące jak u nastolatka, idealnie ogolona twarz i włosy zafarbowane na rudo. Dziekan Singh, wbrew nazwisku kojarzonemu z sikhami, pochodzi z poważanej hinduskiej rodziny. Pracuje na uczelni od kilkudziesięciu lat, koledzy go szanują, studenci uwielbiają, a lekarze, gdy tracą nadzieję na wyleczenie pacjenta, dzwonią właśnie do niego.

Siedzi za biurkiem, otoczony zdobyczami nauki i techniki: telefon, komputer, drukarka, szafki pełne książek. W kieszeni wyprasowanej gładko koszuli nosi złoty długopis. Kładzie dłonie na szklanym blacie i przemawia. Prywatny wykład w ściśle naukowym tonie.

— Rodzimy się w konkretnym punkcie czasu i przestrzeni. W chwili naszych narodzin planety znajdują się w niepowtarzalnym ułożeniu, przez co nabywamy unikatowy zestaw elementów budujących ciało i umysł. Tak wytwarza się nasz wewnętrzny system, złożony z mikroelementów — przy ostatnim słowie łączy kciuk i palec wskazujący, jakby trzymał między nimi ziarenko prawdy. — Dlatego kluczem do prawidłowego funkcjonowania ciała jest mikromedycyna. Zwykle powodem choroby i niedomagania jest brak jednego składnika, który — jeśli się go przyjmuje w niewielkich dawkach — przywraca organizmowi równowagę. Jak ustalić brakujący element? To właśnie podpowiadają planety.

Doktor pomógł kilku ludziom. Opowiada o młodym mężczyźnie, od miesięcy dręczonym niewyjaśnioną chorobą. Dowiedział się o nim od znajomego lekarza. Kolega zadzwonił, bo wyczerpał wszystkie medyczne

ścieżki leczenia.

Singh ustalił, że największym problemem było osłabienie mięśni. Kazał podawać miedź. A dokładniej, popijać wodę — bo jak inaczej dostarczyć organizmowi minimalną dawkę miedzi, jeśli nie zalewając w dzbanku kilka śrub i monet? Po paru tygodniach mężczyzna pojawił się u niego. Przyszedł sam, o kulach, wyraźnie zdrowszy.

Jest też historia adwokata, z którym prowadził interesy i który na pożegnanie nigdy nie podawał mu ręki. Pewnego dnia przeprosił i wyjaśnił, że ma na dłoniach egzemę. Zjeździł już cały kraj, był u lekarzy medycyny, specjalistów od ajurwedy i astrologów, nic to nie dało. Pomógł dopiero krzem zalecony przez dziekana.

Singh dba o dyskrecję, nie interesuje go kariera uzdrowiciela. Pomaga w wyjątkowych sytuacjach, głównie znajomym.

— W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto astrologi to naciągacze wykorzystujący ludzką naiwność — mówi.

Zaczął badać stare astrologiczne księgi z ciekawości, choć początki, jeszcze w szkole podstawowej, były zupełnie pragmatyczne.

— Podrywałem dziewczyny, czytając im z ręki, ale z czasem zrozumiałem, że to, co mówię, sprawdza się. Z łatwością ustalałem daty wydarzeń, ale nie wiedziałem, jak to możliwe. Chciałem poznać przyczynę, więc zacząłem czytać o ustawieniach planet.

Najpierw testował rozwiązania na sobie, a kiedy się potwierdzały, odważył się doradzać krewnym. Opowiada o astrologii jak o intrygującej łamigłówce. Ma w sobie

dociekliwość badacza szukającego prawdy. W ciągu godziny wystrzelił w powietrze kilkadziesiąt pytań. Jak to się dzieje, że w czasie pełni ze szpitali psychiatrycznych w Indiach wypisuje się wyjątkowo dużo pacjentów, gdyż ich stan nagle się poprawia? Skoro Księżyc ma dość siły, by przyciągać wody oceanu i wywoływać potężny przypływ, jak może nie oddziaływać na nas? Jak wyglądało DNA pierwszej żywej istoty? Jak to się dzieje, że nasze ciało kontroluje pracę hormonów?

Dziekan Singh zna wiele odpowiedzi, ale bardziej interesują go niewiadome.

— Przyszłość? Nie ma czegoś takiego. Jest tylko teraźniejszość. W chwili obecnej przeszłość już nie istnieje, a przyszłość poznamy, dopiero gdy stanie się teraźniejszością. Nie czekaj na jutro, bo ono nigdy nie nadejdzie. Jeśli czegoś chcesz, zrób to dzisiaj.

W drzwiach staje mężczyzna w czerwonej koszuli i spodniach w kant, kłania się i mówi usłużnie:

— Proszę pana, samochód czeka.

Dziekan wyłącza komputer, papiery na biurku ma zawsze uporządkowane.

— To moja mama — wskazuje na zdjęcie włożone pod szklany blat. — Ostatnio nie czuje się najlepiej. Muszę do niej jechać. Przyjdź jeszcze, przygotuję ci horoskop. Masz spocone dłonie, to niedobrze. Ciału brakuje siły. Kup na straganie miedziany pierścionek, załóż na palec serdeczny i noś przez trzy tygodnie, potliwość minie.

Saabira w drodze do windy żali się dziekanowi, że co dzień rano ma opuchnięte, pulsujące palce. Singh dotyka jej dłoni, nie wpatruje się, tylko ścisza troskliwie.

— To przez krążenie. Śpij bez poduszki. I pozdrów ojca.

Macha na pożegnanie z tylnego siedzenia, kierowca trąbi i wyjeżdża z dziedzińca na zatłoczoną ulicę.

W 2001 roku uniwersytecka komisja do spraw grantów przyznała pieniądze indyjskim uczelniom, które chciały wprowadzić do programów nauczania kursy astrologii, czym oficjalnie nadała jej status nauki. Decyzja wywołała wiele kontrowersji; protestowali najwybitniejsi uczeni, publicyści rwali włosy z głów. Ale w kraju, w którym politycy nie kiwną palcem bez konsultacji z numerologiem, maklerzy przed transakcją proszą bogów o pomoc, wykształceni i bogaci padają do stóp samozwańczym guru, a wieśniacy polują na czarownice, emancypacja astrologii była tylko kwestią czasu.

Jej popularność i wpływ na codzienne zachowania Hindusów są ogromne. Drobni hochsztaplerzy i grube ryby astrologicznego biznesu sterują wszystkim: życiem miłosnym, obrotem w handlu i kalendarzami urzędników państwowych. Wyznaczają pomyślne okresy na zakup mebli i wydanie przyjęcia, wyczytują z gwiazd dobre i złe dni na inwestycje, odpowiednią porę na wakacyjny wyjazd — uściślą nawet, czy lepiej jechać do górskiej Śimli czy słonecznej Kerali. Ostrzegą przed konfliktem z członkiem rodziny i nieuczciwym partnerem biznesowym, wybiorą odpowiedni kolor ścian w mieszkaniu i powiedzą, kiedy zająć w ciążę. Oferują wszystkie odpowiedzi, każdą za odpowiednią cenę. Hindusi im więcej mają do stracenia, tym bardziej robią się strachliwi i ulegli. Zapłacą fortunę, byle utrzymać przychylność planet.

Ślepa wiara w astrologiczne mądrości nie jest domeną

ubogich. Wysoki status społeczny zmienia tylko koszt konsultacji. Wiele wpływowych osób ma zaufanych i wtajemniczonych w kosmiczne prawa doradców, którym daje dostęp do intymnych dylematów. Astrologowie sprawują realną władzę nad ludźmi. Bliskie związki świata polityki i astrologicznych przewodników są w Indiach na porządku dziennym, choć nie zawsze tak było.

Jawaharlal Nehru z determinacją budował świeckie Indie i zapowiadał, że jedynymi świątyniami będą tamy. Zamierzał połączyć ludzi socjalistycznymi ideami postępu i pracy. Ale dziś spadkobiercy politycznej dynastii — Sonia Gandhi i jej syn Rahul — noszą na nadgarstkach talizmany. Kolorowe nitki mają odpędzać niepowodzenia od przywódców Indyjskiego Kongresu Narodowego — partii „zwykłych ludzi”, odzégnującej się od związków z religią. Między wiarą w Boga a wiarą w zabobony istnieje, oczywiście, różnica. Ale w Indiach nikt nie potrafi jej wyraźnie wskazać.

Od religijności do przesądów jest niedaleko — hindusi chwytają się wszystkiego, by zapewnić sobie sukces. Wśród ubogich tę strachliwość i determinację łatwiej zrozumieć — tłumaczą ją tradycyjne wierzenia, brak dostępu do edukacji, beznadzieja. Wśród elit decydujące znaczenie mają hipokryzja i żądza władzy.

Maharasztra ze stolicą w Bombaju to szafranowy stan: właśnie ten kolor, święty dla hinduizmu, jest najbardziej lubiany przez dominujących tam radykalnych i fanatycznych hinduistów. Sprawują władzę bezlitośnie i sięgają po mafijne metody, by zapewnić powodzenie ideałom *hindutwy* — walki o „Indie dla hindusów”.

Nacjonalistyczne partie są ściśle powiązane z organizacjami religijnymi, a także bojówkami i światem podziemnym, które odpowiadają za czarną robotę.

Gdy Ashok Chavan z nacjonalistycznej Indyjskiej Partii Ludowej obejmował urząd szefa rządu Maharasztry, sam Sathya Sai Baba[34] — supergwiazda duchowych hochsztaplerów — przyleciał, by go pobłogosławić. Wstęp na intymną ceremonię miało tylko kilka osób. Sathya Sai Baba twierdził, że jest reinkarnacją legendarnego guru Śri Sai Baby z Śirdri, zmarłego w 1918 roku, a nawet boskim *awatarą*. Swoje niebiańskie referencje udowadniał, dokonując cudów. Potrafił zmaterializować niewielkie przedmioty: złote łańcuszki, zegarki, pierścionki, i wyczarowywać święty proch. Jego wyznawcy wierzą, że był niewyczerpanym źródłem miłości. Urok i charyzma Sai Baby zachwyciły najpierw Hindusów, a potem powędrowały w świat.

Indie wyprodukowały wiele takich fenomenów — Maharishi Mahesh Jogi, specjalista od medytacji, hipnotyzował już w czasach Beatlesów. Po czwórce z Liverpoolu zakochały się w nim elity Zachodu, a w XXI wieku reżyser David Lynch.

Po odwiedzinach Sai Baby premier Ashok Chavan zabrał się do rządzenia stanem, natomiast jego podwładni natychmiast poprosili o konsultacje ekspertów. Przez drzwi politycznych gabinetów przechodzili tam i z powrotem astrologi, numerolodzy i specjaliści od feng shui. Stanowczo doradzali zamurowanie okna od północy i wybicie drugiego od południa, przeniesienie drzwi na inną ścianę, umieszczenie na biurku kryształowej figury żółwia i

zmianę oświetlenia na żółte. Sam Ashok Chavan po rozmowie z zaufanym numerologiem postanowił zmienić imię na Ashok Shankarrao, bo z kalkulacji wynikało, że tak będzie pomyślniej. Tego samego dnia na drzwiach biura premiera zawisała nowa tabliczka. Jego poprzednik za poradą astrologa wypełnił gabinet figurkami żab, sznurami pereł, a na palcach nosił sygnety z szafirami. Słabość do pierścieni z przynoszącymi szczęście kamieniami jest uniwersalna dla wszystkich aktorów indyjskiej sceny politycznej.

YS Rajasekhara Reddy — szef rządu stanowego Andhra Pradeś — objął urząd dopiero czterdzieści dni od oficjalnego rozpoczęcia kadencji, bo tak nakazał astrolog. Polityk wszedł do gabinetu dokładnie o siódmej piętnaście, co zostało poprzedzone ceremonią i modlitwą w świątyni Hanumana.

Świat biznesu też pomaga fortunie. Ogólnokrajowe gazety niewielką tylko wzmianką informowały, że Anil Ambani, jeden z najpotężniejszych przedsiębiorców nad Gangesem, zdecydował o wypuszczeniu na giełdę akcji jednej ze spółek w dniu, który wskazał mu astrolog.

Gdy królowa Bollywood Aishwarya Rai ogłosiła zaręczyny z aktorem Abhishekiem Bachchanem, synem aktorskiego rodu, Indie obieły nagłówki informujące, że nadworny astrolog Bachchanów zestawiał ich horoskopy i dał zielone światło gwiazdorskiemu małżeństwu. Tego typu przedślubne horoskopy decydują o życiowych losach — jeśli układ planet będzie wskazywał na konflikty i trudności, rodziny nie zdecydują się na połączenie. Zaskakująco rzadko jednak się zdarza, by kosmiczny ład

zagroził wystawnemu przyjęciu weselnemu, okazałemu posagowi i przyjazdowi rozsianych po świecie krewnych.

Volter, francuski pisarz i filozof epoki oświecenia, przyrównał relacje między religią a zabobonem do związku mądrej matki z szaloną córką. Hindusi — w szczególności religijni — traktują omeny bardzo poważnie. Wydaje się, że nadają im tę samą rangę co boskim wyrokom. Potrzeby religijne i skłonność do przesądów okupują w umysłach wielu ludzi wspólną przestrzeń. O dziwo, znajdują także porozumienie z racjonalnymi przesłankami.

Ludzie wzywają na pomoc i obłaskawiają wszelkie siły: rozsądek, bogów, naturę. Przed otwarciem interesu sklepikarz przystraja girlandami portrety przodków, okadza kasę, zapala knot umoczony w klarowanym maśle, a potem zabiera się do pracy. Przed nowym przedsięwzięciem — rozbudową sklepu albo pierwszą jazdą zakupionym właśnie motorem — konsultuje się z astrologiem albo przegląda kalendarz, wypatrując zaznaczonych w nim pomyślnych dat.

Rzecz jasna, sprawdza także oferty na rynku, porównuje ceny i racjonalnie wybiera najbardziej intratne możliwości. Potem uroczyście rozbija kokos, symbol pomyślności, by zagwarantować dobry obrót spraw. Za pomyślne transakcje sklepikarz dziękuje, składając ofiarę w świątyni.

Można powiedzieć, że tutejsi ludzie maksymalizują swoje szanse na szczęście, zabezpieczają się na różne sposoby w przekonaniu, że nie zaszkodzi udobruchać wszystkich kreatorów losu. Godzenie przesądów z religią nie jest trudne, gdy na co dzień w tylu innych sprawach łączy się sprzeczności, zabiera jednak sporo czasu: hindusi

są niemal bez przerwy zajęci obłaskawianiem rzeczywistości, unikaniem tabu i przyciąganiem dobrych zdarzeń.

Uliczki północnej Kalkuty kryją liczne cuda. Niedaleko ruchliwej Chittaranjan Avenue kilka wąskich alejek zbiega się, tworząc mały plac. W tej chwili zupełnie nieprzejezdny z powodu jakiegoś poruszenia. Kierowcy wyłączyli silniki i podeszli do przodu, by zobaczyć, co się dzieje. Powstało kłębowisko, ale nadzwyczaj milczące. Gdzieś między ludźmi dudni głośnik — rozlega się kojąca medytacyjna muzyka. Słyszać ją coraz lepiej. Tłum się rozstępuje. Pojawia się motor z przymocowaną z tyłu platformą. Stoi na niej otoczone drewnianymi palikami ciele. Nieświadome wrażenia, jakie robi na zebranych. Chętnie przeżuwa trawę i kawałki jabłek wrzucane przez oniemiałych ludzi. Stoi na czterech zdrowych nogach, ale ma jeszcze piątą, wyrastającą wprost z kręgosłupa, dokładnie na środku pleców. Dodatkowa kończyna — jak niezaprzeczalny znak boskiego działania — zwisa wzdłuż cielecego boku i kąpie się w zapachu kadzideł. Ot, jedna z wielu świątyń na kółkach, siejących grozę i zdumienie. Kolejny powód, by nie zdawać się na los, tylko zawsze mu pomagać. Nigdy nie wiadomo, co się komu przytrafi.

Bogacące się Indie oficjalnie stawiają na nowoczesność, rozwój edukacji i przemysłu, ale nie zamierzają się rozstawać ze starymi przekonaniami. Wszystkie przytoczone poniżej przypadki zdarzyły się w 2010 roku i zostały opisane przez największy anglojęzyczny indyjski dziennik „Times of India”.

Trzeciego grudnia świątynia Mari Mata w Lakhnau była

bardzo zatłoczona. Mieszkańcy uroczyście składali bogini ofiary, a siedzący z boku ołtarza muzycy wybijali hipnotyzujący rytm. Nagle przez tłum przecisnęła się pięćdziesięcioletnia kobieta. Stała naprzeciw posągu bogini, wyciągnęła ukryty w zwojach sari nóż i wyszeptawszy mantrę, odcięła sobie język. Muzycy mocniej uderzyli w bębny, a tłum zaczął śpiewać religijną pieśń.

Opiekujący się świątynią bramin zakończył modlitwy i kazał ludziom iść do domów, po czym powiadomił policję. Tylko dlatego historia trafiła do mediów.

Dwa miesiące wcześniej w Adźmerze — mieście obleganym przez pielgrzymów odwiedzających groby sufich — zmarło troje młodych ludzi. Dziewięcioro ich krewnych trafiło do szpitala z objawami wycieńczenia. Cała rodzina podjęła czterdziestodniowy post, wierząc, że taka ofiara zneutralizuje zły urok, który ktoś na nią rzucił. Zmarli najmłodszy. Policja wszczęła dochodzenie. Oddelegowanego do sprawy oficera zdziwiło tylko to, że poszczący byli dobrze sytuowani i pochodzili z miasta. Głową rodziny był urzędnik indyjskiej marynarki.

W listopadzie duży artykuł alarmował o zagrożonej populacji indyjskich sów. Minister odpowiedzialny za środowisko i lasy w specjalnym raporcie ostrzegwał, że ptakom grozi wyginięcie. Późna jesień jest dla nich szczególnie niebezpieczna. Diwali, Święto Świąteł dedykowane Lakszmi, to czas zmasowanych polowań na sowy, które — jeśli się je złoży w ofierze — zapewniają szczęście. Wszelkie totemy, w szczególności zwierzęce i ptasie, pomagają odstraszać złe moce. Sowy bywają też wykorzystywane do czarnej magii, głównie przez

tantryków[35] i *sadhu*. Są niezbędne w ludowej medycynie i grach hazardowych. Ponad trzydzieści gatunków znajduje się pod ochroną, ale nielegalny handel nimi kwitnie. Trudno je zobaczyć nawet w zoo.

Pięćdziesięcioletni mężczyzna z miejscowości Thane, namówiony przez tantryka, przez dziewięć lat gwałcił swą córkę przekonany, że dzięki temu się wzbogaci. Matka, sypiąca z tantrykiem, nie śmiała protestować. Dziewczyna pożaliła się babce, która — w rzadkim jak na indyjskie realia odruchu trzeźwości i odwagi — zaprowadziła wnuczkę na policję.

W kwietniu w stanie Orisa dziadek ściął głowę wnuczce, bo wierzył, że ziarna zmieszane z jej krwią zapewnią obfite plony.

W styczniu, podczas zaćmienia Słońca, planetarium miejskie w Bangalurze zorganizowało darmowy lunch, by zmanifestować sprzeciw wobec rozpowszechnionego w Indiach przekonania, że jedzenie podczas zaćmienia zagraża przyszłości. Studenci wydziałów informatycznych publicznie zajadali się nadziewanymi plackami, demonstrując naukowe podejście do życia. Gdy w 1980 roku miało miejsce zaćmienie Słońca widoczne w niemal całym Indiach, ludzie pochowali się w domach, a na ulicach zostały jedynie krowy i psy. W 1995 roku, gdy całkowite zaćmienie można było obserwować w Indiach, Bangladeszu, Birmie, Afganistanie, Tajlandii i na Borneo, indyjski premier Narasimha Rao[36] wziął udział w religijnej ceremonii mającej odepchnąć klątwy. Większość prominentnych polityków nie podziwiała kosmicznego widowiska, tylko modliła się w domach.

W maju 2010 roku urzędnicy przygotowujący powszechny spis ludności, dzięki któremu indyjski rząd ma nadzieję dokładnie policzyć swych obywateli i wydać im — po raz pierwszy w historii — dokumenty tożsamości, mieli problem. W północno-wschodnim stanie Mizoram, liczącym około stu tysięcy mieszkańców, wyznawcy chrześcijańskich sekt odmówili poddania się procedurze. Ich zdaniem liczenie ludności jest zapowiedzią końca świata. Powołują się na Biblię, która przestrzega, że Księżę Ciemności policzy wszystkich, a ludzkość pozna numer i symbol Bestii, czyli szatana. Podobny opór napotkali na wsiach pracownicy opieki medycznej, gdy w 1997 roku prowadzili akcję szczepień przeciwko polio, chorobie okaleczającej tysiące Hindusów. Rodzice bali się, że rozgniewają tym boginię Kali.

Najtragiczniejszym z przesądów są polowania na czarownice, urządzone głównie w centralnej i wschodniej części kraju, w ubogich stanach Ćandigarh, Bihar, Madhja Pradeś i Dźharkhand. Ale nawet szczytujący się wysoką kulturą Tamilnadu notuje przypadki okaleczeń, tortur i zabójstw.

W sierpniu 2008 roku we wsi Palani w stanie Dźharkhand, u stóp Himalajów, trzydziestosześcioletnią kobietę wyrwał ze snu okrzyk: „Wiedźma!”. Dziewięciu mężczyzn wtargnęło do jej domu i wywlekło za włosy na oczach sześciorga bezradnych dzieci. Związali jej nogi i zamknęli w ciemnej komórce, gdzie przez cztery dni bili ją bambusowymi kijami, głodzili i zrywali paznokcie. Mścili się za klątwę, którą rzekomo rzuciła na należące do nich pole ryżu. Kilka dni wcześniej pochłonął je pożar.

Mężczyzn aresztowano na podstawie obowiązującej od 2001 roku ustawy Anti-Witchcraft Act, zakazującej formułowania oskarżeń o czarną magię. Dźharkhand jest jednym z czterech stanów, w których przyjęto takie prawo.

W Maharasztrze zgromadzenie stanowe bezskutecznie próbuje przegłosować ambitniejszy projekt — ustawę delegalizującą różnego rodzaju zabobony i przesady. Kłopotem jest zdefiniowanie nielegalnych praktyk. Politycy nie mogą dojść do porozumienia, czy magia jest, czy też nie jest nauką. Gdy jednego z ważnych urzędników Maharasztry przyłapano na chodzeniu po rozżarzonych węglach, rezolutnie bronił się, pytając:

— A czym to się różni od składania pokłonów szarlatanom w rodzaju Sai Baby?

Policyjne dochodzenie w Dźharkhandzie pozwoliło ustalić, skąd wzięło się przekonanie, że za spalenie ryżowego pola odpowiedzialna jest „wiedźma”. Miejscowy właściciel ziemski zapewnił dziewięciu mężczyznom o jej winie, powołując się na wiejskiego maga, który ujrzał w niej złą moc. Czarna magia często bywa narzędziem lokalnej polityki.

Polowania na czarownice nie są w Indiach rzadkością, nic też nie wskazuje, by zjawisko miało zaniknąć. Gdy ktoś we wsi zachoruje, umrze dziecko, wyschnie studnia lub zdarzą się marne plony, winę ponosi wiedźma. Najczęściej złe moce rezydują w ciałach i umysłach kobiet starszych i bezbronnych, szczególnie wdów, za którymi nikt się nie wstawi.

Wielu ludzi z pozbawionych edukacji i opieki medycznej plemiennych społeczności wierzy w czarną magię i pada ofiarą manipulacji w wiejskich rozgrywkach o władzę. Za

polowaniami na czarownice stoi także inny społeczny problem: nienawiść do kobiet. Oskarżenie o szkodliwe czary to dobry sposób na pozbycie się staruszki i przejęcie jej praw do ziemi czy domu. Tortury, publiczne obnażenia, bicie, golenie głów, zmuszanie do jedzenia fekaliów, a wreszcie — zabójstwa: wszystko to z powodu chciwości.

Na zabobonach i ludzkim lęku można zarobić. Dobrze o tym wiedzą *hidźry*, które — przechadzając się po pociągach — budzą wśród mężczyzn taki strach, że z łatwością wyłudzą od nich pieniądze. Swoje nadejście ogłaszają charakterystycznym klaskaniem, zaczepiają pasażerów ni to zalotnie, ni to obraźliwie. Są wulgarne, mówią różne przykrości. Bywają też dowcipne i błyskotliwe, ale jeśli ktoś nie chce dać pieniędzy, postraszą utratą potencji i złym urokiem. Zdarza się, że policzkują, szarpią i krzyczą. Nie lubią monet, chcą banknotów. W nagrodę uśmiechną się, pogłaszczą po ramieniu i cmokając, odejdą.

Więcej zarabiają na weselach i urodzinach. Zjawiają się na przyjęciach nieproszone — mają dobrą sieć informacyjną. Wiedzą, gdzie rodzi się dziecko i kto bierze ślub. Przychodzą całą grupą, wystrojone w sari, umalowane, z włosami upiętymi w koki. Robią dużo hałasu, tańczą i śpiewają — zwykle okropnie fałszując. Podchodzą do gości, sprośnie szepcząc. Gospodarze płacą, byle się ich pozbyć. Przebierańcy żegnają się, życząc szczęścia i pomyślności.

Hidźry to jedno z ważnych hinduskich tabu — niewiele o nich wiadomo. Brakuje rzetelnych opracowań naukowych i statystyk. Zia Jaffrey, hinduska mieszkająca w Nowym Jorku, opisała część ich praktyk w głośnej książce *The*

Invisibles. A Tale of the Eunuchs of India. Opublikowany w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku tom jest zapisem prywatnego śledztwa podjętego przez autorkę. Jej rozmówcy, przede wszystkim *hidźry* i rozpracowujący ich środowiska policjanci, opowiadają o codziennym życiu najbardziej tajemniczych wyrzutków indyjskiego społeczeństwa. Autorka brnie przez gąszcz kłamstw i sprzecznych informacji, próbując wyłuskać odrobinę prawdy.

Hidźry — naznaczone jako odmieńcy — żyją w strukturach przypominających kolonie, działających na podobieństwo gangów. Są wśród nich hermafrodyty, osoby z niedorozwojem narządów rodnych, impotenci, transwestyci i homoseksualiści. Nieakceptowani w swych rodzinach i społecznościach często sami szukają schronienia wśród *hidźr*, ale mówi się też, że wielu nastoletnich chłopców jest porywanych i zmuszanych do życia w komunie. Rozmówcy Jaffrey opisują okrutne ceremonie inicjacji i kastracji. *Hidźry* zorganizowane w lokalne filie stworzyły rodzaj funduszu społecznego — zapewniają sobie opiekę na starość. Niezdolne już do pracy pełnią funkcje guru, doradzając młodszym.

Hidźry zdobyły niezwykły status — stworzyły własną kastę, zapewniając sobie szacunek i możliwość przetrwania. Ich pozycja jest dwuznaczna: z jednej strony pogardzane, traktowane gorzej niż prostytutki, z drugiej — przyjmowane podczas rodzinnych uroczystości i sownie opłacane. Ich nazwa prawdopodobnie pochodzi od arabskiej formy *hjr* i oznacza „ten, który opuścił swoje plemię”. Jaffrey dotarła do wielu historycznych dokumentów świadczących o wysokiej pozycji kastratów na

dworach muzułmańskich i hinduskich władców. Jednak współczesna sytuacja *hidżr* przypomina opowieści o wszystkich indyjskich przesądach: widać je gołym okiem, ale trudno uchwycić.

Najpierw ślub, miłość rośnie z czasem

Im bliżej zachodu słońca, tym trudniej o skrawek wolnego miejsca na kamiennym murze okalającym Bramę Indii. Późne popołudnie to w Bombaju czas nieporadnych romantyków starających się wynegocjować intymną chwilę w nieprzychylnych okolicznościach. Przychodzą parami, podwójnie speszeni — własną obecnością i ciekawskimi spojrzeniami innych.

Siadają blisko siebie, ale jakby oddaleni, pilnując symbolicznej granicy. Jego ramię nie otula jej kruchej sylwetki, ona nie szuka w nim oparcia. Dłonie się nie splatają. Dziewczyna składa swoje na podołku i bawi się końcem *dupatty*, chłopak przywołuje sprzedawcę herbaty i kupuje porcję gorącej słodyczy w glinianych kubeczkach. Siorbią powoli, rozmawiają niewiele, zerkają na port i ludzi, raczej nie patrzą sobie w oczy. On wyciąga z kieszeni telefon komórkowy i słuchawki, podaje jej jedną — posłuchają miłosnej piosenki. Ckliwy głos pieśniarki wyrazi wszystko, czego powiedzieć nie wolno.

Z przystani odeszły już ostatnie wycieczkowe statki na oddaloną o godzinę drogi Elefantę, można jeszcze popłynąć trzydzieści kilometrów na południe, na plażę w Alibag. Agenci turystyczni zamykają budki i ruszają do domów.

Pałacowy Taj Hotel pięknieje w późnym słońcu, białe balkoniki nasiakają różem. Skrępowani kochankowie dzielą się prężnymi orzeszkami z gazetowej tutki. Krążący wokół sprzedawcy i pucybuci tworzą opiekuńczy kordon. Wyjątkowo się nie narzucają. Nie chcą przeszkadzać, ale liczy się każdy grosz.

Fizyczna bliskość między kobietą a mężczyzną jest w Indiach źle widziana. Nie ma formalnych zakazów, ale jest surowa społeczna kontrola i lęk przed złamaniem tabu. Nawet w słynącym z liberalnej obyczajowości Bombaju, gdzie przekraczanie granic stało się kwestią mody. W dużych miastach moralny reżim jednak słabnie: zdarza się widzieć pary idące za rękę i drobne czułości, ale więcej jest obaw i dystansu.

Co innego bliskość mężczyzn, im wolno demonstracyjnie wyrażać sympatię. Dwóch chłopaków uwieszonych sobie wzajemnie na ramieniu, zgodnie szurających klapkami po asfalcie i wybuchających głośnym śmiechem — oto ilustracja *dosti*, indyjskiej przyjaźni. Dorośli mężczyźni trzymający się za kolana i uda, klepiący się po plecach i ściskający za ręce to rzecz powszechna i uznawana za naturalną. Natomiast kontakt z kobietą jest dozwolony jedynie w małżeńskiej sypialni.

Taki wielki kraj, a miłość nie ma się gdzie podziąć. Bombaj, ze swoją monumentalną bramą i długą promenadą wzdłuż Marine Drive, jest dla zakochanych dość łaskawy. W Delhi trudniej o urokliwe zakątki. Pozostają Lodhi Gardens — ogrody otaczające kompleks starych muzułmańskich grobowców, z których jeden, przykryty krągłą kopułą, szczególnie fascynuje Hindusów

podobieństwem do kobiecej piersi. Jest tam sporo miejsca i zaułków, ale też zawsze dużo ludzi.

Można się tam zakraść w księżycową noc, gdy potężne bryły grobowców wyrastają z mroku jak zjawy. Jednak kara grzywny i więzienia, czy nawet sama perspektywa wizyty na posterunku policji, gdzie niespełnieni kochankowie, a w szczególności dziewczyna, mogą liczyć na upokarzające przesłuchanie i obelgi, działa odstrasza. Zresztą jakim cudem dwoje młodych ludzi miałoby się wymknąć z domów po zmroku, unikając ciekawskich pytań rodziców, ciotek i dziadków?

Pozostają popołudnia na trawie albo w plenerowym planetarium Džantar Mantar, pełnym pięknych budowli astronomicznych: kryjących szeptu kopuł, ocienionych wnek w murach i schodów biegnących do nieba. Jeśli chłopak ma motor i pieniądze, może zaproponować przejażdżkę za miasto i kolację w przydrożnej *dhobie* — nie będzie elegancko, ale przynajmniej anonimowo. W jadłodajni dla kierowców wszyscy są w drodze i nikt nie zadaje pytań.

Kalkuta oferuje romantikom parki, w tym jeden w centrum miasta, wyjątkowo starannie zaprojektowany i utrzymany. Władze tak się troszczą o dobre imię klombów i cnotę młodzieży, że zakazały wnoszenia do parku parasoli i gazet, pod których osłoną rozpustni młodzieńcy mogliby urągać czci dziewcząt. Zakaz, jak większość państwowych przepisów, pozostał martwy.

Na spotkania w nowoczesnych klimatyzowanych kawiarniach, gdzie jedna kawa kosztuje tyle, ile dwadzieścia kupionych na ulicy herbat, mogą sobie

pozwoić zakochani z klasy średniej. Oni w ogóle mogą więcej: chodzić na randki, tańczyć w nocnych klubach, wyjeżdżać na weekendy — rzecz w wielu społecznościach niedopuszczalna.

Bogaci nie tylko nie muszą ukrywać uczuć i drzeć ze strachu przed wściekłością rodziny — coraz częściej sami wybierają partnerów na życie. Ich decyzje jeszcze akceptują starsi, ale to i tak istotne pęknięcie w systemie aranżowanych małżeństw. Nie ma jednak powodów, by odtrąbić jego upadek — im bardziej liberalna staje się część indyjskich elit, z tym większą zażartością porządku obyczajowego pilnują tradycyjne rodziny, w szczególności wiejskie, plemienne oraz arystokratyczne, dbające o czystość swych linii.

Nawet w postępowaniu samej klasy średniej kryje się paradoks: miłość stała się synonimem młodzieńczej fanaberii, która z czasem musi ustąpić obowiązkowi wobec krewnych. Dobrze sytuowani Hindusi nie zaryzykują honoru rodziny tylko dlatego, że ich dziecku mocniej zabiło serce. Bo w życiu nie uczucie jest najważniejsze.

„Najpierw ślub, miłość rośnie z czasem” — mawiają hinduskie matki do swych córek. W Indiach miłość oznacza wieloletnią znajomość, zbliżenie przez poznanie, zamieszkiwanie wspólnej przestrzeni i troskę wobec tych samych spraw. Spełnienie uczuciowe jest odległym punktem na mapie, niejasną obietnicą odkładaną na potem. Konsekwentnie więc miłość jest nieobecna w życiu przedmałżeńskim.

Romantyzm i kontakty między kobietami a mężczyznami są zagrożeniem dla najważniejszej inwestycji, jaką jest

ślub. Liczy się pomyślne połączenie zbiorowości, nie jednostek. Sojusz z szanowaną rodziną wzmacnia pozycję społeczną, daje możliwości — im większa grupa, tym różniej, a i okazji do wspólnych interesów więcej.

Śluby mają charakter kontraktów negocjowanych z determinacją i ze wzajemną podejrzliwością, nieraz poprzedzonych wywiadem środowiskowym. Jakakolwiek rysa na wizerunku rodziny stawia fuzję pod znakiem zapytania. Już sama myśl, że się negocjowało z niegodnymi sobie, naraża prestiż rodu.

W tak zdefiniowanym środowisku znajomość kobiety i mężczyzny nie ma racji bytu, o ile nie wynika z pokrewieństwa. Póki są dziećmi, rodzice wspierają wspólne zabawy. Potem wyrasta niewidzialny mur, uważnie obserwowany przez starszych członków rodziny. To oni aranżują związek małżeński w imieniu potomków, ponieważ na szali leży nie indywidualne życie dwojga ludzi, ale los zbiorowości.

Przeznaczeni sobie chłopak i dziewczyna zwykle mają szansę spotkać się przed ślubem, najpierw w towarzystwie starszych, później sami. Są też pytani o zdanie.

— No jak, podoba ci się?

Zdarza się, że pada odpowiedź odmowna, a rodzice muszą szukać następnego kandydata. Ale często dzieci nie mają prawa się sprzeciwić, są wychowywane w posłuszeństwie. Wielu indyjskich małżonków widzi się po raz pierwszy w dniu ślubu, a kilka dni później zaczyna wspólne życie.

Szczęścia zmierzyć się nie da, ale warto poszukać odpowiedzi na pytanie, jak wiele frustracji i cierpień w

sferze miłości przeżywają Hindusi i co w zamian za nie zyskują. Europejczycy często reagują oburzeniem na myśl, że w XXI wieku ktoś może być zmuszany do ślubu. Z drugiej jednak strony ulegają urokowi hinduskich ceremonii ślubnych. To samo zdarzenie kategoryzują jako barbarzyńskie i baśniowe. W skrajnościach gubi się istota rzeczy.

Za koncepcją małżeństwa aranżowanego stoi interes rodziny, która bezwzględnie obchodzi się z uczuciami młodych. Starsi powtarzają nieczułość, jakiej sami doświadczyli. Tym razem to oni wywierają presję. Indyjska rodzina tłamsi indywidualność w przekonaniu, że dążenie do zaspokojenia własnych potrzeb grozi jej trwałości. Wiąże się z tym nieufność wobec miłości jako zmiennej i chwiejnej, przynoszącej destabilizację.

Uczucia nie są gwarantem stałości, dlatego małżeństwa buduje się w oparciu o podobieństwa. Miłość nie jest przyczyną, ale owocem życiowego związku, małżeństwo zaś nie wynika z pragnień, ale staje się ich areną. Zakazane i przemilczane przed ślubem uczucie po zawarciu związku może rozkwitać przez lata.

W rzeczywistości różnie bywa. Nieznający się małżonkowie, często młodzi, nastoletni, przeżywają stres. Czekają ich drastyczna i często nagła zmiana roli. Od obojga wymaga się natychmiastowej adaptacji. Dziewczyny zostają rozłączone ze swymi rodzinami. Rzadko, jeśli w ogóle, opuszczają rodzinne okolice, a teraz podróżują setki kilometrów do obcego domu i muszą się dopasować do hierarchii krewnych męża. Ci często witają je chłodem albo okrucieństwem.

Większość młodych żon przeżywa szok, o którym nie może mówić. Hindusi milczą o wielu sprawach — nad życiem uczuciowym wisi wielka cisza, co jednak nie przeszkadza w urządzaniu domowych awantur. Wrzaski, brzęk przewracanych garnków — to typowe odgłosy życia rodzinnego. Ale melodramatyczności nie należy mylić z emocjonalną szczerością.

Przeciętna hinduska żona tuż po ślubie to dziewczyna zastraszonej i osamotnionej, szukająca ratunku w pracach domowych. Dziewczyny wiedzą, co je czeka — z opowieści matek i z obserwacji. Ale co innego spodziewać się końca świata, a co innego pewnego dnia zrozumieć, że się jest w sytuacji bez wyjścia.

Chłopcy nie tracą kontaktu z bliskimi, za to muszą sprostać ich oczekiwaniom. Jak najszybciej spłodzić potomka. Zbudować więź z obcą osobą. Dorosnąć do roli męża. Wcześniej rozpieszczani przez matki, teraz dostają wymagania, ale niewiele wskazówek. Radzą sobie, jak potrafią: czasem tylko nieczułością, a czasem agresją. Z upływem lat i przyjsciem na świat dzieci młodzi małżonkowie czują się pewniej. Ich rola w rodzinie się umacnia, decydują o ważnych dla domu sprawach. Przyczynili się do wspólnej pomyślności, wypełnili zadanie, więc mogą liczyć na akceptację.

Zdarzają się scenariusze tragiczniejsze i bardziej brutalne, ale też w wielu indyjskich rodzinach nie brakuje ciepła i serdeczności. Dopiero obserwacja długoletnich par małżeńskich odsłania sens, niewidoczny w burzliwych i bolesnych początkach. Stare indyjskie małżeństwo to zwykle dwoje ludzi, którzy stali się mężem i żoną: odegrali

role przypisane im w kontrakcie. Narzucony kiedyś kostium uleżał się. Życie rozpoczęte jako cudze dobiega końca jako własne. Teraz, nad filiżanką poobiedniej herbaty, dwoje ludzi ma dla siebie niewiele słów, ale również niewypowiedziany szacunek i wdzięczność. Łączy ich czas. Silniej nawet ten, który jeszcze jest przed nimi.

Ci starzy ludzie, oddzieleni od miłosnych pragnień przez dziesiątki lat i doświadczeń, wybierają los dla swoich dzieci i wnuków. Hindus nie ma prawa decydować o własnym życiu, ale wolno mu zarządzać czymś. Po latach rekompensuje sobie to, co zostało mu odebrane.

To reguła rządząca rodziną: o losie synowej decyduje teściowa, teściowa jest zależna od syna, syn od ojca, a ten z kolei podlega autorytetowi stryjecznego wuja. I tak dalej. Skomplikowana dystrybucja odpowiedzialności sprawia, że wszyscy zostają pozbawieni życia osobistego i swobodnego wyboru, trzymają się wzajemnie w szachu. Pragnienie miłości, własne i samolubne, jest dla takiej konstelacji zagrożeniem.

Kulisy ślubów bywają mroczne, pełne hipokryzji i wyrachowania, za to ceremonie zawsze wystawne i huczne. Byle przyćmić niewygodną rzeczywistość. Przemysł małżeński nabiera rozpędu. Im bogatsi Hindusi, tym więcej wydają na wesela, a wcześniej — na poszukiwanie właściwego związku. Kiedyś sprawę załatwiali swaci, dobrze zorientowani w potrzebach różnych rodzin i odpowiedzialni za ład społeczny w swojej okolicy. Wciąż są znaczącą siłą na rynku matrymonialnym, ale już nie jedyną.

Indie tylko geograficznie leżą w Azji, faktycznie ich granice sięgają Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych,

Kanady i Australii, gdzie żyje gigantyczna diaspora, bardzo zatroskana o ciągłość tradycji. Wielu indyjskich emigrantów posiada szczególnie status obywatelski — Non-Resident Indian, który zacieśnia ich ekonomiczne i kulturowe związki z ojczyzną. Dla kraju to rzecz nieoceniona — większość zamorskich gospodarstw domowych przesyła część zarobków do Indii. Poza zastrzykiem finansowym diaspora umacnia również przywiązanie Hindusów do korzeni. Nowocześni i zamożni zza wielkiej wody szukają zwykle wykształconych partnerów z rodzin o nieposzlakowanej opinii, chętnych opuścić ojczyznę.

Zglobalizowana branża matrymonialna wykorzystuje najnowsze technologie, by ułatwić transakcje. Zarabiają na nich internetowe serwisy, ale każdy ślub napędza wielobranżową machinę. Na weselach dorabiają się linie lotnicze dowożące niewidzianych od wieków kuzynów, ciotki i stryjów. Poza tym: kierowcy, hotelarze, krawcy i warsztaty tkackie, hodowcy koni i słoni, orkiestry dęte, *hidźry*, tancerze, jubilerzy, producenci sztucznych ogni, sprzedawcy samochodów, skuterów i klimatyzatorów. Dalej bramini, kwiaciarki, drukarnie okolicznościowych kartek, nie mówiąc o dziesiątkach kucharzy i kelnerów. Wszystko w ilościach masowych, bo gości jest kilkuset.

O biznesowym charakterze instytucji małżeństwa przypominają co niedzielę indyjskie gazety, publikując dodatki z ogłoszeniami matrymonialnymi.

Z rubryki *Pan młody poszukiwany*: „Ojciec i matka z Ćennaju (tu kasty, do których należą) poszukują właściwego aliansu dla córki (tu wymiary). Jasna.

Magisterium, sztuki piękne, tekstylia. Rodzice wykwalifikowanych i twórczych kandydatów mogą przysłać oferty (tu numer skrytki pocztowej)”.

Albo: „Mieszkająca w Bombaju rodzina Menon z Triśuru poszukuje męża dla swej córki. Szczupła, jasna, zatrudniona. Starszy specjalista IT, rządowa posada. Rodzice chłopców z rodów Nair/ Menon/Nambiar, najchętniej zatrudnieni za granicą, są proszeni o kontakt. Wdowcy i rozwodnicy bez obciążeń mogą aplikować”.

„Hinduska dziewczyna z szanowanej rodziny, dobrze wykształcona, b. piękna i jasna, poszukuje kwalifikowanego kandydata zatrudnionego w Delhi, biznesmen/pracownik rządowy, kasta bez znaczenia. Aplikacje ze zdjęciem (tu adres e-mail)”.

Z rubryki *Panna młoda poszukiwana*: „Bramiński chłopiec urodzony o 17.55, 5/12/82, jasny, przystojny, MBA, Bangalur, zarobki ponad 100 tys., jedyny syn, własna nieruchomość. Szuka jasnej, pięknej dziewczyny, rodzinnej, min. 5’3” wzrostu, do 26 lat. Bez posagu. Horoskop i zdjęcie”.

„Non-Resident Indian. Inżynier komputerowy z Londynu, Bengalczyk, rozwiedziony. Synowie mieszkają z matką. Posiada luksusowe apartamenty w Londynie i Kalkucie. Poszukiwana jasna, dobrze wykształcona, z dobrej bengalskiej rodziny”.

„Specjalista ds. bankowości z Hajdarabadu, zatrudniony w korporacji z Australii, własny samochód i mieszkanie, szuka pięknej domowej dziewczyny z MBA, z kulturalnej i zamożnej rodziny, chętnie bramińskiej. Biodane na adres (tu adres e-mail)”.

Całe strony zadrukowane detalicznymi preferencjami. Posegregowane w rubryki etniczne, kastowe, wyznaniowe, rodowe. Osobno synowie rodzin sikhijskich, osobno bramini, Tamilowie i Radźputowie. Wyodrębnieni rozwodnicy, wdowy, wyznawcy Wisznu z Gudźaratu, kosmopolici, muzułmanie z Karnataki i ci najubożsi, z kast i plemion wpisanych na rządową listę. Krótkie ogłoszenia wiele mówią — precyzyjne kwalifikacje, a w zamian konkretne oczekiwania. Dodatek „kasta bez znaczenia” i „bez posagu” w jednym na kilkadziesiąt ogłoszeń.

Widać ciekawą zależność: im bardziej klasa średnia domaga się obyczajowej swobody i wolności w sferze osobistej, tym więcej inwestuje w ślubne ceremonie. A im większe koszty ślubu, tym mniejsza skłonność do ryzyka. Głośne żądania wolności prowadzą do jej powtórnego ograniczenia. Tym razem nie przez wzgląd na tradycję, ale na portfele. Można powiedzieć, że indyjscy konserwatyści nie ustąpili o krok, zmienili tylko walutę.

Dokąd więc ulatnia się miłość? Do świata fikcji. Żyje w filmowych kadrach, na stronach powieści, w poetyckich strofach i ckliwych piosenkach. Im mniej miejsca dla uczuć w życiu codziennym, tym więcej ich w marzeniach. Gdyby niespełnienie Hindusów mierzyć ilością wytwarzanych przez nich romantycznych treści, trzeba by uznać Indie za kraj wielu cierpiących serc.

Wszystko, o czym nie mówią, zyskuje symboliczną formę i azyl w świecie sztuki. Tam istnieje z natężeniem. Hinduska literatura, muzyka i kino kipią od napiętności splecionych fatalnym węzłem, domagających się ofiary. Konflikty na śmierć i życie rozgrywają się nawet w

kasowych przebojach i telewizyjnych serialach.

Hindusi są mistrzami metafory, stworzyli wyrafinowany język kodów. Każda treść jest dozwolona, o ile nie będzie dosłowna.

W bollywoodzkich filmach erotyczne zbliżenia wyraża taniec, a miłość wyznaje się w piosenkach śpiewanych przez niewidocznych na ekranie zawodowców. Aktorzy poruszają tylko ustami, więc nawet gdyby byli nieprzyzwoici, nie można ich złapać za słowo.

Zakochany chłopak opiewa urodę księżycy, wiosennych kwiatów i łagodnie wznoszących się pagórków, i w ten zawoalowany sposób informuje dziewczynę, że jest piękna. Bollywood to centrum ekwilibrystyki — twórcy dialogów muszą się uciekać do egzotycznych porównań, największe studia filmowe angażują poetów. Trzeba talentu, by zmylić pozbawionych romantyzmu cenzorów z Rady Certyfikacji Filmów.

Miłość zostaje wyprowadzona na szwajcarskie łąki, rajskie plaże, do wystawnych pałaców i futurystycznych biurów. Bohaterowie żyją w egzotycznych plenerach, jak najdalej od rzeczywistości. Zakochują się często podczas podróży. Łączy ich jedno spojrzenie i uczucie, uruchamiające serię fantastycznych zdarzeń. Żeby być razem, dokonują cudów. Przewyciężają niedorzeczne trudności: tragiczne wypadki, śpiączki, amnezje. Poruszają się wbrew grawitacji i zdrowemu rozsądkowi.

Ale nie zapominajmy: jesteśmy w baśni, która po pierwsze ucieka od realiów, po drugie splata się z mitycznymi wyobrażeniami o idealnej miłości. Współcześni kochankowie są ekranową reinkarnacją mitu o Ramie i

Sicie — królewskiej parze rozdzielonej przez niecnym ludzi i demona. Rama, prawowity następca tronu, został podstępnie pozbawiony korony i zesłany na wieloletnie wygnanie. Oddana żona towarzyszyła mu w tułaczce. Porwana i uwięziona przez złego Rawanę broniła swej cnoty i wierności. I tak jak w kinie, z pomocą bogów oraz przyjaciół rozdzielonym kochankom udało się zatriumfować. Wszystkie popularne historie miłosne są w gruncie rzeczy tą samą opowieścią.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku na przeszkodzie uczuciom stawały różnice społeczne i ubóstwo. Młode socjalistyczne społeczeństwo walczyło z tradycyjnymi podziałami, bezrobociem i głodem. Później Hindusi zwrócili się ku swojej przeszłości, filmowali historyczne powieści — naród pokonał największe gospodarcze wyzwania i po stuleciach kolonizacji szukał swych korzeni w uniwersalnych miłosnych konfliktach.

W latach dziewięćdziesiątych synonimem zła stał się konserwatyzm, często w postaci nieprzejednanego ojca, który nie zgadzał się na ślub. Jednak w finale młody kochanek udowodniał szlachetne zamiary, siłę swej miłości i przywiązanie do tradycji. Wszystkie sprzeczne interesy spletały się szczęśliwie w rodzinnym porozumieniu.

Początek XXI stulecia wpędził scenarzystów w popłoch, nie wiedzieli, jak ukazać dramatyczny romans w czasach wolnorynkowej gospodarki. Skoncentrowali się na fantazjach i dylematach klasy średniej — nowocześni bohaterowie zmagają się z własnym egoizmem, rozdarciem między miłością do rodziny a pragnieniem wolności. Coraz częściej udaje im się ocalić uczucie i żyć po swojemu. A do

tego pojednać z krewnymi.

Bollywood, jedyny popkulturowy fenomen obejmujący niemal całe Indie, rozsyła do najdalszych zakątków kraju iluzję szczęścia. Trafia do wygodnych apartamentów w Delhi i na wieś, gdzie wciąż funkcjonują kina obwoźne lub publiczne telewizory, dla bezpieczeństwa zamykane w metalowych skrzyniach.

Kino wszystkim obiecuje te same cudowne rozwiązania. Ale jest, i zawsze było, produktem elit. Z jednej strony poręcznym narzędziem edukacyjnym, z drugiej propagandową tubą umacniającą tradycyjne wartości, wreszcie — dochodowym przemysłem. O ile w połowie XX wieku Bollywood opowiadało o życiu przeciętnych Hindusów, teraz skoncentrowało się na rozterkach wąskiej grupy zamożnych.

Filmowe opowieści o miłości na przekór wszystkiemu przemawiają do wyobraźni. Płoną oczy chłopców i dziewcząt uwieczonych w rygorystycznych społecznościach małych miast i wsi. Młodzi zakochują się mimo kastowych i religijnych tabu, naprawdę podejmują dramatyczne ucieczki, znikają pod osłoną nocy. Jadą do miast z nadzieją, że tam ich uczucie będzie miało szansę. Zostawiają za sobą rozpalone wściekłością rodziny, które szukają zemsty za zniewagę. Wbrew pozorom w przeludnionych Indiach trudno o anonimowość; nastoletni uciekinierzy nie mają wprawy w zacieraniu śladów, a w pościg ruszają zdeterminowani ojcowie, bracia i wujowie.

Miłosne zrywy kończą się krwawo. Honorowe zabójstwa są plagą dzielnic na obrzeżach metropolii — dokładnie na granicy światów. Dochodzi tam do brutalnego spotkania

marzeń z rzeczywistością. Miłość okazuje się fikcją, a karą jest śmierć. Razem z napływem wiejskiej ludności do miast dociera stary rygor. Nawet jeśli elity wywalczyły sobie swobodę obyczajową, to żyją otoczone kordonem niewybaczających, ortodoksyjnych społeczności.

Zrozapczeni marzyciele, którzy porwali się na zakazaną miłość, często sami kapitulują. Niemal każdego dnia indyjskie gazety donoszą o samobójstwach — dziewczyna otruła się, bo rodzice odkryli jej związek z synem sąsiadów. Chłopak się powiesił, gdy ukochana wyjechała wziąć ślub. Dwie kobiety połknęły pestycydy, bo nie chciały dłużej ukrywać łączącego ich uczucia.

Niezliczone historie pobić, wymuszeń, uczuciowych zrywów i morderstw z użyciem prymitywnych narzędzi. Wielkie dramaty i pospolite zbrodnie w scenerii brzydkich miasteczek i wsi.

Mahabharata dostarcza opisu najbardziej niezwykłego małżeństwa, które — w całej swej fantastyczności — dobrze oddaje indyjskie realia. Draupadi, córka królewskiego rodu, narodzona z ognia, a więc nieskalana, miała zostać żoną jednego z pięciu braci Pandawów, głównych bohaterów świętego eposu. Chłopcy dorastali, dzieląc się wszystkim. Gdy Arjuna wygrał w zawodach łuczniczych kobietę — Draupadi, matka zdecydowała, że podzieli się nią z braćmi. Jej wola zadziwiła nie tylko synów. Król Draupada, ojciec panny młodej, twierdził, że poligamia jest rzeczą naturalną i akceptowaną, ale związek kilku mężczyzn z tą samą kobietą byłby niegodny i bluźnierczy.

Synowie argumentowali, że są winni matce

posłuszeństwo, a ponieważ szanowanie woli rodziców jest pierwszym obowiązkiem dzieci, ich małżeństwo z Draupadi będzie prawowite. Nawet mędracy nie mogli się temu sprzeciwić; księżniczki nikt nie pytał o zdanie. Draupadi poślubiła pięciu braci. Choć słynęli z męstwa i waleczności, zgubiła ich gra w kości. Stracili majątek, a nawet własną wolność. Wreszcie zastawili Draupadi i ją także przegrali. Ich przeciwnicy — Kaurawowie — upokorzyli dumną kobietę. Potraktowali jak służącą i kazali czyścić podłogi. Chcieli ją obnażyć, ale wtedy wezwała na pomoc Krysznę, który sprawił, że jej sari rozwijało się bez końca. Pięciu braci bezsilnie obserwowało cierpienie żony. Nie tylko nie rzucili się na ratunek, ale i odzyskali wolność wyłącznie dzięki jej cnocie i odwadze. Draupadi nie wahała się okazać wściekłości i żalu. Kryszna obiecał jej, że znajdzie pocieszenie — żony jej wrogów będą kiedyś płakać jak ona.

Draupadi, kobieta żyjąca w surowym świecie urządzonym przez mężczyzn, mogła liczyć jedynie na przychyłność nieba. To samo dotyczy dziś wielu Hindusek.

Sita z *Ramajany* była w podobnej sytuacji. Kiedy Rama pokonał już wszystkie demony i uwolnił ją z niewoli u Rawany, spotkał się z żoną i powiedział mniej więcej tak:

— Cieszę się, że cię widzę, ale sama rozumiesz: nie możemy razem mieszkać. Nie wypada mi przyjąć pod swój dach kobiety, która tak długo przebywała z innym. Zajmą się tobą nasi przyjaciele.

Oburzona Sita odparła:

— Jak śmiesz? Przez cały ten czas nie pozwoliłam się tknąć. Mówisz jak prostak, podobne słowa nie przystoją szlachetnemu człowiekowi. Skoro tak, pozostała mi tylko

klątwa. Niech mnie ziemia pochłonie!

To mówiąc, rzuciła się w płomienie. Bogowie natychmiast przyszli dzielnej kobiecie z pomocą: sam Agni wyniósł ją z palących jezorów, w nienadpalonym nawet sari. Widząc, że pomyślnie przeszła próbę ognia, Rama podszedł do żony i powiedział:

— Nigdy nie wątpiłem w twoją cnotliwość, ale cieszę się, że publicznie jej dowiodłaś. Wiesz, jak ludzie plotkują.

Pojednani mąż i żona rozpoczęli na nowo miłosne życie. Ostatecznie jednak złe języki zwyciężyły — Sita została wygnana i samotnie urodziła bliźnięta. Do współczesności z tej mitycznej opowieści zachowało się niezmienione przekonanie o winie kobiety. Nie ma znaczenia, czy naprawdę oddała się innemu mężczyźnie ani czy została do tego zmuszona — samo przypuszczenie uwłacza honorowi męża i jego domowi. Ciało kobiety stało się sanktuarium męskiego prestiżu. To bardzo wiele: wymagać od zwykłej dziewczyny, by pozostała święta w kraju pałających z pożądania mężczyzn.

Najsłynniejsze indyjskie powieści przedstawiają kobiety uwikłane w nieszczęśliwe miłości. I nie oferują szczęśliwego zakończenia. Opublikowana w 1899 roku powieść *Umrao Jaan Ada*, uważana za pierwszą stworzoną w języku urdu, wzięła swój tytuł od imienia pięknej kurtyzany. Autor — Mirza Hadi Ruswa — opisał historię kobiety, którą podobno spotkał podczas festiwalu poezji w Lakhnau. Utalentowana poetka opowiedziała mu historię swojego życia. Dlatego powieść ma formę pamiętnika.

Urodziła się jako Amiran w zwyczajnej rodzinie. W wieku kilku lat została porwana. W niewoli zyskała

przyjaciółkę — Ram Devi. Wkrótce jednak dziewczynki zostały rozdzielone, a Amiran trafiła do domu publicznego. Tam otrzymała imię Umrao, odebrała edukację z muzyki klasycznej, tańca, poezji, urdu i perskiego. Zaznała luksusu i wytrawnej sztuki, bo ekskluzywne domy uciech były także centrami kultury. Jako dojrzała kobieta zakochała się w jednym z gości. Przystojny i bogaty Nawab Sultan odwzajemnił jej miłość. Ale ich potajemne schadzki i namiętność nie miały szans na spełnienie.

Nawaba czekało małżeństwo z inną, kurtyzaną — wieczna tułaczka. Umrao była kobietą głęboko nieszczęśliwą, świadomą swego tragicznego położenia, a mimo to podjęła walkę o szczęście. Życie zniszczyło jej wszystkie nadzieje. Żoną Nawaba została Ram Devi, przyjaciółka z niewoli. Bóg nierówno rozdzielił losy. Na końcu powieści, nie znalazłszy dla siebie miejsca nigdzie indziej, Umrao wróciła do opuszczonego domu uciech, by znów śpiewać przesycone bólem pieśni.

Równie tragicznie wypełnił się los Binodini, młodej i zmysłowej wdowy, której intensywne literackie życie dał Rabindranath Tagore w powieści *Chokher Bali*, opublikowanej w 1903 roku.

Ta piękna dziewczyna odebrała europejskie wykształcenie. Była świadoma swych możliwości i pragnień, ale przedwczesne wdowieństwo skazało ją na życie w ascezie. Rozpoczęła romans z Mahendrą i stała się tytułowym „piaskiem w oku” dla jego młodziutkiej żony. Powieść Tagorego była jednym z pierwszych kobiecych portretów w indyjskiej literaturze i wywołała sensację, ukazując skrywane namiętności, zazdrości i erotyczne

napięciu. Śmiała powieść ma jednak zaskakująco tradycyjny finał. Binodini, zaznawszy rozkoszy życia, udała się do Waranasi, miasta wdów, gdzie czekały ją ubóstwo i żebraczy los. *Chokher Bali* była głosem przeciwko opresyjnemu społeczeństwu i przedwczesnym małżeństwom.

Tagore nawiązał w niej do własnego cierpienia. Pochodził z uzdolnionej artystycznie rodziny — był jednym z trzynastorga dzieci. Podobnie jak bracia pojął za żonę dziewczynkę — dziecko. W dniu ślubu miał dwadzieścia dwa lata, ona — dziewięć. Wcześniej łączyła go zażyłość z żoną starszego brata — Kadambari. Kilka miesięcy po ślubie Rabindranatha bratowa popełniła samobójstwo. Ich związek i okoliczności śmierci Kadambari pozostają tajemnicą intrygującą indyjskich badaczy i artystów. Sam Tagore opisał historię zakazanej namiętności w noweli *Nastanirh*, przez wielu badaczy uważanej za autobiograficzną. To opowieść o młodej i niespełnionej kobiecie, którą wydano za mąż za starszego mężczyznę. Pozostawiona samej sobie znajduje towarzysza w rówieśniku, kuzynie męża. Łączą ich zainteresowania, ambicje, wreszcie — uczucie. Satyajit Ray sfilmował nowelę Tagorego — obraz *Charulata*. *The Lonely Wife* przyniósł mu Srebrnego Niedźwiedzia na festiwalu w Berlinie w 1965 roku.

Są w Indiach, i zawsze były, małżeństwa z miłości. Znajomości zawarte zwyczajnie — w sąsiedztwie, przez znajomych, na studiach. Śluby z błogosławieństwem rodziców, astrologów i wszystkich znajomych. Historie pozbawione dramatycznych zwrotów akcji i chyba przez to na co dzień pomijane. Jeśli są przytaczane, to nie jako

dowód, że miłość może być fundamentem stałego związku. Raczej jako argument przeciwko tym, którzy krytykują tradycję związków aranżowanych. Gdy padnie pytanie o miłość, Hindusi jak z rękawa sypią przykładami zakochanych par. Zaczynają od siedemnastowiecznej pary królewskiej — Szachdżahana i Mumtaz, dla której zbudował Tadź Mahal, a kończą na pochodzącym z muzułmańskiej rodziny bollywoodzkim gwiazdorce Shah Rukh Khanie i jego hinduskiej żonie Gauri.

— Jesteśmy krajem nowoczesnym, zmieniamy się — mówią. Co złe, to minęło.

Ale na co dzień miłość przegrywa z inną wielką siłą — płodnością. Wszystkie te bezlitosne procedury, mające zapewnić odpowiednie małżeństwa i cnotliwość panien, służą przyjściu na świat potomstwa o jak najlepszym pochodzeniu.

Mimo przeludnienia i fatalnych warunków życia nie toczy się w Indiach dyskusja o ograniczeniu potomstwa. W przeszłości politycy popełnili już błąd, próbując zmuszać Hindusów do wyrzeczenia się potencji. To tak, jakby żądać od nich porzucenia istoty życia. W wielości upatrują szczęścia i bezpieczeństwa.

Hindusi czczą płodność u bogów — symbolem męskiej potencji jest Śiwa, który w formie lingam, kamiennego fallusa, spoczywa w joni, łonie kobiecej energii, zwanej *śakti*. Wraz z małżonką Parwati oddają się erotycznemu tańcowi. Ich figury w niektórych świątyniach są przykrywane na noc i przenoszone do sypialni, gdzie boska para cieszy się intymnością.

Kryszna, ósmy *awatara* Wisznu, był legendarnym

uwodzicielem; jego towarzyszek liczy się w tysiącach. Urokowi przystojnego młodzieńca nie umiały się oprzeć pasterki. Spędzał z nimi czas nad Jamuną, a szczególnie upodobał sobie zmysłowy taniec w księżycowym świetle. Przyzywał kobiety grą na flecie — jak zaczarowane porzucały domowe zajęcia i biegły na spotkanie. Swoją pierwszą żonę uprowadził, dla innej był gotów kraść i toczyć wojny. Miał łącznie szesnaście tysięcy żon i spłodził z nimi sto osiemdziesiąt tysięcy synów. Kryszna jest bogiem miłości, a jego związek z Radhą, ukochaną pasterką, stał się symbolem idealnego uczucia. Z jednej strony są wzorem pary, z drugiej — tworzą idealne połączenie umysłowe, nawet gdy są rozdzieleni. Opowiada o tym wiele poetycki strof — zmysłowych modlitw, które są wspaniałym przykładem literatury miłosnej. Erotyczny związek Kryszny i Radhy jest też metaforą relacji między Bogiem a jego czcicielem. Bóg jest tym upragnionym, obiektem uwielbienia, tęsknot i westchnień.

W mitologii znajduje się wiele erotycznych motywów i metafor, na które współcześni Hindusi chętnie się powołują. Jeszcze częściej swoje seksualne kompetencje wywodzą z *Kamasutry*, traktatu stworzonego przez Watsjajanę prawdopodobnie w II wieku naszej ery. Jednak opisane w księdze wyszukane sposoby dawania i znajdowania przyjemności mają się do indyjskiej współczesności tak, jak wedyjskie zapisy o wysokiej pozycji kobiet w społeczeństwie. Wspomnienie odległej „złotej ery” życia seksualnego jest przywoływane za każdym razem, gdy przychodzi się zmierzyć z pozbawioną podniecia rzeczywistością. Starożytne i wyświechtane alibi nie tłumaczy współczesnych bolączek.

Życie erotyczne większości Hindusów nie jest krainą finezji. Nie może nią być przede wszystkim z powodów cywilizacyjnych. Wieloosobowe rodziny tłoczą się w małych pomieszczeniach, ludzie leżą pokotem na podłodze. W chatach i mieszkaniach upał nie pozwala zamykać okien ani drzwi. Śpi się razem, w duchocie, bliskości spoconych ciał. W takich warunkach rodzi się pożądanie, ale nie intymność. Na wyszukane fizyczne gry brakuje miejsca. I sił, gdy po pracy od świtu i skromnej kolacji przychodzi kilka godzin odpoczynku.

Z wiaduktu prowadzącego z bazaru Gariahat na rondo Golpark w południowej Kalkucie widać kolonie miejskiej biedoty. Wokół wysokie, porządne bloki, a w dole chatynki ustawione wzdłuż torów kolejowych. Ściana przy ścianie, dykta przy dykcie. Na zewnątrz duży ruch, ludzie łażą we wszystkie strony, jakby pociągi nie jeździły tędy od lat. Ale jeżdżą, bardzo często. Postawny mężczyzna wraca z kąpieli, jego tors jeszcze lśni. Żona bierze kilka pustych baniaków i znika w przesmyku pod wiaduktem — gdzieś w pobliżu musi być staw i pompa. Wychudzona wdowa stukając kijem o kamienie, wędruje od domu do domu, czasem zatrzyma się, porozmawia. Na nasypach matki rozkładają pranie, bosa dzieci biegają w kółko. Dziewczynka, która właśnie wróciła ze szkoły, rzuca tornister w przedsionku i, nie zdejmując mundurka, wychodzi z powrotem na tory. Myje twarz wodą z butelki. Obok jej rówieśnik szoruje zęby i pluje na kolejowe podkłady. Wszędzie leżą śmieci, rozchodzi się dławiący zapach.

Z jednej z chat wyłania się kobieta. Młoda, smukła, ciemnoskóra. Ma na sobie żółte sari. Rozpuszczone włosy

sięgają za pas. Przechodzi na bok, kilkanaście kroków od zgiełku, stąpa bez pośpiechu, rozgląda się, jakby szukała widza. Przerzucając włosy przez ramię, siada na szynie. Rozczesuje je grubym grzebieniem, powoli i starannie aż po końce. Sięga za głowę, rozdziela trzy pasma i zaczyna przekładać — drobnymi palcami zaplata równiutki warkocz. A potem zwija go tuż nad karkiem i wsuwką wyjętą z zaciśniętych ust spina kok. Prywatna toaleta dokonana na osobności, choć publicznie. Demonstracja kobiecych wdzięków — intensywna, bezwstydna i śmiała. Scena kuszenia widoczna jak na dłoni, ale całkowicie zignorowana.

Z seksem jest w Indiach podobnie jak z miłością. Nie mówi się o nim, ale wisi w powietrzu. A im większe jest milczenie, tym silniejsza presja. Erotyczne tabu, które zakazuje współżycia przed ślubem, trzyma żądze pod kluczem — wielu mężczyzn zaczyna życie seksualne późno. Tym gorzej dla kobiet. Codziennie pożądliwe spojrzenia, posykiwania, napieranie ciałem w tłumie. Obmacywanie w kinach i autobusach, wreszcie ta przedziwna satysfakcja z uderzenia ramieniem w piersi. Użycie siły wobec zbliżającej się z naprzeciwka dziewczyny jest drobnym zadośćuczynieniem za tysiące palących zakazów.

W telewizji nie ma reklam prezerwatyw, bo byłyby pochwałą seksu, są natomiast reklamy pigułek wczesnoporonnych. Spragnieni nie mają gdzie ani jak się kochać, bo wielu hotelarzy nie da im pokoju bez pewności, że są małżeństwem. W mediach właściwie nie ma ani słowa o seksie poza publikowanymi przez prestiżowe tygodniki raportami o życiu erotycznym Hindusów z dużych miast.

Do tego wszechobecne notki o coraz liczniejszych przestępstwach na tle seksualnym, czerwonych dzielnicach i rosnącej populacji. W księgarniach *Kamasutra* w kilkunastu wydaniach, z ilustracjami lub bez, ale w folii. Za to modelki w bieliźnie leżą wygodnie na wielkich billboardach. Ludzie mijają je z obojętnymi minami, choć w kinach na widok aktorki w mokrym sari wybucha wrzawa. Hindusi grzęzną w hipokryzji.

Prawda o indyjskim seksie jest ponura. Jako sfera wypchnięta z głównego nurtu rzeczywistości, jednocześnie niewidoczna i zakłamana, seks staje się przestrzenią nadużyć, przemocy i cierpienia. Bollywoodzkie romanse nie przestają czarować słodkimi obrazami — na nadgarstkach panny młodej w noc poślubną pękają szklane bransoletki, miażdżone pewnym, acz czułym uściskiem kochanka. W rzeczywistości w małżeńskiej sypialni często spotykają się ludzie wystraszeni i zawstydzeni. Muszą to zrobić i już.

O ile chłopcy latami tłumią pożądanie albo rozładowują je na wiele nieromantycznych sposobów, o tyle dziewczynki są pozbawiane złudzeń dość szybko i brutalnie. Wydawane za mąż wcześniej, zwykle za starszych — nierzadko starych — mężczyzn, zaczynają życie erotyczne, zanim fizycznie do niego dojrzeją. Seks staje się biologicznym i medycznym problemem. Nastolatki muszą urodzić i wykarmić dziecko, ryzykując zdrowie i życie.

Dopóki miliony Hindusów są niedożywione, pozbawione opieki lekarskiej, wykształcenia i bieżącej wody, dopóty opowieści z *Kamasutry* pozostaną dla nich opowieścią o locie w kosmos. Radość z życia erotycznego mogą czerpać tylko ci, którzy mają czas i możliwości, by w ogóle cieszyć

się życiem.

Jest jednak w Indiach miłość dozwolona wszystkim, osładzająca każdą tęsknotę. Można ją okazywać bez skrępowania, z niepohamowaną czułością. Widać ją w religijnych pieśniach i podczas festiwali, gdy wylewności nie ma końca. Dzień i noc do stóp bogów sypią się prezenty — barwne i słodkie, jakie daje się najbliższym. Miliard ludzi kumuluje miłosną energię i powierza ją ich opiece. Bogowie bez wątpienia czują się kochani.

Minęła dziewiąta, w Udajpurze trwa wieczorna modlitwa. Przyszli muzycy. Grają na harmonium i tablach, śpiewają. W świątyni tłok. Większość ludzi zagląda tylko na chwilę. Składają dłonie, zostawiają ofiarę i — nie odwracając się plecami — wychodzą. Inni siedzą od godziny i rytmicznie się kołyszą. Nie na boki — pochylają ramiona do przodu, jakby za każdym razem składali ledwo widoczny pokłon. Między nimi krąży mężczyzna, rozdaje słodki ryż. Przed ołtarzem usiadło kilka starych kobiet, każda w innym kolorze: żółte sari, zielone, bordo, fiolet i blady róż. Wszystkie zakryły głowy, z tyłu wyglądają jak bliźniacze figury, sprowadzone do świątyni dla ozdoby.

Jest jasno, radośnie. Ludzie dobrze się czują, nawet więcej — dobrze się bawią. Klaskają coraz głośniej, śpiewają, muzyczna modlitwa nabiera siły. Wstaje kobieta w jasnozielonym sari, trzymająca w dłoni różowy kwiat. Zaczyna się obracać, unosi ramiona. Wiruje powoli, z lekkością. Pomarszczoną twarz rozświetla uśmiech. Ma przymknięte powieki, patrzy skromnie na posadzkę. Sari zsunęło się, odkrywając siwe włosy. Może w innej chwili takie obnażenie byłoby nie na miejscu, ale teraz piękna

kobieta tańczy dla Boga.

Minuty przed zmrokiem

Nocą chodniki wyglądają na puste, ale to złudzenie. Oni tu są. Przykryci jutowymi worami, szmatami, kawałem folii, wyżebranym gdzieś pledem. Skuleni, wyciągnięci wzdłuż murów, przytuleni do krawężników i ścian. Niewidocznii. Zakrywają głowy, przywierają do ziemi, ich ciała znikają pod zwojami burej pościeli. Ulica — za dnia zatłoczona, brudna, niczyja — w ciemności należy do nich, daje schronienie.

Bezdomni śpią, jak długo się da. Nieśpieszno im do kolejnego dnia błagań i obojętności. Odwracają się do ścian, wsuwają pod samochody. Czarne, wychudzone postaci leżą nieruchomo, gdy wokół rozsiada się życie. Cyrulicy otwierają swoje zakłady: zawieszają na murach popękane lustra, ostrzą brzytwy. Szewcy rozwijają ściereczki, na których według rozmiaru układają dratwy, nici, obcęgi, szczotki i gąbki. Nosiciele wody przywiązują do pomp skórzane wory — ciemne cielska napełniają się, a potem roznoszone do okolicznych domów, zostawiają mokre ślady. Śmieciarze, od świtu rywalizujący o kawałki kartonów i plastikowe butelki, teraz zbili się w kupę pod zardzewiałą bramą. Kucają odwrócenii plecami do ulicy, tworzą kordon. Podają sobie strzykawkę i skórzany pasek.

W restauracjach i barach światła są jeszcze zgaszone, ale uchylone rolety świadczą o tym, że interes już ruszył. Mężczyźni, usadowieni w kole, obierają ziemniaki, czosnek i cebule. Na straganach parują misy z olejem, skwierczą smaźone placki. Palacze wymachują nad rusztem — rozgrzewają się węgle. Szumią naftowe palniki, zaraz woda w osmolonych rondlach zacznie wrzeć. Po przebudzeniu najważniejsza jest herbata, bilet na drogę ze snu do rzeczywistości.

Bezdomni odwlekają nieuchronne. Jeszcze leżą, chcą przespać poranny głód. Im większy upał, tym trudniej rozstać się ze snem. Słońce pali bezlitośnie. Ciężko się ruszać, myśleć, jeść. Każda minuta to zmaganie z osłabionym ciałem.

Koło południa znużeni gorącem biedacy znów pokładają się na chodnikach. Teraz nieprzytomni, powaleni i bezsilni. Zupełnie nieobecni, odeszli dokądś — nie słyszą warkotu silników, ciągłego trąbienia, walenia młotami, krzyku handlarzy i policyjnych gwizdków. Żywioł ich omija: ludzie nie przeganiają, przechodzą tylko obok, uważając, żeby nie kopnąć. Jednocześnie ignorują śpiących i szanują ich sen.

W skwarze dzieci, dorośli i starcy śpią inaczej niż nocą. Na plecach, z rozrzuconymi nogami i twarzami odwróconymi do słońca; otwarte dłonie trzymają grzbietem do ziemi. Jakby oddawali się promieniom, celowo wystawiali na żar. Nawet nie próbują się bronić. Coś ich przygwoździło do rozgrzanego betonu i zmusiło do bezruchu. Nie śnią — twarze są pozbawione wyrazu, a bezwstydnie odsłonięte ciała nie skrywają żadnej tajemnicy.

To sen z wycieńczenia, nieludzki. Zbyt podobny do śmierci, żeby dać odpoczynek. Trudno z niego wrócić do życia.

W kwietniu i maju za każdy krok płaci się kroplami potu. Ludzie bezwiednie osuwają się w sen. Uwięzione w korkach autobusy wiozą śpiące ładunki. Pierwsi zasypiają siedzący, ukołysani miarowym szarpaniem i hamowaniem, otumanieni gorącym wiatrem, który wpada przez okna i parzy. Powieki jeszcze otwarte, ale oczy niczego już nie dostrzegają. Głowa opada na podbródek.

Stojący w tłoku pasażerowie są dla siebie podporą, zastygają uczepieni metalowych ram. Gdy autobus rusza, falują lekko jak lodygi morskiej rośliny. Kierowcy zasypiają wyprostowani, gotowi do dalszej jazdy. Naprężone ramiona trzymają kierownicę, głowa jest ciągle podniesiona, ale człowieka nie ma. Pierwsze budzą się silniki, rozlega się ryk. Dopiero potem przytomnieją kierowcy i zaraz zaczynają trąbić. Hałas zastępuje im kubek zimnej wody. Autobus zrywa się, podróżni na chwilę otwierają oczy — zerkają na zewnątrz, sprawdzają, ile ujechali. A potem znów się zapadają.

Strażnicy pilnujący kamienic, bram i bankomatów, usadowieni na plastikowych krzesłach, też poddają się słońcu. Wyciągają nogi, zwieszają głowy. Żołnierze leniwie dźwigają drewniane kolby i ciężkie lufy, krążąc wokół urzędów i banków jak zaczarowana armia. Policjanci kryją się w budkach na skrzyżowaniach, podkładają ręce pod brodę i udają, że obserwują ruch. Mają ołowiane powieki.

Kasjerzy w kinach przysypiają przed popołudniowym seansem. Policzki oparte na dłoniach, twarze łagodne i zadowolone. Właściciele straganów słabną, przestają

nawoływać. Przez kilka najgorętszych godzin nie są sobą. Życie się wycofuje. Ludzie pozorują obecność. Zwijanie majdanu zabrałoby zbyt wiele sił, więc nie opuszczają stanowisk i przeczekują najgorsze.

Handlarze nie wychodzą z targu, ale mają umowę z klientami: wczesne popołudnie to czas odpoczynku. Zaczęli pracę przed świtem, rozładowali ciężarówki, roznieśli na głowach paczki świeżych owoców i warzyw. Nakrzyczeli się już i nawymachiwali. Chcą odespać. Wyłączyli światło — wystudzone żarówki poruszają się lekko na zwieszonych z sufitu kablach. Melony, bakłażany i fasolę starannie zakryli jutą. Na znak, że interes zamknięty. I żeby chronić je przed gorącem — w upale tracą wilgoć i kruchość. Jeśli zwiędną, wieczorem nikt ich nie zechce. Odrobina słońca wpada tylko przez ogromne okna z żaluzjami. Poczerniałe ze starości drewno od dziesiątków lat broni upałowi wstępu na targ. Uśpieni mężczyźni leżą na wysokich straganach, z łokciami pod głową i odsłoniętymi brzuchami, niczym książęta na miękkich łóżach. Brakuje tylko baldachimów i wysadzanych klejnotami strojów.

Pożółkłe koszule i spodnie wiszą na wbitych w ściany gwoździach, niektórzy nawet przebrali się w miękkie *lungi*. Wszystko stanęło. Jest cicho. Wróble ćwierkają, ale nieśmiało, a przecież z rana urządzają raban. Usnęły bazarowe koty. Przysiadły między koszami, podwinęły łapy i ani drgną.

Sprzedawcy ze straganów wokół budynku nie mają aż tak dobrze: mimo drewnianych dachów i foliowych plandek chroniących od słońca pali ich wysuszone i rozgrzane powietrze. Przejeżdżające samochody buchają gorącem i

zostawiają dławiące spaliny. Ci, którzy nie mogą zasnąć, grają w karty i obserwują ulicę, codziennie tę samą.

Leżąca na południu Kalkuty dzielnica wielorodzinnych domów, zamieszкана przez uchodźców z Bangladeszu, ma wspólny zegar — budzi się i zasypia o tej samej porze. W centrum miasta jest za dużo różnych interesów i spraw, by zaprowadzić ład, a tu ludzie jakby się umówili, że będą wzajemnie bronić sennego życia.

Pierwszy około siódmej przychodzi śmieciarz. Trzeba nadstawić ucha i w porę do niego wyjść, inaczej gnijące resztki zostaną w domu do jutra i przyciągną setki mrówek. Ubrudzony wózek toczy się alejkami oddzielającymi gęsto zabudowane kwadraty. Taki architektoniczny porządek to w miastach rzadkość, podobnie jak cisza i spokój.

Roznosiciel gazet przyjeżdża rowerem i rzuca złożony na pół „Telegraph” na werandy. Trochę później zjawia się straganik na kółkach. Sprzedawca anonsuje się z daleka: „Warzywa!”. Wiezie te najzwyklejsze: ziemniaki, cebule, ogórki i bakłażany. Po rarytasy trzeba pójść na targ, koniecznie z samego rana, bo handlarze wcześniej zaczynają sjęstę. Sól, jajka, masło i mleko można dostać w osiedlowych sklepikach — maleńkich wnękach wypchanych artykułami pierwszej potrzeby. Bengalczyki cenią spokojny sen na równi z domowym jedzeniem, gotowe posiłki sprzedaje tylko jeden bar przy głównej ulicy. Stłoczeni nad kilkoma palnikami chłopcy smażą makarony z warzywami i słynne kalkuckie *rolls* — tłuste placki obtoczone w jajku, zwijane jak naleśnik, z ostrym kurczakiem i cebulą. Kucharze ruszają z produkcją wcześniej rano, ale tuż po jedenastej wygaszają ogień.

W tym samym czasie wokół szkół i przedszkoli zgiełk, bo mamy i służące odbierają dzieci. Najmłodszy zaczął zajęcia przed ósmą i zanim słońce zrobi się nieznośne, będą z powrotem w domu, rozebrani z mundurków i umyjni. Rikszarze rozwożą ich po okolicy skrzypiącymi rowerami. Kto ma dalej, wskakuje z mamą do autobusu. Pół godziny później jest już sennie i cicho.

W domach poranne poruszenie szybko ustaje. Cichną strumienie wody i sąsiedzkie rozmowy. Ludzie się chowają, tylko wywieszona na dachach pranie cieszy się z upału. Do obiadu wyschnie na pieprz. Opadają kraty sklepików. Działają tylko zakład fotograficzny, bank, maleńka poczta i nowy supermarket, którego ukrop nie dotyczy, bo między półkami hula tam klimatyzowane powietrze. Cukiernik zasłonił ladę ręcznikiem, właściciel kafejki internetowej zatrzasnął kratę, ale nie przypiął kłódki. Znak, że za kilka godzin wróci.

Po obiedzie osiedle zapada w sen. Okna i drzwi są otwarte, żeby wiatr chłodził mieszkania, ale zasłony strzegą prywatności. Nie słychać nic, poza jednostajnym furkotaniem wiatraków — największych sojuszników snu. Wirujące powietrze sprawia, że ubranie lekko faluje, a skóra może oddychać, łaskotana cienką bawełną. Ale kiedy wiatrak staje, zatrzymany nagłą przerwą w dostawie prądu, pot natychmiast zrasza ciało, a oddech przychodzi z trudem. Powietrze znów jest gorącą zawiesiną odbierającą chęć do życia.

Rikszarze, zwykle w gotowości, z nogami na rowerowych pedałach, o tej porze nie spodziewają się nikogo. Powskakiwali na siedziska pasażerów —

sfatygowane i wyżłobione. Nawet w czasie jazdy nie są wygodne, a teraz zastępują łóżka. Wychudzeni mężczyźni mieszczą się na nich cali, zarzucają nogi na składany daszek. Znajdują się w niewielkiej ocienionej muszli, w niewygodnej pozycji, zaczepieni stopami o sufit, by nie spaść we śnie. Potrafią tak godzinami.

Rikszarze, którzy ciągną wózki pieszo, sypiają podobnie. Poskręcani na siedzeniach jak owady — zamierają, by jakoś przetrzymać kryzys. Przyjmują skomplikowane pozycje; trudno stwierdzić — leżą czy siedzą. W każdym razie śpią. Riksza jest narzędziem pracy, sypialnią i schronieniem. Życiodajnym stworzeniem, jak krowa dla wiejskiej rodziny. Mężczyźni ciągną wózki, do których nie mają żadnych praw — wypożyczyli je od władz miasta. Są przywiązani do pojazdu, pozwalającego im przetrwać. Nie mają nic innego, więc nie odstępują go na krok. Gdy upał atakuje, ustawiają riksze w długi rząd — jeden daje cień drugiemu, wszyscy mogą odpocząć. W nocy łączą je łańcuchami w zaułkach, a sami śpią obok.

Kierowcy autorikszy dach mają zawsze nad głową, ale słońce jest sprytniejsze — wdziera się przez odsłonięte boki i rozgrzewa obicia siedzeń tak, że nie da się ich dotknąć. Oni również łączą siły: parkują ciasno, budując z dachów tarczę, i znikają wewnątrz pojazdów. Śpią zgrzani, ślina zasycha im na ustach. Zrywają się nagle, przecierają mokry kark i czoło brudną chustą, którą noszą jak część munduru. Pociągają wajchę i znów gnają przed siebie.

Taksówkarzom jest najwygodniej — wyciągają się na miękkim siedzeniu, prezentując światu wystawione za okno stopy, czarne i spękane. Ciężko ocucić człowieka, który

zanurzył się w taki sen: w samochodzie jest jeszcze goręcej niż na zewnątrz. Zbudzony, przeskakuje za kierownicę, odchrząkuje głośno, pluje i zapala silnik. Dopiero pęd powietrza daje odrobinę ulgi.

W upalne noce taksówkarze śpią na dachach i maskach samochodów. Niektórzy nie mają dokąd wracać, bo rodziny mieszkają daleko. Przyjechali do miasta, żeby zarabiać, a pieniądze wysyłają pocztą. Koperty z banknotami są specjalnie znaczone i lakowane, a dla pewności przesywane dratwą. Z samego rana taksówkarze starannie pucują samochody, wycierają do sucha, a potem sami się kąpią, przebierają i siadają za kółko.

Dla wielu Hindusów miejsce pracy jest jedyną przestrzenią do życia, w dzień i w nocy. Gdy już wywalczą prawo własności do kilku metrów przy ulicy, chronią to terytorium. Pilnują dobytku — zamkniętych w drewnianej budzie garnków, palników i noży. Stragany nie mają kół, są trwałą zabudową — w czasie upału i deszczu zyskują dach, a nocą powiększają się o miejsca sypialne — karton albo maty rozłożone wokół.

Z jednego straganu żyje zwykle kilku ludzi i często tyłu przy nim śpi: co najmniej jeden na drewnianym blacie, który rano oblewa wodą, szoruje, po czym traktuje jak deskę do wałkowania ciasta. Ale już na straganie z warzywami zmieści się dwóch, a nawet trzech mężczyzn. Uliczne stołówki, gdzie za dnia posiłki gotują się w wielkich garach, a klienci siadają przy ławkach i stołach zbitych z surowego drewna, to często rodzinne interesy. Dzieci pomagają, gdy tylko nauczą się chwytać i chodzić. Myją

naczynia, noszą wodę. Kobiety robią zakupy, obierają i siekają warzywa. Mężczyznom zostaje najważniejsze — mieszają w garnkach, doprawiają, nakładają porcje i liczą pieniądze. Nocą rodzina leży razem na stole, w tych samych co za dnia ubraniach, bez poduszek i przykrycia. Nieprzytomna z duchoty i zmęczenia.

Dorośli wstają przed wschodem słońca, obmywają twarze wodą i zaczynają dzień. Mijają miesiące i lata, karta dań w stołówce się nie zmienia, przybywa tylko dzieci.

„Śpi jak pies” — tak Hindusi powinni mówić o mocnym, niezmaconym śnie. Pokiereszowane ulicznym życiem zwierzęta kładą się, gdzie im się podoba. Z rana grzeczniej, przy murach, zwinięte w kłębek. Tak jak bezdomni — przedłużają nocny sen. W ciągu dnia, obojętne na hałas i tłok, wyciągają się na chodniku. Lubią ruchliwe miejsca, wcale nie chcą być na uboczu. Wśród ludzi jest im dobrze. Przed popularnym straganem z herbatą, u drzwi restauracji, na skrzyżowaniu, między rikszami. Mrużą oczy i dyszą, wyrzucając języki z otwartych pysków. Wyglądają, jakby się uśmiechały. Spokojnie oglądają okolice. Ale wkrótce słońce wygrywa — psie łby opadają na chodnik.

Aż dziw, jakie są łagodne: mimo tylu blizn, paskudzących się ran, uciętych ogonów. Mimo przetrąconych przez samochody łap, wystających żeber, gnijącej skóry i gryzących bez przerwy pcheł. Nie szczekają ani nie warczą na ludzi, choć nieraz uciekały przed bambusową pałką i kamieniami. A jednak szukają towarzystwa, nawet we śnie. Kładą się po kilka razem, często przy bezdomnych. Wyczuły podobieństwo. One też żyją na łasce innych, żywią się litością i resztkami cudzego

życia. Przechodzą między dzielnicami, tułają się, obwąchując śmietniki i wygrzebuując resztki. Śpią tam, gdzie je zostanie mrok. Żyją gromadnie. Tworzą gangi, mają rewiry, których zaciekle bronią. Po zmroku wybuchają awantury: są gonitwy, ujadanie, skamlenie i kolejne blizny. A rano znów żyją obok siebie i wyjadają ryż z jednego rynsztoka.

Jakie życie, taki sen. Mało kto kładzie się na łóżku. Częściej ten sam kawałek podłogi jest miejscem pracy i snu. Zamiata się go, przykrywa bambusową matą i już. Zamiast piżamy — sari, to samo od dawna, dla mężczyzn — podwinięte *lungi*. Małe dzieci śpią nago, starsze — bez koszulek. Zimą zdarzają się chłodne noce, szczególnie na północy, ale do wielu Hindusów sen przychodzi w upale i duchocie. Są miesiące, gdy powietrze po zmroku tężeje — wyczekuje się ulgi, ale jest tylko goręcej. Ściany domów rozpalone słońcem nie stygną miesiącami. Skórę pokrywa śliska, błyszcząca powłoka. Wszystko drażni, najcieńszy skrawek materiału ciąży. Moskitiera zatrzymuje wiatr, ale nie wiadomo, co gorsze: stojące powietrze czy ciągłe brzęczenie komarów. Nie da się spać. Umęczone ciała przewracają się z boku na bok. Aż do rana żadnego wytchnienia. Temperatura spada odrobinę przed świtem, ale jest już za późno, by nabrać sił.

Latem Hindusi spędzają noce przed domami i na dachach — kładą się na matach albo *czarpojach*, tradycyjnych łóżkach podobnych do pryczy. Prosta drewniana rama, a między nią gęsto przeplatany konopny sznur — jest miękko i przewiewnie. Ale trzeba wstać razem ze słońcem, bo zaraz po wschodzie zaczyna się upał.

Duże i wygodne łóżko to — obok własnego samochodu i pralki — jeden z najważniejszych przedmiotów pożądania. W rodzinach bogatych od pokoleń można podziwiać ogromne łoża, z rzeźbionymi bokami i filarami, na których rozpina się moskitiery. Nawet te zwyklesze, zbite z drewna i przykryte twardym materacem, są bardzo szerokie. To na wzór książęcych wygod opisanych w literaturze, uwiecznionych na miniaturowych malowidłach, a później odtworzonych przez bollywoodzkich scenarzystów. W wielu filmach do kobiet ukrytych za zwiewną zasłoną zakradają się ich ukochani. Kamera dyskretnie usuwa się na bok, ukazując splecione dłonie wciskane w miękką poduszkę.

Łoża marmurowe i finezyjnie zdobione, wygodne wykusze z haftowanymi zagłówkami i poduszkami powlekanymi jedwabiem. Pościel wyszywana złotymi nićmi. Przestronne alkowy, w których leży się na podłodze wyściełanej dywanami i narzutami sprowadzanymi z dalekich krajów. Historia zna wiele opowieści o luksusach w zenanach — hinduskich odpowiednikach haremów — o królewskich sypialniach i eunuchach wachlujących śpiących aż do świtu.

I dziś łoże jest nie tyle symbolem snu, co małżeńskiej miłości — jeśli ma być spełniona, potrzebuje wygody. Hindusom, którzy nie mogą się porządnie wyspać, pozostaje śnić o pałacowych wygodach.

Niebo czerwienieje, zbliża się zmierzch. Na dach wiktoriańskiej kamienicy w Bombaju wychodzą dwie kobiety. Stara ma na sobie bawełnianą podomkę z bufkami na rękawach. Dziewczyna jest w różowym sari. Zdejmują pranie: prześcieradła, długie pasy materiału, koszule,

dziecięce bluzeczki, *lungi* i ręczniki. Rzucają je na plastikowy stół, otoczony donicami — smętne łądygi są wspomnieniem niezrealizowanego marzenia o ogrodzie na dachu. Nikomu w okolicy się nie udało — u sąsiadów kilka wysuszonych palm i starych krzeseł. Miał być komfort, a wygrała proza życia — porozrzucane wszędzie rupiecie, niepotrzebne, trzymane z lenistwa lub chciwości.

Kobiety stanęły naprzeciwko siebie, ściskają w dłoniach końce materiału sari. Wyciągają wzdłuż i na skos, potem podchodzą kilka kroków, łączą rogi, składają. Jaskółki obniżyły lot, krążą nad ich głowami. Z każdą chwilą robi się ciemniej. Sąsiadka wyszła na wieczorny spacer. Chodzi od balustrady do balustrady, czasem przystaje, żeby popatrzeć, co się dzieje na ulicy. Sklepikarze zapalili światła. Kierowcy ciężarówek zaparkowanych pod bramą po obiedzie spali na pakach, a teraz zniknęli. Kobieta cofa się i zaczyna kolejną rundę.

Pranie już wyciągnięte, stara bierze stos na ręce i schodzi do domu. Dziewczyna zostaje. Zrzuca spinacze do glinianej miski, płucze wiadro. Rozgląda się i rusza w kierunku schodów. Ale nagle przystaje. Rozlega się mocny, jednostajny dźwięk — cztery razy w równych odstępach.

Sąsiedzi z domu obok zaczęli wieczorną modlitwę i dmą w wielkie białe muszle. Kobieta podchodzi do otaczającego dach muru i patrzy na miasto.

Niebo szybko szarzeje, zaraz zmieni się w czerń. Ale im mniej na nim kolorów, tym lepiej ją widać — różowa sylwetka promieniuje. Sari nasiąknęło słonecznym światłem i teraz, na minutę przed zmrokiem, żarzy się jak rozpalony węgiel. Dziewczyna sięga za kark, wyciąga spinkę — włosy rozsypują się na ramiona. I już, koniec.

Zapadła ciemność, różowy płomień zgasł.

Hindusi budzą się i zasypiają dwa razy w ciągu doby. Po popołudniowym spowolnieniu wracają wzmocnieni. Chcą nadrobić straty, więc tuż po zachodzie słońca następuje wielki wybuch. Wszyscy naraz muszą coś załatwić, gdzieś być, coś dostać. Każdy się spieszy i pcha. Tłum na ulicach gęstnieje, tworzą się ludzkie korki. Te samochodowe są dwa razy dłuższe niż za dnia. Z autorikszy wylewa się zielone i niebieskawe światło, z samochodów — bollywoodzkie hity. Zaczyna się święto. Dopiero po zmroku wszyscy wychodzą ze swoich zakamarków, nabierają ochoty do zabaw. Jak uparte dzieci, które na złość matce naturze upierają się: „Nie pójdę spać!”.

Co wieczór huczny festiwal. Handlarze krzyczą, znów idą w górę metalowe rolety, na chodnikach wyrastają dywany pełne dziwacznych akcesoriów. Ogniki lamp migają, w sklepowych witrynach błyska ich elektryczna konkurencja. Teraz nareszcie widać, ile w tym kraju kolorów. Żarówki wyławiają z mroku seledynowe *salwary* z naszywanymi błyskotkami, stosy złocistych mango, lśniące brązowe ramiona.

Wystrojeni w świeże girlandy bogowie dają zgodę na wznowienie handlu. Na targu kolejna dostawa owoców i ryb, sprzedawcy chętnie wracają do swoich ról: przerzucają odważniki, przeliczają pieniądze. Zawsze dwa albo trzy razy, rozum nie śpi.

Po zmroku Hindusi są sobie najbardziej potrzebni. Dochodzi do miliardów spotkań, uścisków dłoni i wymian, padają niezliczone ilości słów. Wszystkie snute od rana

plany teraz stają się możliwe do zrealizowania. Indie oddychają pełną piersią, pospiesznie i zachłannie. Targują się z nocą. Wkraczają na jej teren ze swoimi sprawami i wydzierają, ile się da.

Wszystko jest takie jak rano, a jednak zupełnie inne. Płomień pod rondlem i rzędy bransoletek, stos pomidorów i malowana riksza. Kraj przechodzi metamorfozę, nagle bieda, brud i głód wydają się snem. Tu, na kolorowym jarmarku, niczego nie brakuje, wszyscy są królami życia. Nawet żebracy, bo zbiorą więcej niż przez cały dzień. W ciemności Indie stają się krainą ze swoich sennych marzeń: obfitą, bogatą i piękną.

Ale upojenie mija, gaśnie stragan za straganem, jakby ktoś zrywał z ulicznego naszyjnika perły. Znikają barwne szale, złote kolczyki, soczyste owoce i czułe piosenki — wszystkie przyjemności tego świata. Kończy się magia, zostają smętne dekoracje. Teraz co innego jest prawdą: świat zaniedbany, pokiereszowany, sklecony z resztek. Straszą trupie stragany, budynki oblepione brudem i wyblakłymi plakatami. Chodniki poszarpane, wyrzuczone i podziurawione. Te same alejki, które tak kusily zgiełkiem, teraz wyglądają jak ponure labirynty. Roześmiani i gadatliwi straganiarze, zachwalający nieskończone bogactwa swoich małych wszechświatów, leżą w podziurawionych ubraniach. Jak biedacy.

Trudno uwierzyć, że całe to widowisko zniknęło — przetaczający się ulicami żywioł udało się powstrzymać, ułożyć do snu. Rwąca rzeka, za dnia wypełniająca wszystkie szczeliny i nikomu niepozwalająca zostać na brzegu, dokądś odpłynęła. Znalazła ujście w świetle niewyobrażalnie zatłoczonym i zapchanym, gdzie za dnia

trudno o skrawek wolnego miejsca. Hindusi, którzy od świtu żyli po swojemu, nie dając się ułożyć w żadną sensowną kompozycję, nagle udali się w tym samym kierunku. Jak zahipnotyzowani.

Jest tak jak w świętych tekstach hinduizmu: nocą następuje koniec świata. Bóg wycofuje twórcze energie i wszystko, co powołał do życia, wchłania znów do wewnątrz. Zarządza porę odpoczynku.

Według mitologii ludzki świat może istnieć tylko wtedy, gdy śpi Wisznu — ten, który podtrzymuje ziemską rzeczywistość. Płynie przez wody kosmicznych oceanów, wygodnie ułożony na grzbiecie węża Śeszy, przenoszącego go przez wielkie fale. Póki Wisznu śni, póty panują ład i porządek. Gdy się przebudzi, dojdzie do zniszczenia.

Jakiś czas później odrodzi się nowy świat. Ten sam, ale już inny, a dusze — jeśli wrócą — to w kolejnym wcieleniu, nie pamiętając poprzednich. Ciągłość jest obecna tylko poprzez zmiany, widoczna jedynie w boskim działaniu. Człowiek, który to pojmie, przestanie dostrzegać granicę między jawą a snem, życiem a śmiercią.

Głos muezina rozprasza mrok. Zaczyna jeden, inni dołączają — słyhać trzech, a może sześciu. Wersy zachodzą na siebie jak echo, splatają się, nabierają siły. Potem znowu się rozchodzą i jeden po drugim milkną. Dochodzi piąta, jeszcze ciemno. Ale kruki już się przebudziły, ich czarne sylwetki krążą na tle szarzejącego nieba. Są gotowe. I głodne. Pikują, wykradają z rynsztoków skrawki wczorajszego życia. Muszą być cierpliwe. Dopiero gdy zjawią się ludzie, a wraz z nimi nowe odpadki i śmieci,

najedzą się do syta.

Noc zapada i podnosi się szybko, ale odchodząc, zostawia mglistą smugę, która długo wisi nad ziemią. Jedwabna zasłona ochrania resztki ciszy i snu. Spowalnia ruchy — poranni ludzie idą przez ledwo widoczną białawą sieć. Nie ma jeszcze kolorów ani zapachów, żadnych gwizdów, dzwonków i nawoływań. Nic się jeszcze nie wydarzyło, indyjska opowieść dopiero się zacznie.

Przypisy

[1] Bramini — członkowie najwyższej klasy społecznej w hinduizmie, najszlachetniej urodzeni. Tradycyjnie zajmują się kapłaństwem. Pozostałe klasy to kszatrijowie, wajsjowie oraz śudrowie. Poza tym podziałem znajdują się też ludzie zwani popularnie niedotykalnymi.

[2] *Pan* — używka z liści betelu, orzechów palmy arekowej, pasty z wapna oraz dodatków smakowych; przeżuwana wydziela czerwony sok.

[3] Sanjay Gandhi (1946-1980) — kontrowersyjny indyjski polityk, młodszy syn i zaufany doradca Indiry Gandhi. Odpowiedzialny za serię niepopularnych decyzji w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Lubił ekstrawaganckie życie, szybkie samochody i samoloty; zginął w wypadku lotniczym.

[4] Hindusi — obywatele Indii. Ten sam termin pisany małą literą — hindusi — odnosi się do wyznawców hinduizmu.

[5] Żądanie, dawanie i przyjmowanie posagu jest w Indiach zakazane od 1961 roku na mocy Dowry Prohibition Act. Kodeks karny przewiduje za to kary grzywny i pozbawienia wolności.

[6] Pierwszy zakaz palenia wdów na stosie wydano w Bengalu w 1829 roku. Twórcą nowego prawa był ówczesny generalny gubernator Prezydencji Bengalskiej lord William Bentinck.

[7] *Ghaty* — kamienne stopnie na brzegach rzek i stawów; miejsce rytualnych kąpiei, modlitw i pogrzebów, ale także przyziemnych czynności, na przykład prania.

[8] *Ćappale* — gumowe klapki, najpopularniejsze i najtańsze obuwie w Indiach.

[9] Tata Motors — największy producent samochodów w Indiach. Firma należąca do rodziny Tata powstała w 1945 roku, pierwszy samochód marki Tata wyjechał z fabryki dziewięć lat później.

[10] Ambassador — od 1948 roku król indyjskich ulic, symbol luksusu i władzy. Samochód służący jako taksówka, oficjalny pojazd policji i urzędników państwowych. Produkowany przez Hindustan Motors, firmę założoną przez rodzinę Birla.

[11] *Wedy* — najstarsze święte teksty hinduizmu. Powstawały od XV wieku

przed naszą erą, zostały skodyfikowane w pierwszej połowie I tysiąclecia przed naszą erą. Najstarsze manuskrypty pochodzą z XIV wieku naszej ery. *Wedy* tradycyjnie były przekazywane drogą ustną, wyłącznie przez braminów. *Upaniszady* to filozoficzne teksty, które uważa się za kończące literaturę wedyjską. Większość badaczy przyjmuje, że zaczęły powstawać w VIII wieku przed naszą erą. Razem z *Wedami* należą do literatury objawionej.

[12] *Pudża* — hinduska modlitwa lub ofiara, dokonywana prywatnie lub publicznie.

[13] Kalkuta — miasto założone w 1686 roku na terenie trzech wsi było siedzibą najważniejszych instytucji brytyjskich, między innymi Kompanii Wschodnioindyjskiej i Sądu Najwyższego. W 1911 roku stolicę Indii przeniesiono do Delhi.

[14] Charles John Canning (1812-1862) — w latach 1856-1862 wicekról Indii.

[15] Ćennaj — dawniej Madras, stolica Tamilnadu. Nazwę zmieniono w 1996 roku, obecna nawiązuje do wioski Ćennaipattinam wyrosłej wokół brytyjskiego fortu. Od uzyskania niepodległości w 1947 roku Hindusi przywracają swym miastom tradycyjne nazwy, na przykład używane przez Brytyjczyków określenia: Bombay, Calcutta, Benares i Bangalore, to dziś odpowiednio: Mumbai, Kolkata, Varanasi i Bengaluru.

[16] Niedotykalni — potoczne określenie osób wywodzących się z najniższych kast lub urodzonych poza klasą. Konstytucja Republiki Indii z 1950 roku włączyła ich do Rejestru Kast i Plemion, formalnie znosząc system kastowy. W praktyce tradycyjne podziały społeczne wciąż obowiązują. Współcześnie niedotykalni określane są jako dalitowie (z sanskrytu: uciśnieni). Termin ten upowszechnili twórcy ruchu nieuprzywilejowanych, rozwijającego się w Indiach od lat osiemdziesiątych XX wieku. Zastąpił używane przez Mahatmę Gandhiego określenie *haridźan* — „dzieci Boga”.

[17] Indira Gandhi (1917-1984) — czterokrotna premier Indii w latach 1966-1977 i 1980-1984, zginęła zastrzelona przez osobistych ochroniarzy. Najważniejsza, obok Mahatmy Gandhiego i Jawaharlala Nehru, postać indyjskiej polityki XX wieku.

[18] Motilal Nehru (1861-1931) — prawnik, lider indyjskiego ruchu niepodległościowego, pochodzący z Kaszmiru bramin, ojciec Jawaharlala Nehru (1889-1964) — pierwszego premiera niepodległych Indii, który sprawował ten urząd przez siedemnaście lat.

[19] Flaga czasów walki o niepodległość została zmieniona w 1947 roku i zaakceptowana jako flaga Republiki Indii. Poziomo biegną trzy pasy: szafranowy, biały i zielony. W centrum, zamiast kołowrotka, znajduje się teraz niebieska ćakra, zwana kołem prawa; przypomina koło powozu podzielone dwudziestoma czterema szczeblami. Wszystkie flagi produkowane na państwowe zamówienie szyte są z *khadi*.

[20] Sonia Gandhi (urodzona we Włoszech w 1946 roku jako Edvige Antonia Albina Maino) — od 1998 roku przewodnicząca Indyjskiego Kongresu Narodowego, partii założonej w 1885 roku przez zwolenników niepodległości. Podczas studiów w Cambridge poznała Rajiva Gandhiego, przyszłego męża i

premiera Indii w latach 1984-1989. Pobrali się w 1968 roku, Rajiv zginął w zamachu w 1991 roku.

[21] *Dal* — sos z soczewicy lub grochu.

[22] Lal Bahadur Shastri (1904-1966) — mąż stanu, drugi premier niepodległych Indii, sprawował urząd niespełna dwa lata. Jego nagła śmierć w czasie delegacji do Taszkientu symbolicznie zakończyła erę szlachetności i bezinteresowności w indyjskiej polityce. Wielu późniejszych przywódców dopuszczało się korupcji i nadużywało władzy.

[23] W stanie Bengal Zachodni, którego stolicą jest Kalkuta, od połowy lat siedemdziesiątych XX wieku do maja 2011 roku władzę nieprzerwanie sprawowała CPI (M) — Komunistyczna Partia Indii (Marksiści). Był to najdłużej utrzymujący się w historii komunistyczny rząd wybrany w wolnych wyborach.

[24] Muzułmanie przybyli na tereny współczesnych Indii w XII wieku. Dziś stanowią około czternastu procent społeczeństwa, są najliczniejszą mniejszością religijną w kraju.

[25] W 1992 roku rozpoczął się najbardziej krwawy konflikt religijny w historii niepodległych Indii. W Ajodhji w stanie Uttar Pradeś hindusi zburzyli meczet Babri, zbudowany w 1528 roku w miejscu, gdzie zdaniem części wyznawców hinduizmu urodził się bóg Rama. W zamieszkach, które objęły cały kraj, zginęło dwa tysiące osób. Dziesięć lat później hinduscy aktywiści pod przewodnictwem Indyjskiej Partii Ludowej zebrali się w Ajodhji, by rozpocząć tam budowę świątyni Ramy. Pięćdziesięciu dziewięciu z nich zginęło w drodze powrotnej w podpalonym pociągu Sabarmati Express. Po ataku wybuchły zamieszki, w ich wyniku zmarło co najmniej tysiąc osób, głównie muzułmanów. W 2010 roku indyjski sąd podzielił sporne terytorium Ajodhji między hindusów a muzułmanów. W 2011 roku skazał winnych podpalenia Sabarmati Express — jedenastu na karę śmierci.

[26] Nieprzetłumaczalna gra angielskich słów *dye* — „farbować” i *die* — „umierać”.

[27] *Paratha* — smażony placek pszenny, często z nadzieniem z ziemniaka i kalafiora.

[28] *Nikab* — noszona przez muzułmanki chusta zasłaniająca głowę, szyję i twarz z wyjątkiem oczu.

[29] *Hidźra* — mężczyzna przyjmujący kobiecą tożsamość, członek wyróżniającej się w Indiach społeczności złożonej tradycyjnie z eunuchów. Więcej o *hidźrach* w rozdziale 14.

[30] Chrześcijaństwo pojawiło się w Indiach w I wieku naszej ery — przywiózł je sam Tomasz Apostoł. Pozostałości najstarszego kościoła chrześcijańskiego w Indiach znajdują się w Thiruvithancode w Tamilnadu.

[31] Rabindranath Tagore (1861-1941) — poeta, prozaik, dramaturg, kompozytor i malarz. Jako pierwszy autor spoza Europy otrzymał w 1913 roku literacką Nagrodę Nobla. Podejmowany przez najwybitniejszych twórców i naukowców, podróżował po świecie, odwiedzając między innymi Henriego Bergsona, Thomasa Manna i Alberta Einsteina. To on nadał Mohandasowi Gandhii przydomek Mahatma — „Wielki Duchem”.

[32] Śanti Niketan — miasteczko w Bengalu Zachodnim, położone sto osiemdziesiąt kilometrów na północ od Kalkuty. Tam Rabindranath Tagore stworzył w 1921 roku postępowy uniwersytet Visva-Bharati, łączący nauki Wschodu i Zachodu. Uczelnia działa do dziś, studowali tam między innymi: Indira Gandhi, wybitny reżyser Satyajit Ray i laureat Nagrody Nobla z dziedziny ekonomii Amartya Sen.

[33] *Bhagawadgita* — „Pieśń Pana”, część *Mahabharaty*, poemat filozoficzny spisany prawdopodobnie w IV wieku naszej ery. Jest jednym z najważniejszych tekstów hinduizmu.

[34] Sathya Sai Baba (1926-2011) — popularny i wpływowy guru. Przyszedł na świat w wiosce Puttaparthi (jak głosi legenda — z niepokalanego poczęcia), stworzył tam aśram i szpital. Dzięki datkom wiernych stworzył finansowe imperium. Szacuje się, że miał trzydzieści milionów wyznawców w stu siedemdziesięciu krajach świata. Fundacja jego imienia zbudowała między innymi szpitale i kliniki dla najuboższych.

[35] Tantryzm — praktyki religijne i wierzenia powstałe między IV a VI wiekiem naszej ery w opozycji do braminizmu. Łączą elementy hinduizmu i buddyzmu z lokalnymi kultami. Wyznawcy tantry wierzą, że duchowe wyzwolenie mogą osiągnąć wszelkimi sposobami, między innymi poprzez stosunek seksualny i jogę. Część indyjskich tantryków zajmuje się czarną magią.

[36] Narashima Rao (1921-2004) — polityk, członek Indyjskiego Kongresu Narodowego. Sprawował urząd premiera w latach 1991-1996, mianował Manmohana Singha na stanowisko ministra finansów, wspólnie wprowadzili Indie w epokę gospodarki rynkowej. W czasie jego kadencji na scenie politycznej pojawił się nowy wpływowy gracz — Indyjska Parta Ludowa (BJP), głosząca hasła nacjonalistyczne i hinduistyczne.

Rekinowi, Anuli
i Małej Josephine Baker

BIEGUNY

Bieguny to książki o podróżach i poznawaniu świata. Relacje z wypraw do najbardziej niebezpiecznych i zapomnianych terytoriów na kuli ziemskiej i fascynujące historie z miejsc pozornie dobrze znanych. Opowieści o ludziach i ich losach, zaskakujące przemyślenia na tematy kulturowe i obyczajowe, a także poruszające przygody.

Bieguny to próba spojrzenia na świat oczyma wytrawnych podróżników, dziennikarzy i korespondentów. Poważnie i humorystycznie. Refleksyjnie i ironicznie. Na tle historycznym i z przymrużeniem oka.

W serii Bieguny dotychczas ukazały się:

Anna Badkhen, **KAŁASZNIKOW KEBAB. Reportaże wojenne**

tłum. Ewa Kleszcz

Anthony Bourdain, **ŚWIAT OD KUCHNI. W poszukiwaniu posiłku doskonałego**

tłum. Jacek Środa

Bryan Bruce, **HISTORIA SMAKU. Jak warzywa i przyprawy budowały fortuny, wywoływały wojny i wpędzały ludzi w szaleństwo**

tłum. Ewa Kleszcz

Tim Butcher, **RZEKA KRWI. Podróż do pękniętego serca Afryki**



tłum. Jakub Czernik — www.atominium.com

Henry Hemming, **KIERUNEK BAGDAD. Jak zostałem włóczęgą, terrorystą i szpiegiem na Bliskim Wschodzie**

tłum. Ewa Kleszcz

Kari Herbert, **CÓRKA POLARNIKA. Zapiski z krańca świata**

tłum. Maciej Miłkowski

Kari Herbert, **ŻONY POLARNIKÓW. Siedem niezwykłych historii**

tłum. Maciej Miłkowski

Merle Hilbk, **CZARNOBYL BABY. Reportaże z pogranicza Ukrainy i**

Białorusi

II nagroda w konkursie
Ambasador Nowej Europy

tłum. Barbara Tarnas

Dom Joly, **WITAMY W PIEKLE. Wyprawy do miejsc odradzanych przez biura podróży**

tłum. Mariusz Gądek

Nicholas Jubber, **TAJEMNICA PREZBITERA. Śladami papieskiego emisariusza z Wenecji do Etiopii**

tłum. Maciej Miłkowski

Peter Kerr, **POMARAŃCZE W ŚNIEGU. Pierwsza zima na Majorce**

tłum. Ewa Kleszcz

Radek Knapp, **INSTRUKCJA OBSŁUGI POLSKI**

tłum. Maurycy Merunowicz — www.atominium.com

Boris Reitschuster, **RUSKI EKSTREM. Jak nauczyłem się kochać Moskwę**

tłum. Sylwia Miłkowska

Jarek Sępek, **W 80 DNI DOKOŁA ŚWIATA (NIE WYJEŹDŻAJĄC Z LONDYNU)**

Emilia i Szymon Sokolikowie, **DO SANTIAGO. O pielgrzymach, Maurach, pluskwach i czerwonym winie**

ŚWINKI NA PATYKU. Najlepsze opowiadania podróżnicze Lonely Planet

tłum. Marcin Kowalczyk

Jeffrey Tayler, **MORDERCY W MAUZOLEACH. Między Moskwą a Pekinem**

tłum. Julita Mastalerz, Klaudyna Michałowicz

UCHO NA ŚWIAT. Wywiady Katarzyny i Krzysztofa Świdraków

Eric Weiner, **GEOGRAFIA SZCZĘŚCIA**

tłum. Marcin Kowalczyk

Eric Weiner, **POZNAM SYMPATYCZNEGO BOGA. Moje flirty z istotami wyższymi**

tłum. Julita Mastalerz

Tony Wheeler, **PRZEKŁĘTA ZIEMIA. Wyprawy do miejsc zatraconych, często nieprzyjaznych i trudnych do zrozumienia, ale może właśnie dlatego tak ciekawych i prowokujących**

tłum. Grzegorz Fik — www.atominium.com

Paulina Wilk, **LALKI W OGNIU. Opowieści z Indii**

W Indiach nad głowami głodujących przelatują odrzutowce. Wokół ekskluzywnych apartamentów bezdomni gotują na żywym ogniu. Za baśniowymi weselami stoi biznes matrymonialny, a bóstwa są zakładnikami religijnych korporacji. Nawet najbogatsi walczą z brudem, ciasnotą, korupcją, a wśród rytualnych tabu poruszają się jak po polu minowym. Indie są najludniejszą demokracją świata, wielkim źródłem siły roboczej, centrum usług komputerowych i duchowej turystyki. Z kraju

żebraków i trędowatych zmieniły się w symbol azjatyckiego boomu. Paulina Wilk, dziennikarka, autorka reportaży publikowanych w „Rzeczpospolitej”, prowadzi na zaplecze tego sukcesu. W tekstach napisanych po wielu podróżach do Indii pokazuje ludzi zajętych przetrwaniem i zmagających się z rygorami tradycji. Zagląda Hindusom do garnków, łóżek i serc.

Carta Blanca Sp. z o.o.
Grupa Wydawnicza PWN

Zajrzyj do sklepu:
www.cartablanca.pl

Wyjaśnia, jak załatwia się sprawy przyziemne i intymne. Gdzie myją się miliony ludzi, którzy nie mają łazienek? Jak pójść na randkę, gdy za miłość grozi śmierć? Czym nakarmić gości, by nie wywołać wojny religijnej? *Lalki w ogniu* to portret kraju, w którym politycy są posłuszni astrologom, geniusze chodzą bez butów, a dziewczynki znikają bez wieści. Kto tam zajrzy, zobaczy wszystko. Więcej, niżby chciał.

*Nie mogłam się oderwać
- żałuję, że skończyłam!*

Martyna Wojciechowska

*podróżniczka, redaktor naczelna
„National Geographic”*

Świetnie napisana, wciągająca i mądra książka o obcowaniu z Indiami, które niczego nie ukrywają - odślaniają całe piękno i nędzę istnienia. Paulina Wilk znakomicie wciela się w rolę wrażliwej i spostrzegawczej przewodniczki.

Wojciech Jagielski
pisarz, publicysta „Gazety Wyborczej”

ISBN 978-83-7705-248-8